

POLSKIE FORUM



OBYWATELSKIE

Modernizacja Polski Kody kulturowe i mity



Gdańsk 2008

Wolność i Solidarność

POLSKIE FORUM OBYWATELSKIE

Wieloletni, obywatelski projekt na rzecz modernizacji Polski
(*Płaszczyzna definiowania wizji modernizacji Polski i obywatelskiego dialogu*)

Cele PFO:

- Sformułowanie obywatelskiej, nośnej **wizji** i programu modernizacji Polski,
- Stworzenie trwałej ogólnopolskiej płaszczyzny **dialogu obywatelskiego**,
- Stworzenie wzorca (dobrej praktyki) międzysektorowej, międzyśrodowiskowej i międzypokoleniowej **sieci dialogu**,
- Stworzenie nowego, szeroko dostępnego i integrującego **języka debaty** o modernizacji i rozwoju Polski,
- Stymulowanie **rzeczowej debaty publicznej** opartej na wiedzy naukowej i praktycznej,
- **Monitoring** koncepcji i procesów modernizacyjnych.

Jakiej wizji modernizacji pragniemy?

Takiej, która służyłaby wykorzystaniu potencjału całego kraju i Polaków zagranicą, łącząc nasze tradycje i korzenie z wyzwaniami przyszłości i tworząc warunki samorealizacji dla wszystkich grup społecznych.

Zasady działania:

Obywatelskie zaangażowanie, pozapolityczność, partnerstwo i wzajemny szacunek, otwartość, myślenie kategoriami długofalowego rozwoju Rzeczypospolitej.

Unikalny charakter PFO:

Jest to pierwsza w Polsce sieć dialogu międzysektorowego, międzyśrodowiskowego i międzypokoleniowego, integrująca kreatorów kapitału ekonomicznego, kapitału wiedzy i kapitału społecznego.

Organizator:

Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową

Partnerzy Strategiczni PFO:

BRE Bank S.A., Telekomunikacja Polska S.A., Citibank Handlowy S.A.,
Grupa Ergo Hestia

Modernizacja Polski Kody kulturowe i mity



Gdańsk 2008



**Konrad
Adenauer
Stiftung**

Konferencja i publikacja w ramach współpracy
z Fundacją Konrada Adenauera.

© Copyright by
Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową
80-227 Gdańsk, ul. Do Studzienki 63
tel. (058) 524 49 00
faks (058) 524 49 08
www.ibngr.edu.pl
e-mail: ibngr@ibngr.edu.pl

Redakcja
Jan Szomburg

Korekta językowa
Krzysztof Kocieniewski

Skład (T_EX)
Łukasz Sitko

ISBN 978-83-89443-83-0

CIP — Biblioteka Narodowa
Modernizacja Polski : kody kulturowe i mity /
[red. Jan Szomburg ; Polskie Forum Obywatelskie] .
- Gdańsk : Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową,
2008. - (Wolność i Solidarność)

Wydanie I
Gdańsk 2008

Spis treści

Jan Szomburg, <i>W poszukiwaniu inspiracji do budowy wspólnotowości i państwa</i>	5
Jerzy Kłoczowski, <i>Modernizacja Polski w długiej perspektywie historycznej</i>	9
Piotr Koryś, <i>Jak zbudować szklane domy? O polskich próbach polityki modernizacyjnej od upadku I Rzeczypospolitej do dzisiaj</i>	15
Jan Fazlagić, <i>Wpływ korzeni słowiańskich na mentalność Polaków</i>	23
Edwin Bendyk, <i>Polski folwark i jego konsekwencje</i>	29
Anna Sosnowska, <i>Kulturowe ślady folwarku</i>	37
Jan Filip Stańko, <i>Dlaczego Polska potrzebuje neosarmackiego republikanizmu?</i>	41
Tomasz Zarycki, <i>Tradycje republikańskie I Rzeczypospolitej jako symboliczny kapitał nowoczesnej tożsamości narodowej Polaków</i>	59
Andrzej Nowak, <i>Dziedzictwo wieku XIX</i>	67
Tomasz Zarycki, <i>O jednostronnej wizji „Wschodu” w Polskiej tożsamości narodowej</i>	73
Piotr Koryś, Maciej Tymiński, <i>Źródła postaw klientelistycznych we współczesnej Polsce</i>	81
Dariusz Stola, <i>Wpływ PRL na postawy Polaków w III Rzeczypospolitej</i>	87

Janusz Czapiński, <i>Molekularny rozwój Polski</i>	95
Tadeusz Szawiel, <i>Kody kulturowo-mentalne po 1989 roku – czynniki i kierunki zmian</i>	103
Zbigniew Nosowski, <i>Modernizacja potrzebuje religii – i nawzajem</i>	109
Mirosława Grabowska, <i>Religia – szansa czy obciążenie?</i>	117
Maria Rogaczewska, <i>Czy religia może odegrać jakąś rolę w modernizacji?</i>	123
Jan Kozłowski, <i>Kompetencje intelektualne jako czynnik modernizacji</i>	129
Maria Rogaczewska, <i>Państwo i społeczeństwo obywatelskie nie muszą być wrogami – rola społeczeństwa obywatelskiego w modernizacji</i>	137
Witold Morawski, <i>Modernizacyjne konfiguracje: perspektywa polska</i>	147
Michał Łuczewski, <i>Jaka modernizacja, jaka przeszłość?</i>	155
Anna Sosnowska, <i>Jakiego ustroju potrzebują Polacy?</i>	161
Paweł Dobrowolski, <i>Modernizacja instytucji – więcej konkurencji, mniej przywilejów</i>	169
Aleksander Surdej, <i>O sposobie budowania sprawnego państwa</i>	187
Krzysztof Szczerski, <i>Modernizacja, instytucje państwa i polityka</i>	195

*dr Jan Szomburg**

W poszukiwaniu inspiracji do budowy wspólnotowości i państwa

Intencją tej książki jest pobudzenie nas, Polaków do samorefleksji i dialogu międzyobywatelskiego. Dialogu dotyczącego spraw najważniejszych: jakim chcielibyśmy być społeczeństwem (wspólnotą), jakie państwo chcielibyśmy budować? Są to kwestie, które wymagają poziomego dialogu Polaków – różnych środowisk i pokoleń. Dialogu więziotwórczego, otwartego na różnice, a jednocześnie szukającego wspólnej podstawy ideowej. Taki jest sens tej książki, taki jest też sens Polskiego Forum Obywatelskiego i Kongresów Obywatelskich. Tych spraw nie możemy zostawić samym politykom ani dialogowi pionowemu – między władzą a poszczególnymi sektorami i grupami zawodowymi.

Dziś jest dobry czas, aby taką debatę międzyobywatelską szerzej podjąć. Zdecydowana większość z nas ma już poczucie pewnej stabilności materialnej (pracy nie brakuje) i dobrych perspektyw na przyszłość. Zaczynamy myśleć coraz szerzej i coraz bardziej długofalowo, coraz więcej uwagi poświęcamy też naszej przeszłości i tożsamości.

Przez długi czas nie mieliśmy możliwości swobodnego kształtowania naszej tożsamości, wspólnotowości, państwowości ani ustroju gospodarczego. Teraz tę możliwość mamy. Możemy budować Polskę i polskość z wyboru. Jednak mimo upływu niemal dwóch dekad od odzyskania wolności w 1989 roku, nie stworzyliśmy jeszcze mitu założycielskiego obecnej Rzeczypospolitej.

*Prezes Zarządu Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową.

Nie zredefiniowaliśmy w sposób wyraźny naszej tożsamości, nie wytworzyliśmy nowego etosu narodowego na miarę naszych obecnych możliwości i aspiracji. Etośu, z którym – mimo różnic – dobrze czułaby się zdecydowana większość Polaków. Nadal jesteśmy silnie zdeintegrowani, rozmawiamy ze sobą różnymi językami, posługujemy się radykalnie różnymi wizjami polskości i kodami symbolicznymi. Patrzymy na to samo, a widzimy co innego. Ciągłe jesteśmy, ujmując po Norwidowsku, bardziej sztandarem narodowym niż społeczeństwem. Jeszcze nie do końca wiemy, po co nam podmiotowość polityczna, jakie są nasze wspólne interesy, jak skonstruować nasze państwo, według jakich zasad chcemy funkcjonować jako społeczeństwo?

Trudno, abyśmy mieli o to do siebie wielkie pretensje. Jesteśmy narodem po przejściach, co po raz kolejny ilustrują teksty niniejszej książki. Rozumiejąc tę sytuację, nie możemy jednak nie odczuwać pewnego niepokoju i potrzeby przyspieszenia procesu transformacji i dojrzewania. Musimy być świadomi, że dzisiejsze sukcesy i dynamiczny rozwój nie gwarantują nam jeszcze dobrej przyszłości. Bez zbudowania wspólnoty narodowej i prawdziwego państwa, bez wybicia się na prawdziwe społeczeństwo nie utrzymamy swej konkurencyjności i atrakcyjności nawet dla własnego kapitału i własnych obywateli. Nie poradzimy sobie z przejściem na rozwój proinnowacyjny, który jest dla nas historyczną i geopolityczną koniecznością.

Budowa wspólnoty narodowej, prawdziwego państwa i instytucji gospodarczych wymaga inspiracji wynikających ze zrozumienia nas samych, jacy jesteśmy, jakie są nasze aspiracje? Znaczenie pytania o kody kulturowo-mentalne, jakie zadajemy w tej książce, rozumiemy dwojako. Po pierwsze, chodzi o podejście naukowe – zrozumienie podglebia kulturowego, na którym chcemy reformować istniejące instytucje i budować nowe. Przyjmujemy, że dylemat „kultura czy instytucje” jest i w krótkim, i w średnim odcinku czasu dylematem pozornym. Instytucje zupełnie oderwane od kultury działają źle. Jest na to tysiące przykładów. Z kolei niewłaściwie zaprojektowane instytucje formalne niszczą kapitał kulturowy i społeczny, nie sprzyjają wzrostowi gospodarczemu. W Polsce, po roku 1989 mieliśmy bardzo fragmentaryczną, hybrydową, a ogólnie biorąc bardzo słabo zdefiniowaną strategię instytucjonalną. Właściwie w sensie całościowym jej nie było.

Refleksja dotycząca kodów kulturowo-mentalnych jest nam potrzebna, by dokończyć i uporządkować transformację instytucjonalną, zwłaszcza w sferze publicznej (w tym w sferze usług społecznych) i otworzyć drogę jej ewolucji na przyszłość. W tej mierze nie powinniśmy się kierować żadną

doktryną – ani podejściem imitacyjnym, ani zawzięciem się na produkcję całkowicie oryginalnego, polskiego ładu instytucjonalno-regulacyjnego. Część tego ładu i tak musimy wziąć z zewnątrz, z Unii Europejskiej i ze świata, bo tego wymaga uczestnictwo w międzynarodowym podziale pracy, w korzyściach z globalnej gospodarki. Część możemy importować w sposób twórczy. Część natomiast powinniśmy wytwarzać sami zgodnie z naszymi uwarunkowaniami kulturowo-mentalnymi i inwencją systemową.

Drugą rolę rozpoznawania historii, teraźniejszości i przyszłej ewolucji naszych kodów kulturowo-mentalnych jest inspiracja do tworzenia mitów założycielskich i symboli, których potrzebujemy dla nowego zdefiniowania naszej tożsamości i wspólnotowości. W tym sensie ten historyczny przegląd tworzy swego rodzaju menu, z którego możemy wybierać, kierując się intuicją i funkcjonalnością wobec wyzwań przyszłości. Nie musimy tu brać pod uwagę siły mechanizmów transmisyjnych systemu wartości, ale siłę mitotwórczą, która chyba i tak zawsze musi być zakorzeniona w tożsamości pierwotnej.

Stawka budowania nowego ładu wspólnotowego i instytucjonalnego jest bardzo wysoka. Dziś jako naród dysponujemy ogromnym kapitałem, o którym rzadko się mówi – wielkim zasobem energii młodych ludzi pragnących sukcesu. Polacy są dziś narodem „energetycznym”, tak jak byli nim na przykład Finowie w ciągu ostatnich 30 lat (najlepiej widać to w porównaniu ze Szwedami). Te zasoby, bez sprostania wyzwaniom budowy ładu wspólnotowego i instytucjonalno-regulacyjnego, mogą z Polski najpierw częściowo wycieknąć (zasilając „energetycznie” inne kraje), a później się wyczerpać. Ale nie chodzi jedynie o zamianę tej energii, która tkwi dziś w Polakach, w dochody, w wyższy materialny poziom życia. Chodzi również o to, byśmy stali się bardziej szczęśliwi. Byśmy byli kompletnym narodem rozwiniętym materialnie, społecznie i duchowo, aby Polska i jej ład instytucjonalny były dla nas atrakcyjne.

Pragnąc stymulować szeroką, rzeczową i otwartą publiczną debatę na ten temat – co w praktyce dotyczy zwykle inteligencji i elit – chcemy też wskazać na oddolne procesy budowania wspólnotowości i tworzenia ładu instytucjonalno-regulacyjnego. W wielu miejscach Polski, a także poza naszym krajem – na emigracji – dokonuje się bowiem proces modernizacji enklawowej. Zasluguje on na uwagę i systematyczną obserwację. Trwa bowiem wielki, oddolny proces stwórczy, oparty na intuicjach i kreatywności przedsiębiorców, artystów, samorządowców, liderów organizacji pozarządowych,

ale także zwykłych, często lokalnych ludzi. Odczytanie tego procesu i branie go pod uwagę w debacie publicznej daje szansę na syntezę przewyższającą zakorzeniony podział na „panów” i „lud”, na przewycięzenie syndromu dwukulturowości. Praktyczny proces samonaprawy i redefinicji naszego społeczeństwa trwa.

Obserwacja i dialog tych dwóch nurtów – myśli oraz działań praktycznych powinny nam pomóc, by „wynaleźć siebie na nowo” w warunkach wolności oraz szans i wyzwań przyszłości.

Niniejsza książka jest efektem seminarium pod tytułem: „Zrozumieć siebie, czyli kulturowo-mentalne uwarunkowania modernizacji Polski”, które odbyło się 30 listopada 2007 roku w BRE Bank-u S.A. w Warszawie. Autorzy niniejszego tomu – wśród których znaczna część to reprezentanci młodych pokoleń – w różny sposób wartościują znaczenie kultury i instytucji, wyciągają też różne wnioski z przeglądu kodów kulturowych. Takie zróżnicowanie poglądów odpowiada jednak idei Polskiego Forum Obywatelskiego jako miejsca dialogu i wymiany myśli różnych środowisk, dyscyplin, pokoleń i stanowisk. Nie zamyka ona, ale raczej stymuluje dalszą debatę. Bez interakcyjnego procesu wymiany myśli i obserwacji nie dojdziemy bowiem do syntezy, która jest nam potrzebna.

Wszystkim autorom chciałbym w tym miejscu bardzo serdecznie podziękować. Jestem przekonany, że jest to początek długofalowej współpracy w służbie „ucierania” nowoczesnej wizji Polski i polskości.

*prof. dr hab. Jerzy Kłoczowski**

Modernizacja Polski w długiej perspektywie historycznej

W naszych refleksjach nad historycznymi uwarunkowaniami złożonej problematyki modernizacji Polski i „kodów kulturalno-mentalnych” Polaków wypada przede wszystkim nawiązać do rysującego się coraz wyraźniej w historiografii światowej i polskiej obrazu historii Polski i Europy w ostatnim tysiącleciu. Obrazu ukazującego zjawiska przemian, rozwoju, wolno powiedzieć kolejnych „modernizacji” i zahamowań, odbiegającego zarazem często i daleko od rozpowszechnionych od bardzo dawna wizji i poglądów na naszą przeszłość polsko-europejską. W bardzo poważnych nurtach niezwykle rozbudowanych w ostatnich dziesięcioleciach badań światowej historiografii rysują się poglądy uzasadniane dzisiaj o wiele pełniej i bardziej przekonująco aniżeli miało to miejsce w poprzednich epokach i pokoleniach. W krótkim komunikacie mogę oczywiście tylko zasygnalizować całą sprawę, odwołując się do najnowszej, obfitej literatury specjalistycznej i toczonych na te tematy debat. Niestety, owe osiągnięcia i debaty zbyt wolno docierają (nie tylko w Polsce) do szerszej publiczności, szkół, mediów. Nierzadko mamy wręcz do czynienia z lekceważeniem historii i nauki historycznej, co łatwo prowadzi, rzecz jasna, do niebezpiecznego odrywania się od wielkich korzeni kulturowych i tradycji. Wszędzie, nie tylko u nas, stanowi to dzisiaj poważny problem wielkiej wagi dla całej przyszłości świata doby gwałtownej globalizacji i jakże głębokich przemian.

* Dyrektor Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej.

Punktem wyjścia naszych rozważań, nieźle już dzisiaj uchwytnych, jest wejście młodego, tworzonego dopiero organizmu państwowego Polski w 966 roku do kręgu cywilizacyjnego zachodniego chrześcijaństwa. Z tym kręgiem łączymy dziś formowanie się „naszej Europy” w toku przemian dokonywających się dokładnie od X–XII stulecia, a więc niejako równoległe do umacniania społeczeństwa i państwa polskiego. Nasz krąg cywilizacyjny określał się sam jako „christianitas”, „rzeczpospolita chrześcijańska”, i dopiero w XVIII wieku przyjął ostatecznie starą nazwę geograficzną Europy. Był kręgiem wyjątkowym, wysoce oryginalnym, tworem nie cesarzy czy władz religijnych (teokracja, jak na przykład w islamie), ale przede wszystkim dynamizmu rozwijającego się społeczeństwa i głęboko zreformowanego chrześcijaństwa łacińskiego, rzymskiego. Wszechstronny rozwój tego kręgu doprowadzić miał po kilku stuleciach do wyprzedzenia wszystkich innych kręgów cywilizacyjnych świata, z Chinami na czele, i ostatecznie do opanowania tegoż świata, co stało się tak widoczne na przełomie XIX i XX stulecia. Europa stworzyła nasz dzisiejszy świat globalny, chociaż zarazem straciła w nim przywództwo w wielkiej katastrofie wojen i barbarzyńskich totalitaryzmów krótkiego wieku XX (1914–1989/91).

Do „starego” kręgu pokarolińskiego (po upadku cesarstwa Karola Wielkiego) doszły w X wieku wraz z przyjęciem chrześcijaństwa „barbarzyńskie” dotąd kraje i społeczeństwa słowiańsko-germańsko-węgierskie (Skandynawia i Europa odtąd Środkowo-Wschodnia między Adriatykiem i Bałtykiem, z Polską włącznie). Zaczął się długi, ciągnący się przez kilka stuleci proces integracyjny w obrębie kręgu, przekazywania ciągle żywotnego, rozwijanego „model” ze „starych krajów” do „młodych”. W tych „młodych” wiązał się on na różne sposoby z miejscowymi tradycjami, prowadząc powoli do wytworzenia własnych kultur narodowych, w pełni już przynależnych do rzeczywistej chrześcijańskiej. W ciągu XIV–XVI wieku miało się to uwioczyć w całość okazałości.

Ten długi proces bardzo głębokich i wielostronnych przekształceń możemy traktować jako proces „modernizacji” w ramach przodującego w świecie kręgu cywilizacyjnego. Wiek XIII miał dla Polski szczególne znaczenie dla kształtowania społeczeństwa obywatelskiego w sensie tamtych czasów, a mianowicie wsi jako wspólnoty „communitas alias gromada” z kmięciami obywatelami, miasta samorządne, wspólnot rycersko-szlacheckich (od wspólnot rodowych do wspólnot samorządowo-terytorialnych), silnych wspólnot kościelnych (kleru diecezjalnego i zakonów). Mimo rozlicznych

trudności w tych jakże trudnych w naszej perspektywie czasach, mamy do czynienia z ciągłym rozwojem na wielu polach i wyraźnymi osiągnięciami. Tak na przykład dane, jakie posiadamy między innymi dla gospodarki i stosunków społecznych w społeczeństwie polskim dla XVI stulecia, ukazują namacalnie, w jak dużej mierze nie odbiegały one od „normalnej” sytuacji europejskiej, przy całej jej różnorodności i bogactwie.

Ważna jest dla zajmującej nas problematyki modernizacji debata historyków nad głębszymi przyczynami rozwoju naszego kręgu cywilizacyjnego i wyprzedzenia innych krajów. Punktem wyjścia była tu głośna teza wielkiego socjologa Maxa Webera sprzed stu laty, który w polemice z Marksem łączył narodziny kapitalizmu i postęp Zachodu z postawami chrześcijańskiej etyki, zwłaszcza z kalwinizmem, wiarą w predestynację, protestanckim purytanizmem. Dzisiaj, wraz z uchwyceniem niezwykle dynamizmu „rzeczypospolitej chrześcijańskiej”, jak chociażby z podwojeniem w kręgu zachodnim liczby ludności i całej produkcji w ciągu XI–XIII wieku (wydarzenie niezwykle ważne między wprowadzeniem rolnictwa do przyszłej Europy i rewolucją przemysłową XIX wieku), łączymy ten rozwój z odnowionym od XI–XII wieku głębokim chrześcijaństwem łacińskim, splecionym niezwykle mocno z całym systemem społecznym i cywilizacją (kulturą „chrześcijańskiej rzeczypospolitej”).

Z tak zwanym średniowieczem (nazwa bardzo fałszująca historię), które wielu historyków skłonnych jest dzisiaj ujmować aż po wiek XVIII, przed rewolucją przemysłową stwarzającą nasz świat, łączymy dziś powstanie i rozwój Europy oraz jej kultury, odrzucając zdecydowanie rozpowszechnione dawniej pojęcie „ciemnego średniowiecza”. Wiemy zarazem, że chodzi w średniowieczu o świat w wielu miejscach bardzo inny od naszego, ukształtowanego w Europie w ciągu XIX i XX stulecia. Świat z ogromną przewagą ludzi mieszkających na wsi, żywych tradycji, chrześcijańskiej wiary i nadziei na zbawienie, słabego państwa (powoli dopiero budowanego), rozczłonkowania feudalnego, silnych więzów międzyludzkich, a nie płatnych posad. Ale zarazem, podkreślimy to raz jeszcze z naciskiem, świat, którego dynamizm wbrew wizjom XVIII i XIX wiecznym dopiero ostatnio zaczynamy w pełni rozumieć i uwypuklać.

Z bardzo ważnym zjawiskiem renesansu XI–XIII wieku łączymy dziś niezwykle istotny, także dla polskiego chrześcijaństwa i kultury, problem „chrześcijańskiego humanizmu”, waloryzację osoby ludzkiej i jej możliwości, jej wolę pracy i przekształcania świata zgodnie z nakazem danym przez Boga.

Wprowadzać go w życie miał szeroko zakrojony, wielki program edukacyjny Kościoła, realizowany od XIII wieku przez rozbudowaną sieć parafii i zespoły kaznodziejów, dominikanów i franciszkanów. Docierał także do elit i szerokich kręgów ludności, umacniając postawy zaangażowania oraz społecznej odpowiedzialności ludzi w rodzinach i wszelkiego typu wspólnotach. Transcendentna nadzieja chrześcijańska (nagroda za życie tu na tamtym świecie) miała ogromne znaczenie, dawała głęboki sens pracy i zaangażowania w codzienne życie, obowiązki i wezwania. Otwartą sprawą pozostaje pytanie, w jakiej mierze i zakresie humanizm chrześcijański mógł nawiązywać między innymi w Polsce do starych tradycji słowiańsko-pogańskich. W dzisiejszym stanie badań historycznych w skali światowej i polskiej nie można mieć żadnych wątpliwości co do zasadniczego znaczenia dla całej kultury polskiej, dla postaw kolejnych pokoleń ludzi w naszym kraju, związków z dynamiczną kulturą zachodniej, łacińskiej Rzeczypospolitej chrześcijańskiej.

Rzeczpospolita polsko-litewska, uformowana ostatecznie w 1569 roku (Unia Lubelska) jako trwała federacja wielu narodów, miała oczywiście ogromne znaczenie dla procesów modernizacyjnych obszarów litewsko-ruskich (białorusko-ukraińskich z ustalenia granicy między nimi właśnie w 1569 roku i odrębna odtąd w dużej mierze historia). Dla całej Rzeczypospolitej okres głębokiego, długotrwałego i wielostronnego kryzysu między połową XVII i XVIII stulecia oznaczał oczywiście głębokie zahamowanie wielkich procesów modernizacyjnych. Zarazem w tym stuleciu zmienił się zasadniczo cały „kontekst europejski”. „Rzeczpospolita chrześcijańska” przekształciła się w „Europę”, w której dominującą rolę od XVIII wieku zaczęło odgrywać pięć mocarstw: Francja, Anglia, Austria oraz Rosja i aspirujące początkowo do roli mocarstwa Prusy. Polska i cała Rzeczpospolita od początków XVIII wieku znalazły się pod „specjalną pieczę” Rosji, a stopniowo też Prus i Austrii. Podjęty w drugiej połowie XVIII stulecia wielki wysiłek reformatorski i modernizacyjny nie uratował egzystencji państwa, ostatecznie w 1795 roku podzielonego między trzy mocarstwa.

W gruncie rzeczy można powiedzieć, że cały układ europejskiego „koncertu mocarstw” dominujący w ciągu prawie trzech stuleci (XVIII, XIX i XX) w Europie nie pozwalał na rozwinięcie na dłuższą i szerszą skalę budowy przez Polaków i inne narody Rzeczypospolitej niezależnego w pełni życia społecznego, własnego państwa, na realizację długofalowych, własnych programów modernizacyjnych. Bardzo ważne były oczywiście epizody, jak ostatnie lata Rzeczypospolitej przed 1795 rokiem czy wolna Rzeczpospolita

lat 1918/21–1939, ale kończyły się kolejnymi katastrofami w wyniku przemocy sąsiadów. Dla polskiej tradycji modernizacyjnej w szerokim tego słowa znaczeniu niezwykle ważną rzeczą była obecna w każdym pokoleniu postawa „pracy organicznej”, wykorzystywania każdej sytuacji i możliwości dla czynnych działań w każdym zakresie potrzebnych dla społeczeństwa, sprzyjających rozwojowi okolicy i kraju. Postawa szła często w parze z silną w kolejnych pokoleniach tradycją powstańczej walki o wolność, nierzadko ci sami ludzie łączyli zaangażowania w obu kierunkach. Wielkopolska stanowi wymowny przykład skutecznych działań organiczno-modernizacyjnych, ale nie brak ich oczywiście w bardzo różnych okolicznościach w każdym czasie i dzielnicy.

Osobną kartę, wartą pamięci, stanowi udział Polaków, często wygnańców czy emigrantów, w pracach i osiągnięciach „modernizacyjnych” (w najszerszym tego słowa znaczeniu) w bardzo różnych krajach i kontynentach. Warto to przypominać w dzisiejszym „globalnym” świecie, to istotne dla obrazu Polski w każdym zakresie, z gospodarką i wymianą handlową włącznie.

W długiej perspektywie tysiąclecia polskiego i europejskiego bardzo jasno zarysowuje się zarazem wizja możliwości, jakie rozwinęły się przed nami po przełomowym roku 1989 i wejściu do Unii Europejskiej w 2004 roku. Unia stanowi świadomą próbę zerwania z koncertem wielkich mocarstw dominujących na naszym kontynencie tak długo. Jałta z 1945 roku przypomina to jeszcze dobitniej pokoleniu II Wojny Światowej, tak jak Rapallo z 1922 roku (sojusz sowiecko-niemiecki zrealizowany w 1939 roku) pokoleniu poprzedniemu. Unia poprzez oficjalnie przyjętą zasadę subsydiarności (solidarności) przypomina bardziej dawną republikę chrześcijańską, upadłą ostatecznie w XVIII wieku razem z naszą republiką polsko-litewską, co warto dzisiaj pamiętać w znów „pełnej” Europie.

W naszych warunkach, ciągle jeszcze domagających się wielkich wysiłków z każdej strony (także i polskiej) dla umocnienia Unii w duchu najlepszych tradycji europejskich, mamy historyczną szansę nawiązania do wielkiej tradycji integracji i modernizacji X–XVI stulecia, która doprowadziła do powstania dojrzałej kultury polsko-europejskiej i zarazem mocnej pozycji Polski w silnej Europie. Takie też zadania i możliwości stają dziś przed nami. Pamięć o naszych doświadczeniach i osiągnięciach w tych wielkich stuleciach może być dzisiaj bardzo pomocna.

Kilka pozycji dla wstępnej lektury bliżej objaśniającej sens tej wypowiedzi.

Dla lepszego zrozumienia początków „naszej Europy” i jej kultury (wbrew absolutnie nieprawdziwemu, ale długo powtarzanemu pogładowi o „ciemnym średniowieczu”):

Jacques Le Goff, *W poszukiwaniu średniowiecza*, tłum. Maria Żurowska, Warszawa 2005.

Jerzy Kłoczowski, *Europa Chrześcijańskie korzenie*, Warszawa 2004.

Bardzo znamienita synteza ukazująca dynamikę średniowiecza europejskiego od roku 1000 do kolonizacji Ameryki z tezą o ogromnej roli owego średniowiecza dla Ameryki:

Jérôme Boschet, *La civilisation féodal De l'an mil a la colonisation de Amerique*, Paris 2006.

Dla Polski w Europie:

Jerzy Kłoczowski, *Młodsza Europa Europa Środkowo-Wschodnia w kręgu cywilizacji chrześcijańskiej średniowiecza*, Warszawa 2003.

Jerzy Kłoczowski, *Polska – Europa. Od Gniezna 1000 roku do Polski w Unii Europejskiej*, Gdańsk 2002.

Andrzej Wyczański, *Wschód i Zachód Europy w początkach doby nowożytnej*, Warszawa 2003.

Henryk Samsonowicz, *Miejsce Polski w Europie*, Warszawa 1995.

*dr Piotr Koryś**

Jak zbudować szklane domy? O polskich próbach polityki modernizacyjnej od upadku I Rzeczypospolitej do dzisiaj

Polska polityka modernizacji

Historia polskich modernizacji zaczyna się w XVIII wieku. Najważniejszą, choć nieudaną wówczas próbą była reforma instytucjonalna państwa zrealizowana przez uchwalenie Konstytucji 3 Maja. To w sporach i debatach poprzedzających jej przyjęcie pojawia się bodaj po raz pierwszy przeświadczenie o potrzebie odnowy państwa, a sama konstytucja jest świadectwem sięgania do zewnętrznych wzorów. Niepowodzenie tego projektu politycznego, porażka próby reform zakończyła historię I Rzeczypospolitej. Okres zaborów przyniósł jednak szereg mniej lub bardziej udanych prób modernizacyjnych, z których przynajmniej jedna zasługuje na uważniejszą analizę – projekt **kapitalistycznej industrializacji sterowanej przez państwo**, który próbował zrealizować ks. Franciszek Ksawery Drucki-Lubecki. Warto jednak wspomnieć o wcześniejszym, kilkuletnim okresie istnienia Księstwa Warszawskiego, który przyniósł głębokie reformy instytucjonalne państwa, a w szczególności zmianę systemu prawnego na wzór francuski, co okazało się nadzwyczaj trwałą reformą.

*Wydział Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Drucki-Lubecki swoją politykę modernizacji realizował jako minister skarbu Królestwa Polskiego (1821–1830), wykorzystując wcześniejsze pomysły i działania Stanisława Staszica, a także z nim współpracując. Jego projekt polityczny można potraktować jako odgórną próbę wprowadzenia industrializacji i reguł kapitalistycznych przez państwo, które nie tylko tworzyło zachęty inwestycyjne (z wykorzystaniem instrumentów, takich jak: podatki, cła, kredyty inwestycyjne i instytucje kredytowe, inwestycje w infrastrukturę), ale również samo bezpośrednio angażowało się w działalność gospodarczą, zwłaszcza w regionie Zagłębia Staropolskiego i Zagłębia Dąbrowskiego. Ponieważ proces industrializacji odbywał się w warunkach niemal dziewiczych, ważnym medium, „pasem transmisyjnym” zmian mieli być sprowadzeni z zagranicy fachowcy. Za punkt odniesienia dla polityki modernizacji można uznać kraje Europy Zachodniej, w szczególności „goniące” Wielką Brytanię kraje kontynentalne, Belgię i Francję, po części również lepiej rozwinięte kraje niemieckie. To stamtąd zaczęli przybywać inwestorzy i przemysłowcy.

Powodzenie projektu Druckiego-Lubeckiego okazało się ograniczone, można wręcz, jak Jerzy Jedlicki, mówić o „**nieudanej próbie kapitalistycznej industrializacji**”. Przyczyn tego było kilka: nadmierne bezpośrednie zaangażowanie państwa, co utrudniało racjonalne gospodarowanie i podejmowanie decyzji; brak przemian społecznych i indywidualnych, które przebiegałyby równoległe do zmian gospodarczych i instytucjonalnych. W tej próbie modernizacji można też dostrzec dość charakterystyczne rysy przyszłych polskich modernizacji: wyspowy charakter zmian (taką wyspą stał się okręg łódzki), ich ograniczony zasięg (zarówno gdy chodzi o zasięg geograficzny, jak i społeczny czy ekonomiczny), bezpośrednie zaangażowanie państwa i próbę dość gwałtownego wprowadzenia nowego porządku, zwłaszcza gospodarczego.

Podjęmowane w następnych dekadach XIX wieku próby modernizacyjne miały już, z wielu – przede wszystkim politycznych – powodów, znacznie bardziej ograniczony charakter. Rolę modernizatorów wzięli na siebie w dużym stopniu zaborcy, zwłaszcza w sferze instytucjonalnej. Wspomnieć tu trzeba przede wszystkim o narzuconych z zewnątrz przemianach na polskiej wsi, dziejących się w kolejnych zaborach. Polegały one na odchodzeniu od pańszczyzny i wzroście wolności chłopów. W ograniczonym stopniu towarzyszyły temu przemiany ekonomiczne, co powodowało, że sytuacja chłopów, pomimo formalnie radykalnej zmiany, poprawiała się tylko

nieznacznie. Jednocześnie zaborcy hamowali spontaniczne i planowe procesy modernizacyjne, utrudniając rozwój narodowej edukacji i infrastruktury, spowalniając demokratyzację oraz podtrzymując relacje klientelistyczne między sferą prywatną i publiczną.

Choć pomysły i marzenia o tym, jak powinno się unowocześnić Polskę, formułowane były od drugiej połowy XIX wieku, kolejnych naprawdę głębokich reform, które można by określić mianem **świadomej polityki modernizacji**, trzeba szukać dopiero po odzyskaniu niepodległości. W ciągu kilku lat politycy nowo powstałego, niepodległego państwa stanęli przed szeregiem problemów: zniszczeniami i zużyciem mocy produkcyjnych spowodowanymi wojną, dezintegracją ziem polskich, zdecydowanie lepiej powiązanych z odpowiednimi państwami zaborczymi niż ze sobą, brakiem zunifikowanej administracji i systemu prawnego, a potem także konfliktami zbrojnymi o granice, wojną celną z Niemcami i hiperinflacją.

Próbą reakcji był **proces głębokich reform instytucjonalnych unifikujących państwo**, a także reform społecznych (reforma rolna, prawa robotnicze) i budowa systemu edukacyjnego. Państwo za to jedynie w bardzo ograniczony sposób wykorzystywało narzędzia interwencjonizmu gospodarczego. Zwieńczeniem tego okresu reform był sukces polityki Władysława Grabskiego, opanowanie inflacji, wprowadzenie własnej waluty i stabilizacja gospodarki, która przyniosła czas koniunktury w latach 1925–1929. Rozwiązania instytucjonalne wzorowano często na modelu francuskim.

Zamach majowy w 1926 roku i odchodzenie od reguł demokratycznych nie zatrzymały procesu modernizacji państwa. Jednak znaczącym utrudnieniem była jego niewielka zamożność i rosnące różnice regionalne, a także różnice w modelu rozwoju między wsią i miastem, które były poniekąd kontynuacją złej sytuacji polskich chłopów i które ujawniły się ze szczególną siłą w okresie Wielkiego Kryzysu po roku 1929.

Reformy lat 1918–1926 można potraktować jako udane, zwłaszcza jeśli uwzględnić ograniczone zasoby, którymi dysponowało państwo. Świadectwem przynajmniej częściowego powodzenia polityki modernizacji było nie tylko przyspieszenie rozwoju gospodarczego (czego symbolem stał się pod koniec lat 20. dynamiczny rozwój Gdyni), ale również przemiany społeczne, w skutek których coraz większe (choć wciąż małe) obszary polskiego społeczeństwa stawały się nowoczesne. Szczególnie warto podkreślić udaną politykę edukacyjną – wysoka jakość szkolnictwa (zresztą nie tylko pod względem merytorycznym, ale i wychowawczym) II Rzeczypospolitej, wówczas zbudowanego, jest niewątpliwa.

Jednak model dość liberalnych w duchu reform początków II Rzeczypospolitej nie sprawdził się w warunkach kryzysu przełomu lat 20. i 30. W Polsce ten kryzys okazał się wyjątkowo głęboki i długotrwały, najprawdopodobniej nie tylko z powodu struktury ekonomicznej państwa (w której wciąż dominowało zacofane rolnictwo), ale również przez błędy w polityce gospodarczej. Zmiana tej polityki, która nastąpiła w połowie lat 30., kojarzona jest z nazwiskiem Eugeniusza Kwiatkowskiego. W swojej polityce modernizacji sięgnął on do powszechnego wówczas modelu bezpośredniej ingerencji państwa w działalność gospodarczą i bardzo rozbudowanego interwencjonizmu, który można by określić projektem **modernizacji etatystycznej**. Celem (jak zwykle – można by powiedzieć) była industrializacja kraju, a sposobem na to miał być plan gospodarczy, etatyzm i interwencjonizm państwa. W związku z (znowu jak zwykle) ograniczonymi środkami wybrano rejon, który miał się stać motorem rozwoju (podobnie Amerykanie, nieco wcześniej, zainwestowali w rejon doliny Tennessee) – rozpościerał się on na widłach Wisły i Sanu i został nazwany Centralnym Okręgiem Przemysłowym.

Podstawą rozwoju COP, a także całej Rzeczypospolitej stał się plan 4-letni (na lata 1936–1940), a później miał nastąpić nigdy niezrealizowany plan 15-letni. Założeniem planu 4-letniego była koncentracja inwestycji państwa na obszarze COP. Szczególnie inwestowano w przemysł ciężki, maszynowy, lotniczy i zbrojeniowy. Rozwój tych gałęzi przemysłu był coraz bardziej potrzebny, ponieważ narastało zagrożenie konfliktem zbrojnym. Jednocześnie jednak, inwestycje państwowe napędzały rozwój regionu, a przy okazji, zwiększając popyt wewnętrzny, przyspieszały wyjście kraju z kryzysu.

Politykę inwestycyjną Kwiatkowskiego i realizowany za jej pośrednictwem projekt modernizacji przerwał wybuch II Wojny Światowej (acz elementów kontynuacji tej polityki doszukać się można w pierwszej dekadzie po końcu wojny, w pierwszych latach Polski Ludowej). W tym okresie można jednak zaobserwować tendencje gospodarcze, które później zostały skutecznie zaadoptowane do nowych warunków przez komunistów: narastanie etatyzacji gospodarki, przejmowanie przedsiębiorstw prywatnych przez państwo, przejście przez państwo roli podstawowego inwestora, zastępowanie dostosowań rynkowych rozbudowanymi długookresowymi planami.

Pół wieku istnienia Polski Ludowej przyniosło kolejne fale **modernizacji socjalistycznej**. Pierwszą była stalinowska próba całościowej rekonstrukcji systemu, po niej nastąpiły próby reform, za Władysława Gomułki i Edwarda

Gierka. Wreszcie pod koniec lat 80., w okresie schyłkowym, gdy ideologia już właściwie straciła na znaczeniu, doszło do reform deregulujących socjalistyczną gospodarkę, będących właściwie wstępem do przemian po roku 1989. Cechami wszystkich prób modernizacji socjalistycznej, poza tą ostatnią, były centralizacja i ścisłe planowanie procesów gospodarczych, likwidacja rynku, poza nielicznymi enklawami, w których zachował znaczenie (chodzi tu zwłaszcza o rolnictwo indywidualne, później obszary rynku w gospodarce powoli i niejako wbrew polityce poszerzały się). Nieustannie rozwijano przemysł ciężki (który stał się motorem napędowym rozwoju kraju), co po roku 1989 skutkowało bardzo głębokimi niedostosowaniami strukturalnymi w gospodarce.

W sferze społecznej największym sukcesem modernizacji był awans ze wsi do miast znacznej, jak na polskie warunki, części ludności wiejskiej. Był on dodatkowo powiązany z udaną polityką edukacyjną. Towarzyszyły temu procesy urbanizacji szybko, jak nigdy wcześniej, przekształcające Polskę w społeczeństwo miejskie. Jednak zmiany społeczne zostały zatrzymane (a również same utraciły dynamikę) już na przełomie lat 60. i 70. Z punktu widzenia pomysłodawców niewątpliwym sukcesem już pierwszej z socjalistycznych modernizacji było właściwie zniszczenie przywiązania do idei rynku i konkurencji w społeczeństwie. Działania partyjnych reformatorów i polityków opozycji właściwie pomijały kwestię rynku aż do lat 80.

Modernizacje socjalistyczne, podobnie jak te z wcześniejszych okresów, cechował imitacyjny charakter zmian. Tym razem jednak punktem odniesienia stał się ZSRR, choć z upływem czasu coraz częściej sięgano i do zachodnich wzorów. Podobnie jak wcześniej, zmiany miały na ogół wyspowy charakter. Jednocześnie, w warunkach socjalistycznej modernizacji właściwie zatrzymał się proces unowocześniania wsi. Wprawdzie taką funkcję miały pełnić inwestycje na wsi, ale państwo nie stało się nigdy głównym producentem produktów rolnych, a państwowe gospodarstwa rolne i tym podobne instytucje de facto w bardzo ograniczonym stopniu pełniły funkcje unowocześniania wsi. Wreszcie, odejście od rynku i powiązanych z nim naturalnych mechanizmów innowacyjnych nadało gospodarce socjalistycznej – nie tylko w Polsce – specyficzny charakter. Właściwie zatrzymał się w niej proces twórczej destrukcji, a miast innowacji (technicznych, organizacyjnych, instytucjonalnych) dominować zaczęły komponenty trwałości, niezmienności i imitacji. Rosło też uzależnienie coraz większych grup od polityki społecznej państwa.

Ostatnim, jak do tej pory, etapem polskiej polityki modernizacyjnej są zmiany wprowadzane po roku 1989. Można je podzielić na dwie fazy. Pierwsza to próba unowocześnienia gospodarki i społeczeństwa przez **restytucję** (a może wręcz **zbudowanie od nowa**) **rynku i procedur demokratycznych**, a także „legalizację” społeczeństwa obywatelskiego. Pomimo błędów popełnionych w pierwszych latach, polityka ta okazała się nadzwyczaj udana. Wkrótce pojawił się dodatkowy, niezwykle ważny czynnik modernizujący: dążenie do wejścia do Unii Europejskiej. Właśnie europeizacja albo **modernizacja przez integrację** z Unią, rozgrywająca się w chwili obecnej, jest drugą z tych faz. Wymusza ona zmiany ekonomiczne, społeczne, dostosowania instytucjonalne o skali niemal tak dużej, jak transformacja z roku 1989, choć dla zwykłego obywatela mniej odczuwalne i dostrzegalne.

Cechy charakterystyczne polskich modernizacji

Właściwie wszystkie opisywane modernizacje miały charakter **peryferyjny** i były **imitacyjne** – próbowały naśladować zewnętrzne rozwiązania instytucjonalne, polityczne, gospodarcze, społeczne. W tym sensie nie były próbą uporządkowania spontanicznie dziejących się procesów społecznych. Należy je traktować raczej jako **modernizacje wymyślane (odkrywane) i narzucane przez elity**. Skutkowało to niekiedy **ignorowaniem lub niedostrzeganiem procesów spontanicznych** (choć na ogół procesy te po prostu nie występowały). Wyjątkiem są tu zmiany lat 20. i do pewnego stopnia zmiany roku 1989.

Państwo na ogół odgrywało rolę *spiritus movens* w tych projektach modernizacji – nie tylko wyznaczając reguły gry, ale też będąc uczestnikiem gry, czynnikiem zmian.

Najpowszechniej stosowanym modelem zmian ekonomicznych (mających pociągać również zmiany społeczne) była **modernizacja przez industrializację** (za wyjątkiem okresu 18–26 i po 1989). Uprzemysłowienie miało nie tylko doprowadzić do wzrostu gospodarczego, ale być również katalizatorem zmian społecznych. Prócz tego, ważną rolę odgrywały zmiany na wsi, ale te, zwłaszcza po II Wojnie Światowej, prawie nie następowały.

Zmiany modernizacyjne z mniejszym lub większym powodzeniem imitowały stan państw rozwiniętych w pewnym, ale w momencie realizacji często już nieaktualnym momencie historycznym. Można powiedzieć, że **polityka zmian i modernizacji miała charakter statyczny**. Następowala swego rodzaju

rozbieżność, już nie tylko pomiędzy zamiarami modernizatorów a osiąganym efektem, ale również pomiędzy tym, jak wyglądał punkt odniesienia w ich wyobrażeniach, a jaki był faktycznie w momencie zmian

W związku z tym, że w procesach modernizacji ważną rolę odgrywało państwo, a także z powodu ograniczonych zasobów dostępnego kapitału (i wykwalifikowanych oraz zsocjalizowanych pracowników) kolejną cechą polskich modernizacji był w znacznym stopniu **wyspowy charakter zmian** – zmiany dokonywały się w wybranych miejscach, ośrodkach. Ponieważ zaś nie były spontaniczne, tempo ich rozchodzenia się było względnie powolne (wyjątkiem jest cały okres po II Wojnie Światowej, zwłaszcza modernizacja ostatnich lat).

Polskie modernizacje miały też często **powierzchowny charakter**. Zmiany społeczne i kulturowe okazywały się dość płytkie albo o przygodnym charakterze – wywołane przez czynniki zewnętrzne w stosunku do projektu zmian. Wiązało się to z ostatnią, godną podkreślenia cechą polskich modernizacji – **brakiem długookresowej wizji zmian**, projektu cywilizacyjnego. Projekty modernizacji okazywały się zwykle krótko- lub średniookresową reakcją na zmiany w otoczeniu (w pewnej mierze wyjątkiem były projekty Druckiego-Lubeckiego, Kwiatkowskiego z lat 30. oraz być może zmiany po roku 1989) lub wynikiem dość powierzchownej fascynacji Zachodem.

*dr Jan Fazlagić**

Wpływ korzeni słowiańskich na mentalność Polaków

Regnum Sclavorum, Gothorum sive Polonorum
[Napis na pomniku Bolesława Chrobrego – łac. król Gotów i Polan]

„Słowianie na początku swojej europejskiej kariery, a także później, radzili sobie nie gorzej niż inne nacje, a często je na tym polu przewyższali. Wbrew też licznym przekazom starożytnym i nowożytnym Słowianie nie byli bynajmniej narodem biernym i uległym, raczej przypisać im można przebiegłość, umiejętność kamuflażu, udawanie prostactwa. Pod tą maską zaś krył się lud znający własne niedostatki wynikające z długiego bytowania na marginesie cywilizacji, pośród zapadłych puszczy i bagien, ale równocześnie lud o wielkim apetycie na lepsze życie i sukcesy. Dlatego równocześnie, dla lenia przeciwników raz [...] Opowiadali, że są uosobieniem łagodności, innym razem przemieniali się w niosące pożogę i mord zastępy wojowników chciwych łupów, niewolników i ziemi”¹.

Słowianie byli plemieniem nomadycznym. Ich kulturę charakteryzuje między innymi brak despotyzmu (demokracja plemienna), mobilność, społeczny charakter.

* Akademia Ekonomiczna w Poznaniu.

¹ Ze wstępu: Zdzisław Skok, *Słowiańska moc*, Iskry, Warszawa 2006.

W dobie gospodarki globalnej bardzo łatwo zatracić pamięć o tym, skąd się wywodzimy. Tradycje chrześcijańskie i patriotyczne są obecne w tożsamości kulturowej dość wyraźnie. Inaczej sprawa się ma z tożsamością sięgającą chronologicznie do czasów bardziej odległych, aczkolwiek bardzo bliskich, jeśli weźmiemy pod uwagę historię kultury zachodniej. Naród (plemię?) Słowian, z którego wywodzą się Polacy, zaistniał na mapie Europy zaledwie około 1500 lat temu. Warto więc sięgnąć pamięcią do czasów bezpośrednio poprzedzających narodziny państwa polskiego i zastanowić się nad tym, jak to dziedzictwo wpływa na teraźniejszość i przyszłość Polski.

Organizacja państwowa Słowian

Wśród Słowian początkowo podstawową komórką społeczną była rodzina. Grupa rodzin z danego terytorium tworzyła małą społeczność zwaną opolem. Opola z poszczególnych terenów (zazwyczaj oddzielonych od siebie barierami naturalnymi, jak rzeki, góry czy bory) tworzyły plemiona. Uważa się, że liderem wśród plemion tworzących polską państwowość byli Polanie – plemię znad Warty.

Najstarszy znany ustroj panujący wśród Słowian to demokracja wojenna.

Na co dzień opolem zarządzał wiec plemienny, który w razie zagrożenia wybierał dowódcę (księcia lub wojewodę). Z czasem jednak tymczasowi wodzowie chcieli utrzymać władzę nad coraz liczniejszymi wspólnotami. Właśnie ich ambicje przyczyniły się do jednoczenia całych plemion we wspólnoty.

Zgodnie z przekazem Galla Anonima, przed Mieszkiem państwem Polan rządził „król” Popiel, a po nim potomkowie Piasta: Siemowit, Lestek, i Siemiomysł.

Słowianie przejawiali jednak łatwość w przyswajaniu sobie obcych wzorów – na terenach, gdzie kontaktowali się z Cesarstwem Bizantyjskim czy z Awarami, występują liczne ozdoby o formach zaczerpniętych z tych kultur. Nad Dunajem Słowianie zapoznali się też z takimi wynalazkami, jak na przykład koło garncarskie.

Kilka spokrewnionych rodzin tworzyło ród – wspólnotę opartą na związkach krwi. Ziemię uprawiano przez kilka lat, a po jej wyżałowieniu się przenoszono siedzibę o kilka lub kilkanaście kilometrów. Na nowym miejscu wypalano las i używano popiołem ugory.

Do elity plemiennej należała starszyzna plemienna, wybierana z najbogatszych rodów, oraz wojownicy posiadający konie. Większość spraw plemiennych załatwiano nadal podczas ogólnego zgromadzenia (wiecu). Z wyżej wymienionych przyczyn wśród narodów słowiańskich przez ostatnie 1000 lat rzadko zdarzały się autorytarne rządy. Mało jest w naszych dziejach „tyranów”. Wyjątkiem jest historia Rosji, lecz tamtejsze autorytarne tradycje bardziej można przypisać poddaniu Tatarom przez kilkaset lat. W okresie renesansu i oświecenia owa słowiańska niechęć do rządów absolutnych uniemożliwiła stworzenie silnej monarchii autokratycznej, a w konsekwencji zaowocowała rozbiorem Polski.

Słowianie Anno Domini 2007 są w Europie nadal „nowoprzybyłymi”

Najpopularniejsza obecnie teoria głosi, że obszarem wyjściowym Słowian było dorzecze środkowego i górnego Dniepru, gdzie w pierwszych wiekach naszej ery (I-IV) archeolodzy wyróżniają kulturę kijowską.

Przez cały okres wzrostu i świetności Cesarstwa Rzymskiego nas „tutaj” nie było!

Po rozbiciu przez Hunów w roku 375 państwa Gotów, zajmującego rozległe tereny od stoków karpackich i dolnego Dunaju na zachodzie, aż po Dniepr na wschodzie, powstała możliwość przesunięcia się protosłowiańskich grup na tereny zajmowane do Górnej Wisły. Genealogia słowa „Słowianie” dowodzi, że kształtowanie się etnicznej świadomości Słowian nastąpiło w momencie zetknięcia się ich z innymi ludami. Potem miała miejsce druga faza ekspansji geograficznej Słowian w okolice dzisiejszej Słowacji, na Bałkany. Po około 600 roku naszej ery Słowianie zajęli tereny obecnej Polski i wschodnich Niemiec. Ciekawym przyczynkiem dla dyskusji o modernizacji w przypadku narodów słowiańskich są Czesi. Po buncie szlachty czeskiej na początku XVII wieku, uwieńczonym porażką w bitwie pod Białą Górą (1620 rok), zamordowano czeską elitę intelektualną, a język czeski przetrwał tylko na wsi. Obecnie na mapie kulturowej Europy Czesi są bliżej Niemców niż Polaków. Patrz wykres poniżej:

Słowianie są w Europie nadal „nowoprzybyłymi” – trudności z adaptacją zachodnich wzorców cywilizacyjnych wynikają z głęboko zakorzenionej w kulturze Słowian odmienności. Odmienność ta jest tym mniejsza, im bardziej dany naród (potomkowie słowiańskiego plemienia) ulegli ekspozycji

na inną kulturę. Zróżnicowanie regionalne w Polsce (poziom modernizacji) pokrywa się ze stopniem ekspozycji danych ziem na kulturę zachodnią. Podlasie i północne Mazowsze są uważane za najbardziej zapóźnione regiony Polski.

Współczesne koncepcje kapitału społecznego a kultura Słowian

Słowianie zawsze cenili więzi sąsiedzkie i rodzinne. Socjologowie nazywają takie więzi kapitałem społecznym. Kapitał społeczny wśród plemion Słowian charakteryzowały silne więzy wewnątrz społeczności (bonding social capital), o czym świadczy przywiązanie do rodziny jako komórki społecznej, wysoki status kobiety, sposób zamieszkiwania (organizacja osady):



Fronty domów tworzą okrag, sprzyjając utrzymywaniu kontaktów i więzi pomiędzy mieszkańcami. Chaty zamieszkiwane przez plemiona germańskie były ustawione w rzędzie.

Z kolei kapitał społeczny łączący (czyli świadczący o otwartości na kontakty z ludźmi spoza własnej rodziny bądź plemienia) był wśród Słowian niski. Świadczą o tym niezliczone plemiona słowiańskie, skłócenie Słowian, klęska skłóconych plemion połabskich, a w czasach współczesnych klęska małej Antanty. Słowiańska religia nigdy nie wykształciła idei samodzielnych, uniwersalnych bogów.

Podsumowanie

Wątek słowiański jest z pewnością zaniedbywany w dyskursie na temat modernizacji Polski. Słowiańskie dziedzictwo w naszej kulturze powinno też stać się cennym materiałem dla formułowania strategii rozwoju kraju. Także katolicyzm na terenach Europy Wschodniej posiada wiele reliktyw kultury słowiańskiej (pogańskiej). Nie sposób nie wspomnieć o emigracji zarobkowej setek tysięcy Polaków, a także Czechów i Słowaków do Europy Zachodniej po roku 2004, jako o dowodzie na niebywałą mobilność i ekspansywność Słowian. W tabeli 1 wskazano na niektóre atrybuty kultury słowiańskiej mające wpływ na obecne oblicze Polski.

Tabela 1. Słowiańskie dziedzictwo i jego implikacje dla modernizacji Polski – wybrane zagadnienia.

Atrybuty prąsłowiańskiej kultury	Relikty we współczesnej kulturze	Implikacje dla teraźniejszości – wskazówki dla decydentów
Słowianie żyli w odizolowanych od siebie plemionach, których centrum był gród lub sieć grodów	W krajach słowiańskich nie powstało wiele metropolii. Praga jest dwa razy mniejsza niż Wiedeń, a Warszawa 3 razy mniejsza niż Berlin	Rozwój gospodarczy odbywa się obecnie w oparciu o sieć metropolii – słowiańska awersja do zamieszkiwania w dużych skupiskach (=brak dużych miast) utrudnia rozwój gospodarczy.
Słowianie nie darzą zaufaniem „obcych” – silne więzi wewnątrz plemienne – słabe więzi pozaplemienne.	Szybki rozwój mikro-przedsiębiorstw a niedobór średnich i dużych przedsiębiorstw (odwrotna sytuacja ma miejsce w Szwecji – kraju nordyckim), dużo lokalnych inicjatyw o regionalnym zasięgu, na przykład Dolina Lotnicza w Rzeszowie	Trudność w budowie sieci i konsorcjów pan-regionalnych.
Ekspansywność i mobilność	Ekspansja polskich i czeskich firm na rynki ościenne, wyjazdy zarobkowe.	Tworzyć bodźce dla migracji wewnątrz kraju (na przykład przyciągać talenty ze ściany wschodniej do „Polski A” – jako alternatywę wobec ich emigracji za granicę).
Niska kultura techniczna (w stosunku do Celtów i Gotów)	Brak przemysłu <i>high-tech</i>	Skoncentrować się na budowie nowoczesnych przedsiębiorstw branży finansowej, turystycznej, spożywczej
Duża przedsiębiorczość i zdolność przetrwania	Oparcie się presji zewnętrznej w drugiej połowie drugiego milenium.	Wbrew modelowi kontynentalnemu (państwo socjalne). Promować liberalizację gospodarczą jako model bliższy słowiańskiej mentalności.
Sarmackie uniłowanie do przepychu wewnątrz	Wysoka jakość polskich usług budowlanych ceniona w całej Europie.	Emigracja wielu specjalistów branży budowlanej, sukcesy polskich deweloperów, między innymi w Rosji.
Niechęć do rządów absolutnych	Częste zmiany rządów, brak systemu prezydenckiego.	Decentralizacja państwa.
Trudność w wyłanianiu liderów	Brak skutecznych i zarazem charyzmatycznych przywódców.	Dylemat pomiędzy <i>skutecznym</i> przywództwem a <i>polskim</i> przywództwem.

Źródło: Opracowanie własne.

Edwin Bendyk*

Polski folwark i jego konsekwencje

Z licznych badań socjologicznych wynika, że kultura, utrwalone historycznie wzory zachowań i praktyki społeczne mają istotny wpływ na sposób, w jaki funkcjonują społeczeństwa, przedsiębiorstwa i gospodarki. Obszerną dokumentację tej tezy prezentuje książka „Kultura ma znaczenie”, zbiorowe opracowanie pod redakcją Lawrence’a E. Harrisona i Samuela P. Huntingtona¹, czy też monografie takich badaczy, jak Robert Putnam² i Francis Fukuyama³.

W cztery lata po opublikowaniu zbioru „Kultura ma znaczenie” Luigi Guiso, Paola Sapienza i Luigi Zingales⁴ wykazują, że uwarunkowane kulturowo (między innymi poprzez normy kulturowe i religijne) zaufanie między narodami Europy bezpośrednio wpływa na poziom wymiany handlowej. Na wzajemną ocenę przedsiębiorców francuskich, angielskich, włoskich czy austriackich wielki wpływ mają stereotypy i świadomość historyczna, utrwalana choćby w szkolnych podręcznikach.

*Redaktor „Polityki”.

¹ Lawrence E. Harrison, Samuel P. Huntington (red.), *Kultura ma znaczenie*, przeł. Sławomir Dymczyk, Poznań 2003.

² Robert D. Putnam, *Demokracja w działaniu*, przeł. J. Szacki, Znak, Kraków 1999.

³ Francis Fukuyama, *Zaufanie*, przeł. Anna i Leszek Śliwa, Warszawa–Wrocław 1997.

⁴ L. Guiso, P. Sapienza, L. Zingales, *Cultural Biases in Economical Exchange*, „NBER Working Papers”, <http://www.nber.org/papers/w11005>

W efekcie Brytyjczycy ciągle nie darzą zaufaniem Francuzów, a Włosi Austriaków, co negatywnie przekłada się na obroty handlowe. Stan ten ulega zmianie, gdy stereotypy zostają poddane próbie rzeczywistości – najlepiej w wyniku bezpośrednich, osobistych kontaktów. To tylko jedna z wielu prac w coraz bardziej obfitej literaturze poświęconej relacjom między kulturą lokalną a modernizacją (rozwojem). Wynika z nich, że kultura ma znaczenie.

W Polsce do podobnych konkluzji prowadzą badania socjologa gospodarki – Janusza Hryniewicza. Z jego studiów⁵ nad stosunkami pracy w polskich organizacjach oraz wpływem kontekstu historycznego na życie gospodarcze i kulturę organizacyjną⁶ wynika, że w Polsce dosyć trwale ustabilizowała się folwarczna kultura organizacyjna, która zaczęła rozwijać się w XVI wieku, wraz z podziałem Europy na zachodni i wschodni kompleks gospodarczy. Folwark stał się wówczas naszym oryginalnym wkładem do kultury gospodarczej jako instytucja ekonomiczna mająca sprostać strukturom przepływów w ramach ówczesnej, pierwszej globalizacji.

Kultura folwarczna związana była charakterystycznymi cechami zachowań dzielonych przez pracowników (fornali, dziewczki służebne) i kierownictwo. Kulturę folwarku wzmacniała instytucja pańszczyzny, która wprowadziła de facto niewolnicze relacje w środowisku pracy i quasi-totalitarną organizację społeczną obejmującą blisko 90% społeczeństwa Rzeczypospolitej.

Z najnowszych badań Hryniewicza wynika, że folwarczne kody regulacji instytucji nadal obowiązują w przeważającej liczbie organizacji i są upowszechnione nie tylko wśród osób o niższym statusie edukacyjno-społecznym. Nawet w grupie pracowników z wyższym wykształceniem ponad połowa oczekuje, że nie będzie musiała w miejscu pracy wykazywać się inwencją, a szef powie, co należy zrobić.

Wśród polskich pracowników dominuje afiliacyjno-obronny model motywacyjny, to jest cenią oni sobie najbardziej pewność pracy, dobrą organizację, dobre stosunki ze współpracownikami i kierownikami, szacunek. Oczekują ciepłych emocjonalnie relacji koleżeńsko-rodzinnych, nisko natomiast cenią osiągnięcia indywidualne – są one akceptowane tylko pod warunkiem, że nie naruszają nieformalnych hierarchii prestiżu, utartych opinii. W takim środowisku innowacje są tępione.

⁵ Janusz T. Hryniewicz, *Stosunki pracy w polskich organizacjach*, Warszawa 2007.

⁶ Janusz T. Hryniewicz, *Polityczny i kulturowy kontekst rozwoju gospodarczego*, Warszawa 2004.

Folwarczny styl myślenia charakteryzuje także kadrę menadżerską. Najmniej rozpowszechnionym stylem kierowania w polskich organizacjach jest styl demokratyczny, angażujący pracowników w analizę problemów i podejmowanie decyzji. Z takim stylem ma do czynienia zaledwie co piąty pracownik. Wśród szefów dominują postawy wodzowskie, autorytarne lub w najlepszym przypadku – biurokratyczne. Kierowanie wodzowskie odwołuje się do dyskrejonalności, jest emocjonalne i mało przewidywalne. Co gorsza, pracownikom generalnie odpowiada taki styl kierowania.

Okres PRL, zdaniem Hryniewicza: „ozaczał także refeudalizację stosunków pracy. Kultura folwarku rozkwitła ze zdwojoną mocą. W państwie autorytarnym, niedopuszczającym istnienia społeczeństwa obywatelskiego, odpowiedzią był rodzinny kolektywizm i amoralny często, familiaryzm. Socjalistyczny zakład pracy, podobnie jak folwark, oddzielał pracownika od państwa. Pojęcie obywatelstwa w znacznej mierze uległo redukcji do pojęcia pracownika.

Miejsce pracy traktowane było przez wyalienowanych pracowników jako miejsce realizacji własnych celów gospodarczych, stąd zjawiska wynoszenia narzędzi, chałtur na maszynach fabrycznych. Ta szczególna prywatyzacja doprowadziła do zastąpienia formalnej struktury łańcem społecznym, w którym stosunki między pracownikami stały się zależne od interesów i cech osób, a nie przepisów i norm⁷”. Jednocześnie jednak, przynajmniej pierwszy okres PRL wytworzył olbrzymi impuls modernizacyjny, związany między innymi z wymuszoną mobilnością wielkich mas ludzkich, co doprowadziło do złamania pewnych tradycyjnych wzorów zachowań wśród przybyszy na ziemię zachodnie i północne.

Niestety, mentalność folwarczna kwitnie nadal nie tylko w firmach. Z badań „Diagnozy społecznej” prowadzonych od 2000 roku pod kierownictwem Janusza Czapińskiego wynika: Polacy są narodem bez społeczeństwa. Najniższy wśród społeczeństw Unii Europejskiej poziom zaufania przekłada się na niską jakość kapitału społecznego, a ta na zdolność do komunikacji opartej na porozumieniu i kooperacji. W efekcie nieodmiennie na bardzo niskim poziomie utrzymują się oceny innowacyjności Polaków, a także zdolności do modernizacji w warunkach późnej nowoczesności.

By jednak nie ulegać toksycznej wymowie wyników poszukiwań prof. Hryniewicza, proponuję spojrzeć na rezultaty innych opracowań, opisujące przemianę etyki pracy w Polsce po 1989 roku. Na początku lat 90., tuż po

⁷ Polityka 23/2007 (wywiad z Edwinem Bendykiem).

upadku komunizmu, żyliśmy jeszcze zgodnie z wartościami odziedziczonymi po poprzedniej epoce. Jak pamiętamy, zajmujący się etyką pracy prof. Józef Tischner mówił w 1980 roku, że „polska praca jest chora”, co przekładało się na praktyczną zasadę: „czy się stoi, czy się leży...”. Jeszcze na początku lat 90. XX wieku na pytanie: „Zakładając, że masz wystarczająco dużo pieniędzy, czy nadal chciałbyś pracować?” – 48% respondentów odpowiadało „tak”, ale nie więcej niż dwie godziny dziennie. Tylko 11% stwierdziło, że dobrze byłoby pracować w pełnym wymiarze czasu. Inne badania ujawniły, że tylko 26% młodych ludzi w wieku 20-22 lata uznawało, że „praca jest dobra dla ich rozwoju”, podczas gdy 60% twierdziło, że „nie lubi się spieszyć, nie nadaje się do życia w konkurencji, nie lubi pracować zbyt ciężko, nie ma wygórowanych ambicji.”⁸

Potem jednak coś zmieniło się w ciągu 10 lat. Wystarczy spojrzeć do danych z European Values Study. Okazuje się, że 74% Polaków twierdzi, że „praca jest niezwykle ważna” – to najwyższy wskaźnik spośród 32 uwzględnionych w badaniu krajów. „Praca ma priorytet, nawet jeśli oznacza to mniej czasu wolnego”, pogląd ten uznaje 64,4% Polaków (dla porównania, 65,9% Holendrów jest odmiennego zdania). „By rozwijać swoje talenty, trzeba pracować”: zgadza się z tym 91,4% Polaków, 47,1% Holendrów odrzuca taką postawę. „Ludzie, którzy nie pracują, stają się leniwi”: 77,4% Polaków zgadza się, 47,6% Holendrów nie. I w końcu: „To upokarzające brać pieniądze bez pracy”: 65,2% zgadza się, 65,9% Holendrów nie.

Za słowami idą czyny. Dane OECD ujawniają, że zatrudniony Polak spędza rocznie 1983 godziny w pracy (tyle samo, co Czech). Tylko Koreańczycy są bardziej pracowici, spędzając w pracy 2423 godziny rocznie. Najmniej pracują Holendrzy, tylko 1357 godzin w roku. Tak więc jesteśmy narodem pracowolików, niemającym czasu do stracenia. Gdy prezentowałem powyższe dane podczas Europejskiego Uniwersytetu Pracy w Duisburgu, we wrześniu 2006 roku, wszyscy byli zaskoczeni szybkością zmiany etyki pracy.

Cieszyć się więc? Pytany o to Hryniewicz zwraca uwagę: „Niestety, wartości, które ujawnia wśród polskich pracowników EVS, są już pass z punktu widzenia rodzącej się gospodarki opartej na wiedzy. Co z tego, że dużo pracujemy, skoro w pracy ciągle dominują folwarczne stosunki pracy, tłumiące kreatywność i innowacyjność. Nie chodzi o to, żeby się spocić. Chodzi o to, żeby ciągle myśleć o tym, co poprawić, i nie traktować nowych pomysłów

⁸ Za: Krystyna Skarżyńska, *Pracowity jak Polak*, Kultura współczesna 1 (47)/2006.

jako zagrożenia⁹”. Inaczej, w naszej pracowitości ujawnia się nieodmiennie kultura folwarku, co zresztą potwierdzają także cytowane analizy Skarżyńskiej (Polacy pracują ciężko, bo boją się utraty pracy lub szefa tyrana).

Skoro kultura organizacyjna folwarku jest tak trwała, to może nie należy z nią walczyć. Przecież mimo tego wzoru Polska rozwija się dynamicznie, poprawiają się wszelkie parametry życia społecznego, z wyjątkiem zaufania, które niezmiennie utrzymuje się na najniższym wśród krajów Unii Europejskiej poziomie. Znowu jednak odwołam się do prof. Hryniewicza, przekonującego że, jeśli nie zmienimy postaw społecznych, grozi nam pozostanie na dłuższy czas w folwarcznym skansenie: „Gospodarka przeżywa dziś podobnie rewolucyjny moment transformacji, jak na przełomie XV i XVI w. Powstaje gospodarka oparta na wiedzy. To ona jest źródłem największych korzyści, ale wymaga odpowiedniej mentalności i kultury organizacyjnej. W efekcie jej rozwoju ustali się nowy podział pracy. Jeśli nie weźmiemy aktywnego udziału w tym procesie, to podobnie jak przed 400 laty zostaniemy na marginesie, jak wówczas stanowiąc jednocześnie zaplecze aprowizacyjne i cywilizacyjne przedmurze¹⁰”.

Powinniśmy się więc zmienić, ale czy zmiana jest możliwa? Na pewno tak, choć warto pamiętać, że wzory kulturowe zmieniają się najwolniej. Odpowiedzi na kulturowe uwarunkowania polskiego rozwoju szukałem wspólnie z socjologiem Kazimierzem Krzysztofkiem, z którym redagowaliśmy zeszyt „Kultury współczesnej” poświęcony zagadnieniu: „Czy kultura w Polsce ma znaczenie?”¹¹. Uczestniczący w projekcie autorzy przedstawili bardzo subtelny i złożony obraz kulturowych determinant, co skłoniło mnie do sformułowania tezy, że głównym problemem blokującym przemianę jest metakultura bierności. Odwołuję się tu do koncepcji Grega Urbana. Amerykański antropolog¹², zastanawia się, w jaki sposób narodziła się kultura innowacyjności, (polegająca na stymulowaniu, wbrew naturalnemu konserwatyzmowi jednostek i systemów społecznych, nowości, a nie na repetycji, czy inaczej – na produkowaniu nowej wiedzy (kultury), a nie na powtarzaniu starych tekstów?

⁹ Polityka 23/2007.

¹⁰ Polityka 23/2007.

¹¹ Kultura współczesna, 1 (47)/ 2006.

¹² Greg Urban, *Metaculture*, Minneapolis 2002.

By wyjaśnić tę kwestię, Urban wprowadza pojęcie metakultury. Na metakulturę składają się wytwory kultury komentujące ją samą i wywierające presję na produkowanie nowości. Na przykład istnienie czasopism poświęconych filmowi przez ciągły głód tematów do recenzji sprzyja akceleracji produkcji filmowej. Istnienie prasy codziennej karmiącej się zmianą, nowością wywiera wpływ na politykę, która także zaczyna karmić się wydarzeniem.

Przełożmy koncepcję Urbana na sytuację polską. Otóż nie wystarczy otworzyć sfery publicznej na pluralizm kodów, musi jeszcze istnieć metakultura innowacji, sprzyjająca produkcji kodów innowacyjnych. Musi to być metakultura przyszłości i zmiany ku przyszłości, bo tylko przyszłość jako wyzwanie jest powodem do innowacji.

Jak więc wygląda współczesna polska metakultura? Dobrym polem jej analizy jest literatura i czytelnictwo. Można w tym celu skorzystać z przemyśleń jednego z najbardziej przenikliwych znawców naszej współczesnej literatury Przemysław Czapliński. Opisuje on proces ewolucji zarówno polskiego czytelnika, jak i polskiej literatury. Jeszcze u schyłku lat 80. XX wieku, u kresu „czasu marnego”, istniało przekonanie, że jest kanon, zbiór lektur niejako obowiązkowych dla inteligenta. „Potem ujawniły się dwa równoczesne, lecz sobie przeciwne procesy: z jednej strony zaczęły różnicować się księgozbiory, z drugiej zaś równie silne okazały się procesy unifikacji. Rozpoznawanie wielości różnic, charakterystyczne dla pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych, u schyłku dekady wyraźnie osłabło. Ksenofobie, antychrześcijański – pełen nienawiści – katolicyzm, regres tolerancji inności, stanowienie prawa z punktu widzenia „polskiej tożsamości centralnej”, czyli zawężenie się społecznej debaty, to jedno oblicze unifikacji. Drugie zaś wytwarza współczesna obojętna tolerancja, która sprawia, że różnice są bagatelizowane”¹³.

Dalej Czapliński przedstawia zanik zdolności zróżnicowanego czytania – czytamy wiele różnych książek, ale tak samo. Wielość kodów ulega redukcji, między innymi za sprawą massmediów, które taki sposób czytania narzucają czytelnikom, co w efekcie wraca rykoszetem w postaci twórczości literackiej próbującej się takiemu „odróżnicowanemu” czytelnikowi przypodobać. Ale literatura, która próbuje się przypodobać, która sankcjonuje stan komunikacji społecznej, wpasowując się weń, jest literaturą złą. Literatura dobra

¹³ P. Czapliński, *Efekt bierności. Literatura w czasie normalnym*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004, s. 6.

w komunikacji wprowadza ruch, produkuje nowe kody, zwiększa zróżnicowanie możliwych interpretacji świata.

Co stwierdza Czapliński, przyglądając się polskiej literaturze lat 90.? „Oto w latach dziewięćdziesiątych literatura traci zdolność ożywiania i zakłócania komunikacji społecznej”. I w innym miejscu: „literatura taka wytwarza – nie bez przyzwolenia z naszej strony - efekt bierności. Dokładnie taki sam, jaki chce wytwarzać komunikacja masowa”¹⁴.

Co jest przyczyną tej degradacji? Otóż zgubne w skutkach założenie, że w 1989 roku, porzucając realny socjalizm, a więc stan nienormalny, na zasadzie przeciwieństwa wkroczyliśmy w stan naturalnej normalności. Czapliński wyjaśnia: „Normalność była jednym z mitów założycielskich nowej rzeczywistości. Mit ten, zdaje się, mówił, że „normalne” jest przeciwieństwem „totalitarnego”, a zatem że wolność stanowi samoczynny układ pozwalający istnieć (działać, żyć, tworzyć, pracować, zarabiać) normalnie”¹⁴. Doskonałą ilustracją tej tezy jest wystawa „Drogi do wolności” prezentowana w Stoczni Gdańskiej. Oto widzimy w niej starcie starego, nienormalnego świata (na przykład atrapa ohydnygo socjalistycznego sklepu) z normalnością, jaką wywalczyła „Solidarność”. Normalność tę przedstawiają fotografie młodych ludzi, którzy zgodnie powtarzają takie mniej więcej formuły: „studiowałem marketing gdzieś tam, dziś mogę sobie surfować na desce”. To ilustracja społeczeństwa całkowicie sprywatyzowanego, zdepolityzowanego – bo w normalnym świecie polityką zajmować się nie trzeba, bo polityka to robota dla zawodowców. I tak mit „normalności” wywołał efekt bierności, a w rezultacie wytworzyła się swoista metakultura bierności, której elementem jest również, niestety, literatura. W „czasie marnym” to właśnie ona tworzyła przynajmniej zrab metakultury przyszłości (by wspomnieć choćby twórczość Lema, która zasilala codzienny język nowoczesnej inteligencji).

Metakultura bierności przyczynia się do systematycznej degradacji społecznego potencjału innowacyjnego, pozbawiając system społeczny tak niezbędnych kodów. Aleksander Kwaśniewski, obejmując urząd prezydenta w 1995 roku, przynajmniej mówił jeszcze o przyszłości, postępie i wyzwaniach XXI wieku, choć nie miało to już wielkiego znaczenia performatyw-

¹⁴ Tamże, s. 17.

¹⁴ Tamże, s. 13.

nego. Lech Kaczyński, 10 lat później, o przyszłości już nie mówił¹⁶. Nie mówił, bo nie mówi o niej literatura (zamiast Lema czyta się dziś fantasy).

Jak pozbyć się metakultury bierności? Modernizując najistotniejsze jej nośniki: polską szkołę, system szkolnictwa wyższego i nauki, wprowadzając do debaty publicznej problemy przyszłości. To charakterystyczne, że w Wielkiej Brytanii, która przygotowuje olimpiadę na 2012 rok debatuje się o tym, jak spowodować, by wydarzenie to zostawiło jak najmniejszy „ecological footprint” (śląd ekologiczny). Pod tym kątem projektowane są inwestycje i rozwiązania logistyczne. W Polsce, myśląc o Euro 2012, zastanawiamy się nad tym, czy w ogóle damy radę cokolwiek zrobić. W tym samym czasie w Stanach Zjednoczonych koncern Google z fundacją X Prize ufundował nagrodę, oferując 20 milionów dolarów pierwszemu prywatnemu zespołowi, który do końca 2012 roku wyniesie na Księżyc bezzałogowy pojazd samobieżny.

¹⁶ P. Pacewicz, *Kwaśniewski i Kaczyński o Polsce i Polakach*, „Gazeta Wyborcza”, 13 stycznia 2006.

*dr Anna Sosnowska**

Kulturowe ślady folwarku

Wśród historyków panuje powszechna zgoda, że gospodarcze i kulturowe skutki systemu folwarczno-pańszczyźnianego są w Polsce dogłębne. Ten tekst przedstawia główne zasady działania folwarku. Następnie, w tabeli, proponuje interpretację wpływu folwarku i pańszczyzny na strukturę społeczną oraz kulturę gospodarczą i polityczną.

System ten nie był specyfiką polską. Dominował w Europie na wschód od Łaby i północ od Dunaju od początku XVI aż do XIX wieku, kiedy to kraje wschodnioeuropejskie: Prusy, imperium habsburskie i Rosja zniosły pańszczyznę i uznały wolność osobistą chłopów. W tym okresie cała uprawna ziemia należała do szlachty. Chłopi nie mieli żadnych praw gospodarczych, to jest własności czy prawa do zarobku sprzedaży. Od XVI wieku wymiar pańszczyzny rósł i osiągał do 6 dni w tygodniu. Wszystko, co wytworzyli, należało do pana. Nie mieli prawa ani sprzedawać, ani kupować. System opierał się też na osobistym poddaństwie chłopów. Nie mieli prawa przemieszczania się. Podlegali w zupełności szlacheckiemu prawodawstwu i kontroli. Odarci z prywatności, zobowiązani byli do wczesnego małżeństwa i maksymalnej rozrodczości, żeby zapewnić folwarkowi nowe pokolenia robotników. Poddaństwo różniło się od amerykańskiego niewolnictwa – poza oczywistą różnicą rasy – tym, że sprzedawano co najwyżej wioski, a nie pojedynczego chłopą, zaś małżeństwo chłopskie wraz dziećmi, chałupką i działką przyzagrodową, a nie pojedynczy niewolnik, stanowiło jednostkę produkcyjną.

*Ośrodek Studiów Amerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego.

Pozycja grup etnicznych i nielicznych wspólnot miejskich, którym władza udzielała w tym feudalnym systemie specjalnych koncesji, była lepsza niż chłopów. Handlem i rzemiosłem zajmowali się w Europie folwarku często Żydzi i Niemcy. I oni nie mieli wolności obywatelskich i politycznych, ale byli wolni osobiście i gospodarczo w ramach kontraktu między władcą a wspólnotą.

Tylko część folwarków miała charakter towarowy. Ich produkcja była zorientowana na eksport. Te folwarki, głównie zbożowe, rozwijały się przede wszystkim w dorzeczu Wisły, którą spławiano towary w XVI-XVIII wieku do Gdańska i Bałtykiem na zachód Europy. Handel organizowali w tym okresie kupcy holenderscy, a potem angielscy. Szlachta kupowała od nich produkty zachodniego rzemiosła, których nikt nie był w stanie produkować na miejscu.

Długotrwałym efektem tego systemu, jak twierdzą niektórzy historycy gospodarczy (na przykład Marian Małowist i Witold Kula), był upadek lokalnego rzemiosła i miasteczek rynku wewnętrznego: chłopci nie mieli prawa handlować, a szlachta zawierała transakcje z kupcami zachodnimi.

W okresie, gdy w najbogatszych krajach nowożytnego zachodu Europy rozwijały się samorządne politycznie miasta, a wolnością osobistą cieszyła się zdecydowana większość ludności i formowały się silne państwa absolutystyczne, w Polsce rozwijał się folwark oparty na poddaństwie i pańszczyźnie, miasta upadały, z wyjątkiem tych zaangażowanych w eksport zboża, a król był elektem zupełnie uzależnionym od interesów najsilniejszych rodzin magnackich.

Folwark, już bez poddaństwa i pańszczyzny, przetrwał w Polsce aż do reformy rolnej po II Wojnie Światowej. Dwór pozostał głównym właścicielem ziemi, dominującym nad okolicznym chłopstwem, już nie prawnie, ale gospodarczo i kulturowo.

Oto schemat interpretacji, jak folwark kształtował postawy i wartości.

	Społeczne i gospodarcze skutki wówczas	Społeczne i gospodarcze skutki teraz
	STRUKTURA SPOŁECZNA	
Społeczeństwo wiejskie i niewielka rola miast aż do XX wieku	Ziemia była głównym dobrem gospodarczym, a jej posiadanie głównym źródłem prestiżu. Zajęcia finansowe nie były cenione. Nie wykształciły się niezależne od szlachty gospodarczo i samorządne politycznie miasta	Podział na kulturę wiejską i wiejską, podejrzliwość wobec kultury miejskiej, kapitału „luźnego” – nieziemskiego i nieprzemysłowego
Prawne podziały stanowe (chłopi, szlachta, mieszczaństwo, Żydzi) aż do XIX wieku oraz społeczno-kulturowe podziały stanowe do II Wojny Światowej	Odrębność kultur rozumianych jako styl życia i gospodarowania wzdłuż linii stanowych i etnicznych: pańska, chłopska, żydowska	Dwukulturowość: elitarno-inteligentna i „zwykłych” ludzi. Spory wewnątrz inteligencji między nurtami postszlacheckim, katolickim i tradycjonalistycznym a nurtem postżydowsko-postępowym, świeckim lub antyklerykalnym. Mimo nacjonalizmu, brak silnego ponadklasowego poczucia wspólnoty
Pańszczyzna trwająca do XIX wieku	Chłopi pańszczyźniani nie byli podmiotami gospodarczymi. Ich gospodarność (racjonalność gospodarcza) polegała na unikaniu i udawaniu pracy, ukrywaniu danych na temat zbiorów, nielegalnym ich zawłaszczaniu i sprzedaży. Rachunkowość szlacheckiego przedsiębiorcy nie obejmowała kosztów pracy. Sprowadzał specjalistów i technologie z Zachodu, ale zatrudniał pańszczyźnianych robotników. Mniejsze znaczenie rynku – chłopi nie kupowali, szlachta produkowała na własne potrzeby i sprowadzała z Zachodu. Brak klasy średniej	Słabe umiejętności nowoczesnej kalkulacji gospodarczej. Gospodarność pańszczyźniana – zatajen, oszustw, udawania. Państwo (socjalistyczne i teraz) jako folwark i pan, który wykorzystuje i trzeba je przechrzyć. Niepłacone podatki, wyłudzenia świadczeń. Podwójność dochodów w sferze budżetowej
W okresie folwarku pańszczyźnianego gospodarka zorientowana na produkcję surowców (zboża) na eksport do Europy Zachodniej, a import dóbr prestiżowych (według niektórych interpretacji – Mariana Małowista i Witolda Kuli)	RELACJE ELITY Z ZACHODEM	
	Zniszczenie rynku wewnętrznego. Faworyzowanie kupców zachodnich	Dobra importowane są dobrami luksusowymi i prestiżowymi

W okresie późnej industrializacji od XIX wieku do II Wojny Światowej szlachta pozostaje głównym aktorem ekonomicznym. Nowoczesne technologie, specjaliści, kapitał i elitarnie wzory konsumpcji pochodzą z zewnątrz	Industrializacja wyspowa i elitarna oparta o inwestycje zagraniczne i zamówienia publiczne. Podziały klasowe nakładają się na podziały etniczne, bo część inwestorów i fachowców pochodzi z Zachodu, głównie Niemiec. Oszczędności lokowane na Zachodzie	Warto rozważyć, czy te doświadczenia historyczne są odpowiedzialne za wiarę, że gospodarkę trzeba modernizować w oparciu o otwarcie rynku i zagraniczne inwestycje. Szczególny respekt dla zachodnich profesjonalistów pracujących w Polsce. Prestiż związany z pracą dla zachodnich inwestorów
W okresie do II Wojny Światowej elity spierają się o kulturową odrębność Polski od Zachodu. W okresie folwarku elity przyjmowały też wzory „wschodnie”, a odrębność od Zachodu – sarmatyzm – uświadamiano sobie i pielęgnowano fryzurą, strojem. Dopiero od końca XIX wieku nienawiść do Wschodu – Rosji i fascynacja nowoczesnymi technologiami i rewolucjami, elity zwracają się jednoznacznie na Zachód. To w skali światowej jest moment triumfu Zachodu i nieatrakcyjności innych wzorów	Silna fascynacja elity kulturą materialną i artystyczną Zachodu. Naśladownictwo wzorów konsumpcji, import dóbr luksusowych i przedmiotów, technologii oraz idei, ale nie wzorów politycznych i społecznych, które wymagałyby rezygnacji z przywilejów (na przykład zniesienia pańszczyzny, reformy rolnej). Pożycie ideowej solidarności z (czasem abstrakcyjnym) Zachodem	Popularność mód, trendów intelektualnych i artystycznych z Zachodu Zwesternizowane elity i kulturowo odmienne klasy niższe – problemy w dobie powszechnego udziału w polityce
STRUKTURY POLITYCZNE		
W okresie republikanizmu szlacheckiego (XVI–XVIII wiek), który towarzyszył systemowi folwarko-pańszczyżnianemu, liczna i różnicowana majątkowo szlachta w warunkach formalnej równości politycznej	Szlachecki klientelizm. Magnat – zamożny patron wspomaga gospodarczo, daje urzędy i organizuje życie towarzyskie drobnej szlachty (zwłaszcza tak zwanej gołoty – bez majątku) w zamian za polityczne poparcie. Alternatywne do państwowych struktury administracyjne, a nawet militarne i dyplomatyczne. Osłabienie oficjalnych struktur państwowych	Partia polityczna i lokalna, władza jako patron. Korupcja polegająca na popieraniu „swoich”. Brak tradycji propanstwownej elity

Jan Filip Stanilko*

Dlaczego Polska potrzebuje neosarmackiego republikanizmu?

„Państwo [*polis*] jest pierwiej [*protos*] w stosunku do rodziny i jednostki”
Arystoteles, *Polityka*, ks. I

„Wszelka władza społeczności ludzkiej początek swój bierze z woli narodu”
Konstytucja 3 Maja

„Nie masz wolności bez prawa”
Michał Karpowicz, *Kazanie o miłości ojczyzny*

Niedawno, po przedstawieniu referatu, którego rozwinięcie stanowi niniejszy tekst, zostałem zapytany, czy wyobrażam sobie powrót do pozytywnego użycia w dyskursie publicznym słowa „sarmatyzm”. I przyznałem, że nie. Zbyt daleko oddaliliśmy się od sensu naszej tradycji, by móc sobie teraz na to pozwolić. Dwa i pół stulecia kosmopolityzmu polskich elit; czasem narzuconego im, a czasem dobrowolnego kolonializmu intelektualnego; oraz dziejowa porażka republikanizmu na Starym Kontynencie w pełni tłumaczy stan, w którym się znaleźliśmy. *Nie rozumiemy naszej tradycji politycznej i nawet chcąc, nie umiemy jej dziś poważnie potraktować.* Nie zmienia to faktu, że mimo wszystko uważam, iż najlepszą rzeczą, jaka może się dziś Polsce przydarzyć, jest przywrócenie jej własnej kultury wolności. Paradoksalnie – ale my przecież nie boimy się paradoksów – będzie to gest całkowicie w duchu naszej postmodernistycznej epoki. Jest to na swój sposób ponowoczesne – ponieważ hiperświadome – odtwarzanie dawnego (wygaszanego, ale wciąż

*Doktorant w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, redaktor dwumiesięcznika *Arcana*.

odżywającego) dyskursu politycznego, bez którego nie da się w ogóle zrozumieć polskiej kultury, społeczeństwa i historii. *Polska po komunizmie musi i może wymyślić siebie w dużej mierze na nowo. Sarmacki republikanizm jest propozycją uczynienia kapitału z dziedzictwa kulturowego. Jednak poza reżimem nowoczesności, uosabianej przez francuską ideologię rozumu i niemiecką racjonalną biurokrację, a bliżej angielskiej socjologii cnoty i amerykańskiej polityki wolności.*¹ Dlatego uważam, że Polsce potrzebny jest dziś neosarmacki republikanizm!

Wolność przed liberalizmem

Czy można być miłośnikiem wolności, nie będąc liberałem? Choć niektórym wydać się to może nieco dziwne, to odpowiedź bez wątpienia jest twierdząca. Można być przecież republikaninem. Trudno znaleźć odpowiedź bardziej historycznie zakorzenioną. Wszak tradycja republikańska to samo jądro zachodniego myślenia o wolnym człowieku. Co więcej, trudno znaleźć bardziej polską odpowiedź na to pytanie. Od końcówki XV do połowy XIX wieku na wielkim obszarze między Gdańskiem a Kijowem i między Witebskiem a Krakowem żył dumny, miłujący wolność naród, który pozostawił po sobie wspaniałą kulturę wolności i prawa nazywaną dziś sarmatyzmem. *Sarmatyzm to nic innego jak umiłowanie wolności, obywatelskiej samorządności i prawa naturalnego. Sarmatyzm to polski republikanizm.* W latach 1569–1795 istniała największa, do czasów powstania USA, republika czasów nowożytnych – Rzeczpospolita Obojga Narodów. *Republikanizm to polska kultura polityczna czasów stabilności.* Kultura polska w sensie kultury wieloetnicznego narodu politycznego.² *Niestety, jak się wydaje, wraz z końcem kultury republikańskiej w Polsce, około połowy XIX wieku, zniknął też ostatecznie fundament naszej pewności siebie i poczucia własnej wartości.*

Trudno doprawdy znaleźć w naszych dziejach tradycję, która mogłaby napawać nas większą dumą. Ale jednocześnie trudno znaleźć dziedzictwo bardziej obarczone negatywnymi stereotypami i przez to równie słabo zbudowane. Paradoks dziejowy polega wszak na tym, że po rozbiorach, a zwłaszcza

¹ Por. Gertrude Himmelfarb, *The Roads to Modernity. The British, French, and American Enlightenments*, New York: Vintage, 2005.

² Rzeczpospolita Obojga Narodów była wieloetnicznym państwem o jednolitej kulturze politycznej. Na pewno jednak nie była państwem wielokulturowym, jak to się dziś często próbuje lansować. Za to spostrzeżenie dziękuję prof. Edwardowi Możejce.

po komunizmie, ówcześni spadkobiercy rozpolitykowanego narodu sarmackiego nie znali już, a co gorsza nie rozumieli swojego politycznego dziedzictwa. Dziedzictwem konserwatywnej historiografii stańczykowskiej w XIX wieku i marksistowskiej historiografii w wieku XX jest druzgocąca krytyka dawnych porządków polskich. Pisana odpowiednio z punktu widzenia smutnego ich końca, to jest rozbiorów lub z punktu widzenia wykluczonych tamtego społeczeństwa – chłopów pańszczyźnianych. Natomiast jeśli dziś chcielibyśmy na nowo odkryć dziedzictwo sarmackie jako żywą tradycję, musielibyśmy zmierzyć się z dwoma wyzwaniem nowoczesności – wyzwaniem biurokratycznego państwa nowoczesnego i wyzwaniem kapitalizmu. Dotąd nikt nie umiał pokazać, że sarmatyzm potrafi sprostać tym wyzwaniom.

Nic dziwnego zatem, że jedynym horyzontem myśli wolnościowej w 1989 roku był liberalizm, czyli myśl wolnościowa o wiele młodsza (od XVIII wieku), a przede wszystkim dużo bardziej odległa polskiej kulturze niż jakakolwiek inna. *Liberalizm bowiem nigdy, powtarzam – nigdy, nie cieszył się w Polsce popularnością*. Spadkobiercy polskiej szlachty – inteligenci – rzadko bywali liberałami, a dużo częściej socjalistami, narodowymi demokratami lub konserwatystami. Liberałami najczęściej bywali przedstawiciele burżuazji – a więc w Polsce zazwyczaj Niemcy lub zamożni Żydzi, tudzież nieliczni intelektualiści w rodzaju Tadeusza „Boya” Żeleńskiego czy Antoniego Słonimskiego³. Liberalizm jako ideologia burżuazyjna nie mógł cieszyć się w Polsce popularnością, zważywszy na fakt, że w 1939 roku ta klasa społeczna stanowiła zaledwie 0,9% społeczeństwa, czyli 0,3 miliona obywateli⁴.

Ale liberalizm jest w Polsce doktryną nie tylko niezakorzonioną, ale także niesie ze sobą poważne problemy natury teoretycznej. Pisał o nich niedawno Zdzisław Krasnodębski w „Demokracji peryferii”: „Dylemat każdego liberalizmu we wszystkich postaciach polega na tym, że wolne życie obywateli oparte jest na normatywnych zasobach, których źródła są pre- lub neoliberalne. I wydaje się, że liberalne zasady mogą niszczyć preliberalne wartości konieczne dla właściwego funkcjonowania życia społecznego. [...] Gdy więc

³ Por. uwagi w powojennym sporze „bohaterszczyzny” i „szyderców” w: *Upadek hegemonii szyderców. Rozmowa z Bronisławem Łagowskim*, „Dziennik — Europa”, 15. XII 2007, s. 2–5.

⁴ Por. Jacek Wasilewski, *Formowanie się nowej struktury społecznej*, [w:] *Współczesne społeczeństwo polskie. Dynamika zmian*, red. Jacek Wasilewski, Warszawa: Wydawnictwo naukowe Scholar, 2006, s. 50–77

wielu polskim liberałom wydaje się, że naczelnym problemem polskiego społeczeństwa jest jego zamknięty charakter, a zadanie liberalizacji polega na jego otwarciu, w społeczeństwach ponowoczesnych pojawia się pytanie, co miałyby je domykać, porządkować, ograniczać i integrować. Faktycznie to pytanie stosuje się bardziej do społeczeństw postkomunistycznych, w których realny socjalizm naruszył normatywną strukturę w jeszcze większym stopniu, niż były to w stanie uczynić przemiany kulturowe na Zachodzie.”⁵ Innymi słowy, istnieje bardzo poważny zarzut mówiący, że *liberalizm nie odtwarza swoich normatywnych podstaw i co za tym idzie – nie powinien w sposób nieograniczony obejmować aksjologicznych fundamentów społeczeństwa, w którym funkcjonuje*.

Kieruje nas to ku problemowi źródeł teorii politycznych. Skłaniam się ku pogładowi, że *teorie polityczne – zwłaszcza te o luźnym zakotwiczeniu metafizycznym, takie jak liberalizm – były i są budowane dla pojęciowego uformowania doświadczenia praktycznego*. Innymi słowy, teorie polityczne z jednej strony nadają racjonalne uzasadnienie poglądom na to, czym jest i jak powinien wyglądać sprawiedliwy porządek polityczny, a z drugiej strony, narzędziami uprawiania polityki – nadają normatywne uzasadnienie naszym działaniom⁶. Zatem myśl Johna Locke’a, Adama Smitha, Johna Stuarta Milla, Herberta Spencera, Maxa Webera czy Johna Rawlsa nie może być ot tak sobie oderwana od historycznej rzeczywistości, którą miała uzasadniać lub przemieniać. *Analiza polskiej recepcji liberalizmu pokazuje, że zarówno w XIX, jak i w XX wieku miał on charakter myśli w dużej mierze salonowej, mało przydatnej do przekształcania realiów społecznych, bo w niewielkim stopniu z nimi związanej*.⁷ Co więcej, po komunizmie często nie rozumiano, że po 300 latach istnienia to niesłychanie złożony i bogaty nurt myśli, który ma wiele – często rywalizujących ze sobą – odmian i zastosowań.

Liberalizm jest mocno niehistorycznym sposobem myślenia, dlatego warto podkreślić, że historycznie jest on dzieckiem republikanizmu. Podobnie jak nowoczesna demokracja. Republikanizm zaś to myśl wolnościowa o starożytnym rodowodzie. Głównymi mistrzami republikańskiego myślenia byli:

⁵ Zdzisław Krasnodębski, *Demokracja peryferii*, Gdańsk: Słowo/Obraz Terytoria, s. 179.

⁶ Por. Alasdair MacIntyre, *Self-Images of the Age*, London: Duckworth, 1971, s. 1–11.

⁷ Por. Józef Chałasiński, *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej*, Warszawa: Świat Książki, 1997, s. 126/7.

1. w starożytności: Arystoteles, Polibiusz, Plutarch, Cyceron (*De Republica, De Officiis*), Liwiusz, Sallust, Tacyt,
2. w średniowieczu: Giovanni da Vitterbo, Brunetto Latini, Marsylisz z Padwy,
3. w renesansie: Colluccio Salutati, Leonardo Bruni, Matteo Palmieri, Thomas More, Machiavelli (*Discorsi*), Francesco Guicciardini (*Dialogi o rządzie Florencji*), Donato Giannotti, Antonio Brucioli,
4. w XVII wieku Holendrzy: Pieter de la Court, Johan de Witt i Anglicy: James Harrington (*Commonwealth of Oceana*), Henry Neville, Algernon Sidney (*Discourses concerning Government*), John Milton (*Defense of the People of England*),
5. w XVIII wieku: J. J. Rousseau (*Umowa społeczna*), Immanuel Kant (*O wiecznym pokoju*), Thomas Paine (*The Rights of Man*), Alexander Hamilton i James Madison (*The Federalist Papers*). 10.

Pierwsze republiki bez niewolników powstały we Włoszech w XIII wieku. Były to Florentia, Venetia, Genoa, Pisa, Lucca, Siena i Milano. Powstała tam wówczas wspierała kultura polityczno-literacka nazywana dzisiaj humanizmem. *Ojcowie założyciele Rzeczypospolitej Obojga Narodów byli najczęściej studentami włoskich uniwersytetów lub pozostawali pod bardzo silnym wpływem włoskiego humanizmu.* Jan Ostroróg, Filip Kallimach, Stanisław Zaborowski, Andrzej Frycz Modrzewski czy Jakub Przyłuski i inni przywódcy ruchu egzekucyjnego, tacy jak kanclerz Jan Zamojski – wszyscy oni byli pełnoprawnymi obywatelami europejskiej *Republique des Lettres* („Republiki listów”), intelektualną elitą kontynentu. Taka sytuacja właściwie już nigdy się w Polsce nie powtórzyła⁸.

Alternatywna historia

Historię, jak wiadomo, piszą zwycięzcy. *Historię Europy napisały absolutystyczne imperia. Republikańska historia wyglądałaby zgoła odmiennie.* Republiki były największymi przegranymi nowoczesności – Nowogród Wielki,

⁸ Do wyjątków zaliczyć można takich ludzi, jak Jan Potocki, A. Mickiewicz, J. Lelewel, L. Krzywicki, J. Conrad, B. Malinowski, M. Skłodowska-Curie, F. Znaniecki czy K. Twardowski i jego liczni uczniowie zrzeszeni w tak zwanej szkole lwowsko-warszawskiej lub tak zwana polska szkoła matematyczna S. Banacha i H. Steinhausa, a po wojnie Cz. Miłosz, L. Kołakowski i Z. Bauman. Nigdy już jednak nie byli to politycy!

wolne miasta Niemiec, republiki włoskie, republika holenderska, Rzeczpospolita Obojga Narodów – wszystkie te państwa upadły do czasów Napoleona. Wszystkie powstawały zainspirowane ponownie odkrywaną w średniowieczu antyczną myślą polityczną (Arystotelesem i Cyceronem). *Polska republika była adaptacją antycznych i włoskich wzorów do ówczesnych realiów polityczno-ekonomicznych na wschód od Łaby*. Kształtowała się w trakcie rozprzestrzeniania się niepokoїв religijnych związanych z reformacją, i to właśnie jej konstrukcja pozwoliła uniknąć (podobnie jak Niderlandom) drastycznych konfliktów, jakie miały miejsce na zachodzie Europy. I choć Rzeczpospolita nie była równie perfekcyjnie zaprojektowana, jak uznawana wówczas za idealną republika wenecka, to oba państwa zakończyły swój żywot niemal równocześnie. Należy tu podkreślić kilka spraw, które dotąd nie zostały w Polsce odpowiednio zrozumiane.

Historia nowożytnej Europy to proces wyłaniania się państw narodowych – zazwyczaj z biurokratycznych monarchii stopniowo przekształcających się w liberalne, mieszczańskie demokracje. *Republiki renesansowe zbudowane były na starożytnym, arystokratycznym ideale otium – życia wolnego od pracy, lecz poświęconego polityce*. Polska republika była państwem szlachty-obywateli – nie urzędników. Urzędnicy potrzebni wówczas byli władcom państw rządzonych despotycznie. Jak pisał Feliks Koneczny: „[...] Biurokracja była nieznana polskiej umysłowości. Polska sztuka rządzenia polegała na rozbudzaniu ducha obywatelskiego, a pruska, austriacka i rosyjska na tłumieniu go. Polską rządili obywatele, państwami zaborczymi biurokraci.”⁹ *Trzeba zatem zrozumieć, że całkowitym ewenementem był fakt trwania Rzeczpospolitej w otoczeniu silnych absolutystycznych monarchii. Skutki tej odmienności odczuwamy do dziś – to polski republikanizm jest źródłem tej dziwnej i tak boleśnie często odczuwanej nieprzystawalności Polaków do nowoczesnego Zachodu. Polska mikromania ma swoje źródło w konformistycznej potrzebie dołączenia do oświeconej Europy. Jednak ceną za to jest odcięcie się od własnego dziedzictwa*.

Tradycyjnie wszyscy teoretycy republik zmagali się z dwiema ich bolączkami. Po pierwsze, z przekonaniem, że mogą one być tylko niewielkie pod względem obszaru. Długo nie wyobrażano sobie, że politykę *sensu stricto*, to jest wolną deliberację zgromadzenia obywateli, można uprawiać, żyjąc na wsi. Narodowi Rzeczpospolitej udało się stworzyć na gigantycznym obszarze niesłychanie sprawnie funkcjonującą politykę, uprawianą przez spokojnych

⁹ Feliks Koneczny, *Polski logos i ethos*, t. II., Warszawa: Księgarnia św. Wojciecha, 1921, s. 230.

posiadaczy ziemskich, wolnych od arbitralnej woli rynku (podobna marzyła się potem takim amerykańskim antyfederalistom, jak Thomas Jefferson). Po drugie, republiki tradycyjnie podatne były na problem ekspansji. Udały podbój – jak uczył choćby los republiki rzymskiej – niszczył wolność, bo rodził uwielbianych wodzów i powodował gnuśnienie obywateli, którzy woleli wojnę pozostawiać najemnikom. Rzeczpospolitej udało się przetrwać całe stulecie wojen z największymi potęgami ówczesnej Europy. Wojny te jednak faktycznie nadszarpane jej podstawami. Dopóki bowiem jej obywatele mogli prowadzić życie polityczne wolne od trosk ekonomicznych, istniały warunki do kultywowania cnót politycznych. W czasach załamania gospodarczego oraz kataklizmu wojny domowej (1648) i najazdu szwedzkiego obywatele stracili podstawy materialne swojej wolności, co w prostej linii doprowadziło ich do klientelizmu u rodów magnackich (niesławnej pamięci Władysław Siciński, który jako pierwszy doprowadził do zastosowania *liberum veto*, był klientem hetmana Janusza Radziwiłła).

Jednak to państwo potrafiło podnieść się z upadku i odbudować niedługo przed swoim zniknięciem. Symbolem tej odbudowy była wspaniała Konstytucja 3 Maja. *I właśnie w procesie dochodzenia do Konstytucji upatruję kluczowej paraleli do dzisiejszych dziejów Polski.* Uważam, że dzisiejsze doświadczenie modernizacyjne znajduje swoją analogię w procesie modernizacji państwa przez trzy kolejne pokolenia Polaków w XVIII wieku. Pierwszym było pokolenie księdza Stanisława Konarskiego, autora *O skutecznym rad sposobie*, i jego elitarnego *Collegium Nobilium* oraz biskupów Załuskich, założycieli Biblioteki Załuskich, z której Rosja uczyniła potem zaczątek swojej biblioteki narodowej. Drugim było pokolenie XBW (Xięcia Biskupa Warmińskiego) Ignacego Krasickiego, kanclerza Andrzeja Zamojskiego, reformatora kodeksu praw Rzeczpospolitej, i księcia Adama Jerzego Czartoryskiego. Trzecim było pokolenie księdza Hugo Kołłątaja, założyciela Komisji Edukacji Narodowej i Liceum Krzemienieckiego, oraz Tadeusza Kościuszki. Te trzy pokolenia dokonały prawdziwej modernizacji Polski przez edukację: od budowy elitarnej szkoły dla dzieci magnackich (*Collegium Nobilium*), przez budowę pierwszego w Europie scentralizowanego systemu edukacyjnego (KEN), aż do Konstytucji 3 Maja. Co charakterystyczne, w centrum tego procesu stoi doświadczenie klęski i kosztów odgórnie narzucanych reform – odrzucenie kodeksu A. Zamojskiego oraz zawiązanie Konfederacji Barskiej (analogia do ruchu IV RP jest oczywista). *Ostatecznie jednak jest to tryumf dojrzewania do kompromisu i otwarcia na szeroką*

współpracę, której uwieńczeniem był Sejm Wielki. To doświadczenie stanowić powinno dziś dla nas źródło twórczej inspiracji i dziejowej motywacji.

Być może przypadkową, ale znaczącą koincydencją jest fakt, że upadek I Rzeczypospolitej zbiega się z powstaniem najpotężniejszej republiki w dziejach ludzkości – Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ta republika powstała już jednak w nowym świecie i została zbudowana na doświadczeniu politycznym, społecznym i gospodarczym nowoczesności. Ojcowie-założyciele USA, A. Hamilton, J. Madison, swoją myśl konstytucyjną zawarli w *Esejach Federalisty* – najwspanialszym chyba pomniku nowoczesnego republikanizmu, a jednocześnie arcydziele komunikacji społecznej¹⁰. Ich filozofia dzieliła z europejskimi poprzednikami uwielbienie dla antycznej wolnościowej formuły rządów, ale przeniknięta była odmiennymi, protestanckimi ideałami – równości wszystkich ludzi, przekonania o mało szlachetnej naturze człowieka i stąd nieufności do trwałości jego cnót, podkreślania roli instytucji w wymuszaniu dobra wspólnego, wartości wolnej wymiany (*commerce*) i tolerancji religijnej¹¹. Nie zmieniło to faktu, że za „wolność waszą y naszą” w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych walczyli polscy republikanie: ultrakatolicki konfederata barski – Kazimierz Pułaski oraz Tadeusz Kościuszko.

Po upadku i po odrodzeniu

Polską republikę rozebrały nowoczesne, oświeceniowe twory – Prusy i Rosja oraz średniowieczna monarchia poddana oświeceniowej modernizacji – Austria. Rozbiory nie były jednak logiczną konsekwencją dynamiki polskiego ustroju republikańskiego – ta spowodowała „tylko” kryzys wewnętrzny. Przede wszystkim pamiętać należy, że Rosja i Austria były najbardziej

¹⁰ Jest to zbiór artykułów z prasy nowojorskiej, z lat 1787-1788, będący interpretacją uchwalanej właśnie konstytucji USA. Polski wybór: *Eseje polityczne federalistów*, red. Frederic Quinn, Kraków: Znak, 1999.

¹¹ Por. Słynne słowa Thomasa Jeffersona z „Deklaracji Niepodległości”: „We hold these truths to be self-evident, that all men are created equal, that they are endowed by their Creator with certain unalienable Rights, that among these are Life, Liberty and the pursuit of Happiness. – That to secure these rights, Governments are instituted among Men, deriving their just powers from the consent of the governed, – That whenever any Form of Government becomes destructive of these ends, it is the Right of the People to alter or to abolish it, and to institute new Government, laying its foundation on such principles and organizing its powers in such form, as to them shall seem most likely to effect their Safety and Happiness”.

despotycznymi państwami ówczesnej Europy. Po drugie zaś, Prusy, Rosja i Austria, leżąc na wschód od symbolicznej linii Łaby, były kulturą gospodarczą zbliżone do Polski – dominowała w nich wielka własność ziemska i gospodarka rolna. Zatem *to rozbiory pozbawiły Polskę szansy na zbudowanie właśnie zaprojektowanego, nowoczesnego państwa narodowego*¹². Co za tym idzie, *zahamowały budowę kapitalizmu* (w Polsce intensywnie czytano wówczas Adama Smitha) *i utrwały w Polsce kulturę folwarczną* (podobną do kultury amerykańskiego południa). Następnie *pozbawiły nas możliwości kultywowania własnej kultury politycznej i prawnej* w okresie substancjalizacji racjonalnych państw nowoczesnych. I wreszcie, *zniszczyły polski naród polityczny i pozbawiły go kontroli nad procesami nowoczesnej nacjonalizacji* na terytoriach dzisiejszej Litwy, Białorusi i Ukrainy.

Mimo to, sarmacki republikanizm tak głęboko tkwił w polskiej kulturze (kulturze piśmiennych obywateli na terytoriach całej byłej Rzeczypospolitej), że przetrwał w często nieuświadomionych formach przez cały wiek XIX i trwa do dziś. Kod ten przetrwał głównie dzięki zakłęciu go w formę literacką – dzięki dwóm społecznie najdonioślejszym dziełom polskiej literatury XIX wieku: „Panu Tadeuszowi” i „Trylogii”. Kultura polskiej wolności stała się przetrwalnikiem polskiego narodu, a jego strażnikiem był polski substytut państwa nowoczesnego – postszlachecka inteligencja. Etos inteligencki ma u swych podstaw wolnościowe instynkty republikańskie oraz ideał dobra wspólnego – mimo nowoczesnych, bo socjalistycznych, konserwatywnych lub endeckich form ideologicznych. Jednak ten literacki nośnik i brak własnego państwa sprawiły, że powstał zasadniczy rozdzźwięk między istnieniem pewnych przekonań a posiadaniem kluczowych nawyków i sprawdzonych instytucji. Innymi słowy, to co narodowe, wciąż niedopasowane jest w Polsce do tego, co państwowe.

Na pewno sprawdzonym mechanizmem instytucjonalnym nie jest nasze obecne, postkomunistyczne państwo. *Dotychczasowy system ma charakter doraźnie negocjowanej prowizorki transformacyjnej, bazuje na kombinacji najgorszych możliwych instrumentów ustrojowych i nie posiada żadnego uniwersalizującego słownika politycznego.* Jest eklektyczną mieszaniną różnych liberalizmów, kryjącą – co dość oczywiste w perspektywie dzisiejszej wiedzy o transformacyjnych procesach politycznych – interesy głównych aktorów

¹² Konstytucja 3 Maja przewidywała między innymi państwowy system szkolnictwa w języku polskim, znosiła podział na Koronę i Litwę oraz tworzyła jednolite sądownictwo.

postkomunizmu. Symbolem tego stanu jest obecnie obowiązująca konstytucja z 1997 roku. Niesprawne państwo, konstytucja bez ducha i brak jakiegokolwiek wyraźnej kultury politycznej, której można uczyć młode pokolenia, to dla obitego przez kije historii narodu słaba rekomendacja do sukcesu. Pamiętać jednak trzeba, że polityka i państwo (jako regulator i administrator) są dla społeczeństwa postkomunistycznego jedynymi narzędziami obrony przed miażdżącymi siłami globalizacji.

Ponieważ republikanizm to kultura polityczna, warto – niejako w odniesieniu – krótko wyliczyć główne wady polskiej polityki postkomunistycznej. Przede wszystkim instytucje, w otoczeniu których obecnie toczy się polska polityka: (a) sprzyjają złemu typowi zamkniętej, kartelowej partyjności, (b) czynią racjonalną/opłacalną doraźność działań oraz (c) nie wymuszają ciągłości strategii oraz kompetencji. Polskie życie polityczne – publiczna deliberacja o sprawach ogółu – naznaczone jest (a) wszechwładzą grup interesów (syndykaty i korporacje), (b) niewspółmiernością pojęć i celów uczestniczących w nim aktorów, (c) całkowitą dominacją przekazu promocyjnego, który strukturalnie uniemożliwia tworzenie, przesłanie i podtrzymywanie więzi. Wszystko to składa się na system polityczny o charakterze spirali opadającej – *vicious circle*. Poziom napięcia jest coraz wyższy, konflikt coraz szerszy, poziom otwartości coraz mniejszy, bezwład coraz większy. Dlatego właśnie *źródła odnowy upatrywałbym w świadomej i planowej restauracji polityki republikańskiej – w neosarmatyzmie* (przedrostek neo- oznacza selektywne i hiperświadome nawiązanie).

Neosarmacki republikanizm

Rzeczpospolita Polska jest republiką tylko z nazwy. *Polska potrzebuje: spójnej wizji fundującej wspólnotę polityczną, unifikującej formuły polityczności oraz wspólnego słownika politycznego*. Polska musi odnaleźć swój sposób politykowania – właściwy dla jej kultury i społeczeństwa. Ten własny rodzaj politykowania odnaleźć można poprzez trafne zidentyfikowanie polskich instynktów politycznych, spójne ich uteoretyzowanie, a następnie skonstruowanie odpowiedniego mechanizmu instytucjonalnego, minimalizującego niestabilność, maksymalizującego efektywność i posiadającego wysoką czułość na wolę obywateli, przy zachowaniu warunku promowania dobra wspólnego. *Żaden projekt cywilizacyjny, żadna zmiana w skali makro nie ma w Polsce szans powodzenia, jeśli nie stworzy się spójnej ideowej podstawy dla ustroju państwa – doktryny konstytucyjnej i wynikającego z niej mixu*

instytucjonalnego o charakterze *virtuous circle* – to jest spirali wznoszącej. Wzorem takiego mechanizmu instytucjonalnego zbudowanego na spójnej i trafnej formule politycznej jest konstytucja amerykańska i jej interpretacja w *The Federalist Papers*. Stanowi ona skomplikowany zespół mechanizmów równowagi, ograniczania i kontroli, który chroniąc podstawy wolności, minimalizuje jej złe skutki i kanalizuje indywidualne działanie w sposób, który sprzyja realizacji interesów zbiorowych.

Polskie instynkty polityczne są najprawdopodobniej równo rozłożone między pragnienie równości i pragnienie wolności. Niedawny spór o Polskę solidarną i Polskę liberalną – mimo że zbyt płytki – dość dobrze trafił w społeczne namiętności. Chodzi nam zatem o ustrój, w którym konflikt między równością i wolnością byłby produktywny i nie powodowałby nadmiernych napięć. Formułę polityczną, która obejmowałaby te żywioły, znajdziemy już u Cyncerona (*De Republica*, ks. I XXXI): „Każde państwo jest takie, jakim go uczyni charakter i wola człowieka dzierżącemu w nim władzę. Jedynie społeczeństwo, w którym rządy sprawuje ogół obywateli, można uznać za ostoję wolności, której smaku z niczym nie da się porównać. Podstawowym jej wymogiem jest wszak powszechna równość.” A wcześniej Cynceron mówi: „Rzeczpospolita to wspólna sprawa, o którą dbamy pospół, nie jako bezładna gromada, tylko mnogie zgromadzenie, jednoczone uznaniem prawa i pożytków z życia we wspólnocie.” (*De Republica*, ks. I, XXV)

Mamy tu zatem kluczowe pojęcia i toposy republikańskie – (a) wolność polityczna zależna od równości wobec prawa, (b) wspólna sprawa, czyli dobro wspólne, o które dbać można dzięki dobremu ustrojowi, (c) życie we wspólnocie, które wymaga poświęcania dobra/interesu indywidualnego. Rodzą się tu dylematy: moja wolność a ograniczenia prawne, dobro wspólnoty a dobro jednostki, czym jest dobro wspólne i jak ustrój może je promować? Dylematy te swoje rozwiązanie znajdują w republikańskiej formule sprawiedliwości. Formuła sprawiedliwościowa jest jądrem każdej teorii politycznej, ponieważ to ona stanowi klucz rozstrzygania konfliktów w danej wspólnocie politycznej. *Republikańska formuła sprawiedliwości politycznej jest następująca: Każde działanie publiczne musi podlegać zasadzie wolności każdego obywatela od arbitralnej władzy (państwa i osób prywatnych), zbiorowej ochrony wolności indywidualnej oraz prymatu dobra wspólnego nad prywatnymi lub grupowymi interesami.* Na straży tej zasady stoi konstytucja, zasada ta jest jądrem wychowania obywatelskiego, a z jej realizacji rozlicza się polityków.

Dla republikanina *być wolnym oznacza nie być pod czyjąś dominacją, nie być zależnym od czyjejś arbitralnej woli*. Źródłem tego rozumienia wolności jest zasada prawa rzymskiego, która definiuje status osoby wolnej jako niebędącej poddaną arbitralnej woli innej osoby, w przeciwieństwie do niewolnika. Człowiek jest wolny o tyle, o ile przysługują mu pewne prawne i polityczne uprawnienia, a lud lub miasto jest wolny o tyle, o ile sam sobie nadaje prawa. Jest autonomiczny i suwerenny. *Wolność to zależność tylko od siebie samego, a istnienie choćby potencjalnego zagrożenia dla mojej wolności jest już jej pogwałceniem*.

Z kolei republikańska równość polega nie tylko na *równości uprawnień* obywatelskich i politycznych oraz *równości w odpowiedzialności* wobec zakazów i nakazów prawa, lecz także na potrzebie zapewnienia wszystkich obywatelom *możliwie równych społecznych, ekonomicznych i kulturowych warunków do życia w godności i szacunku wobec samego siebie*. Jak mówił Machiavelli, ubóstwo nie może oznaczać wykluczenia z publicznych stanowisk ani utraty reputacji. Z kolei jak wskazywał Rousseau, w republice wartej swojej nazwy nikt nie powinien być tak biednym, by być zmuszonym do sprzedania siebie samego, ani tak bogatym, by móc kupić, poprzez przysługi, posłuszeństwo innych obywateli.

Republikanizm jest zatem teorią wolności równowążącą uprawnienia i obowiązki obywatelskie. Wolność ta rozumiana jest jako wolność polityczna – indywidualna wolność każdego obywatela do uczestniczenia w polityce i gwarantowana jest ona przez wspólnotę polityczną. *Każdy obywatel ma naturalne (jako człowiek) i polityczne (jako obywatel) uprawnienie do uczestniczenia w procesie politycznym i jednocześnie moralny obowiązek korzystania z tego prawa dla ochrony swojej wolności i interesów. Rolą państwa jest stać na straży tej wolności i gwarantować mu korzystanie z niej*. W republikanizmie władza suwerena – czyli narodu politycznego – musi być ograniczona przez normy konstytucyjne, po to, by zachować *zasadę politycznego indywidualizmu: głównym celem społeczności politycznej jest ochrona jednostki, jej życia, wolności i własności*. Instytucje muszą być zatem tak skonstruowane, by umożliwiać wszystkim obywatelom korzystanie z ich wolności i by korzystanie z wolności przez jednego nie stanowiło zagrożenia dla wolności drugiego.

Neosarmacki republikanizm można rozpisać na kilka fundamentalnych zasad:

Po pierwsze, *zasada równowagi wolność i równość* zawarta w formule: *równi w wolności*. Jest to zasada organizująca proces polityczny. Idealnym modelem sceny politycznej jest podział na dwie ścierające się partie, kładące nacisk na jedną z tych wartości. Temu sprzyja mechanizm wyborów większościowych i głosowania na kandydatów, a nie partie.

Po drugie, *zasada prymatu dobra wspólnego*. Oznacza ona preferowanie interesu całości ponad interesem części, wtedy gdy interes części stoi w kolizji z interesem całości. Realizuje się ona przez wymuszanie kompromisów i unikanie rozwiązań ekstremalnych. Kategoria dobra wspólnego zakorzeniona jest w polskiej kulturze i świadomości zbiorowej. Dominowała w społecznej aksjologii I Rzeczypospolitej, przenikała etos klasycznej inteligencji, pojawiała się wyraźnie w postulatach tak zwanej „pierwszej Solidarności” i jest podstawową kategorią społecznej nauki Kościoła katolickiego.

Po trzecie, *zasada poszanowania prawa jako fundamentu wolności i ochrony przed samowolą*. Prawo ma być mechanizmem ochrony wolności indywidualnej, ale jednocześnie bronić dobra wspólnego przed zagrożeniem ze strony prywatnych interesów z nim sprzecznych. Konieczna jest tu nieustająca edukacja obywatelska, której fundamentem jest powszechna znajomość konstytucji i *zagwarantowanie możliwości powszechnego posługiwania się nią w kontaktach z instytucjami publicznymi*.

Po czwarte, *zasada samorządności – nic o nas bez nas*. Republikanizm to polityka obywateli dla obywateli, umożliwiająca szybką transmisję interesów wyborców do sfery politycznej (to, czego dziś właśnie brak) i przeprowadzania ich przez instytucjonalne „sita” dobra wspólnego. Państwo jest służą obywateli, pomaga obywatelom w „samo-rządzeniu-się”. *Państwo, obok swoich tradycyjnych funkcji legislacyjnych, egzekucyjnych i sądowych, pełni tu rolę gwaranta wolności słowa, kolektora dobrych praktyk, strażnika dobrych regulacji i brokera kontraktów społecznych*.

Po piąte, *zasada pomocniczości*. Ma ona dwojaki sens. Z jednej strony, mówi o dostosowaniu skali środków i szczebla realizacji do wielkości przedsięwzięcia (czyli nie strzela się do muchy z armaty i nie zwraca się Wisły kijem). Z drugiej jednak, ma ona także sens moralny. Polega bowiem na *wymuszaniu samodzielności obywatelskiej* – wymuszaniu korzystania ze swojej wolności. *Obywatele powinni być popychani do samodzielnej realizacji swoich*

interesów. Państwo powinno pomagać im je realizować. Nigdy jednak nie powinno się obywateli pozbawiać ich moralnego obowiązku samodzielnej realizacji swoich interesów i dbania o swoją wolność. Takie państwo byłoby niemoralne.

Po szóste, *zasada reprezentacji*. XIV i XV-wieczni prawnicy włoscy uznali, że rada jako całość reprezentuje całe miasto lub cały lud, nie zaś tylko część ludu. Natomiast pojedynczy obywatel powinien uczestniczyć w zebraniach dla interesu miasta, nie zaś dla interesu swojej rodziny, frakcji lub grupy, która go wybrała. Dla klasycznych republikanów uczestnictwo w rządzie było istotne, by zachować wolność i dać obywatelom edukację polityczną – wyłaniając przy tym najlepszych i najbardziej odpowiedzialnych rządzących. Jest bowiem często ważniejsze, by mieć dobrych władców niż obywateli uczestniczących w każdej decyzji. To, co się liczy, to jakość, nie ilość – czyli to, czy ci, którzy zarządzają i decydują, chcą działać dla dobra wspólnego. *Zasada reprezentacji ma zatem również taki sens, że obliuguje do wyłaniania kompetentnych reprezentantów.* Zasada ta ma w dużej mierze charakter moralnego zobowiązania, bowiem jej prawne wymuszanie kończy się zazwyczaj ograniczeniem wolności. Kryje się za nią założenie, że jawnie decyduje się o sprawach publicznych. Od strony pozytywnej oznacza to w konsekwencji uznanie istnienia granicy między sprawami prywatnymi a publicznymi, a od strony negatywnej konieczność ustalenia i zabezpieczenia tej granicy wobec prób penetracji mojej sfery prywatnej przez państwo i innych obywateli. Oczywiście miejsce tej granicy, jeśli nie gwarantuje tego obyczaj, musi być ustalone w procesie politycznym.

Sarmackość tego projektu polega na uznaniu, że kulturową podstawę tej zbiorowości obywatelskiej stanowią – jak to określił J. M. Rymkiewicz – „starożytnie sposoby życia Polaków” (ich modernizacja nie oznacza bowiem likwidacji). Wynika stąd pośrednio uznanie, że *godność ludzka i wynikające z niej fundamentalne* (ale tylko one) *uprawnienia obywatelskie, takie jak życie, wolność osobista i własność*, a w konsekwencji sama polityka jako sfera ich realizacji – *posiadają moralną, prawno-naturalną podstawę.* Jednak poza tą sferą naturalnych praw fundamentalnych rozciąga się już obszar *społecznej kontraktualności*, której nie mogą krępować abstrakcyjne ograniczenia prawne, wynikające tylko i wyłącznie z potrzeby zachowania teoretycznej spójności systemu. Od strony teorii prawa oznacza to *zakwestionowanie czystej, formalnej normatywności i uznanie, że prawo wywiedzione*

z naturalnych, materialnych intuicji etycznych jest zrozumiałe i bardziej respektowane. Z kolei kontrakt pozwala uzyskać elastyczność i uniknąć sztywności prawno-administracyjnej.

Każda wspólnota buduje zestaw etycznych wzorców i praktyk właściwych swojej normatywnej podbudowie. Te wzorce i praktyki skupiają się w kilku głównych rolach o szczególnej społecznej wadze. Główne role w takiej sarmackiej kulturze republikańskiej to: *lider-polityk, przedsiębiorca budujący gospodarkę w sieciach innowacji, nauczyciel oraz ksiądz.*

Jeśli chodzi o scenę polityczną, wizja republikańska sprzyja *luźnej, otwartej partyjności. Preferuje się głosowanie spersonalizowane – na konkretnych kandydatów. Polityka bowiem ma służyć poszukiwaniu i wyłanianiu liderów.* Zalety tego systemu partyjnego to: transmisja woli obywateli, możliwość jasnego rozliczenia, budowanie zaufania między reprezentantem i reprezentowanymi oraz przesunięcie partii z obrębu państwa ku społeczeństwu. Pamiętać należy, że budżetowe finansowanie partii politycznych sprawia, że stają się one quasi-agencjami państwowymi, dlatego dla równowagi muszą być maksymalnie otwarte na reprezentowanie woli i interesów obywateli. Oczywiście, istnieje tu wyraźny dylemat między wolnością słowa, którą gwałcą limity finansowania partii z prywatnych funduszy, a merytoryczną wartością, płynącą z odciążenia postulatów politycznych od zamożności grup je wspierających (co może nadmiernie wspierać biedniejsze, ale bardziej liczne warstwy społeczeństwa). Dylemat ten powinien zostać rozstrzygnięty za pomocą republikańskiej formuły sprawiedliwości.

Polityka republikańska zorganizowana przez wyżej wymienione zasady staje się *mechanizmem ograniczonego i funkcjonalnego konfliktu.* Prawo tworzy się przez „ucieranie” (termin ze staropolskiej praktyki ustawodawczej) w warunkach zagwarantowanego *dopuszczenia do głosu wszystkich stron* sporu.

Kluczowy problem dla wolności republikańskiej rysuje się w sytuacji obecności Polski w strukturach Unii Europejskiej, które stanowią po prostu zagrożenie dla tak rozumianej wolności – zarówno indywidualnej, jak i zbiorowej. Pamiętać wszak należy, że republikanizm to *kultura polityczna*, a nie tylko społeczna. Tymczasem rewersem europejskiej ideologii *civil society* są organizacje pozarządowe, które Komisja Europejska arbitralnie dopuszcza jako swoich partnerów. Unia Europejska jest obszarem decyzji w dużej mierze administracyjnych, to znaczy niedemokratycznych, co wynika z przyjętej u jej zarania tak zwanej metody wspólnotowej, która w zamierzeniu

ojców-założycieli Wspólnot Europejskich prowadzić miała do kryptofederalizacji Europy¹³. Partnerami Komisji Europejskiej nie są tutaj parlamenty narodowe, ale zorganizowane grupy nacisku (*pressure groups*), które korzystają z nietransparentności biurokratycznego zarządzania wielopoziomowego (*multilevel governance*), by promować interesy, których nie były w stanie zrealizować w ramach polityki narodowej.

Republikanizm jest zatem nie tylko teorią wolności. Jest też formą komunikacji politycznej i działania kolektywnego, a także aksjologią życia zbiorowego. Jest to spójny zestaw społeczno-politycznych wyobrażeń oraz *wspólny słownik polityczny* – dla inteligenta, przedsiębiorcy i rolnika. Republikanizm nie jest tylko teorią wolności, jest także teorią uczuć i cnót, które tej wolności służą. Taką centralną cnotą jest patriotyzm.

Patriotyzm republikański

W czasach niesłychanie intensywnej krytyki nacjonalizmu, rozumianego jako źródło ksenofobii i agresji, bardzo trudno znaleźć dobrą formułę dla takich uczuć, jak duma narodowa i takich pojęć, jak patriotyzm. Republikanizm ma w tym wymiarze zdecydowaną przewagę nad liberalizmem, który wszelkiego rodzaju wspólnoty uznaje za zagrożenie dla uniwersalnych wolności jednostkowych i jako źródło ingerencji w jej życie. Republikanizm jest formułą polityczności gwarantującą klasowe i etniczne otwarcie oraz społeczną inkluzywność, opartą na tolerancji rozumianej jako przyzwolenie na inność, przy poszanowaniu warunków brzegowych ustroju, to jest na niewymuszaniu na mnie akceptacji tej inności.

Republika jest przedmiotem dumy narodowej. Neosarmacki republikanizm jest polityką z ojczyzną (i jej historią) w centrum, ale bez kompleksu polskiego, bez poczucia niedorastania do obcych nam form polityczności. Jest to możliwe dzięki temu, że naród jest tu rozumiany politycznie, a nie etnicznie. Oznacza to także, że jest to chyba jedyna możliwa dziś *kultura mocnego patriotyzmu – lojalności wobec narodu jako projektu*. Wyrazem tego projektu narodowego jest konstytucja. Nie zmusza nas to zatem do obrony czy uzasadniania zła popełnionego w praktyce. Wręcz odwrotnie, motywuje do walki ze złem w imię prawa i wyobrażonego, choć nieosiągalnego ideału ojczyzny.

¹³ Por. Giandomenico Majone, *Dilemmas of European Integration – The Ambiguities and Pitfalls of Integration by Stealth*, Oxford: Oxford University Press, 2005.

Patriotyzm taki jest jak najbardziej partykularystyczny, ale omija pułapki wąsko rozumianego nacjonalizmu. Jest to miłość do instytucji politycznych, wierność pewnej idei narodu politycznego i upodobanie do pewnego stylu życia. Patriotą broni zatem ustroju i interesu publicznego przed każdym, kto chce go naruszyć, czy to z wewnątrz, czy to z zewnątrz.

Patriotyzm republikański oparty jest na doświadczeniu obywatelstwa, a nie jakichś przedpolitycznych wartościach wiernych przynależności terytorialnej, językowej czy religijnej. Republikanizm pozwala zatem łatwo pokazać kluczowy splot wolności i cnoty obywatelskiej. *Dla republikanina służba publiczna jest sojuszniczką wolności, a nie jej konkurentką. Republikanin nie poświęca życia czy interesu prywatnego na rzecz dobra wspólnego, on po prostu jest obywatelem kochającym życie w wolności, zatem służy wolności, ponieważ chce prowadzić życie prywatne w spokoju.* Cnota obywatelska jest więc fundamentem życia prywatnego, warunkiem podtrzymania ram, które je umożliwiają.

Co więcej, patriotyzm nie jest traktowany jako rzecz naturalna, nie wyrośnie sam na bazie jakiejś przynależności przedpolitycznej. Ta namiętność musi być stymulowana przez edukację, dobre rządy i partycypację polityczną. Nauka patriotyzmu jest zaś wstępem do bycia dobrym obywatelem. Można przy tym wyróżnić trzy wymiary realizacji patriotyzmu. Po pierwsze, *patriotyzm polityczny*, polegający na obronie polskiej konstytucji i polskich sposobów życia. Po drugie, *patriotyzm ekonomiczny*, polegający na budowaniu polskiego kapitalizmu jako źródła dobrobytu, siły i niezależności. Po trzecie, i niesłychanie istotne, *patriotyzm charytatywny*, polegający na dzieleniu się prywatnym bogactwem dla dobra wspólnego. Andrew Carnegie – amerykański magnat stalowy, jeden z gigantów nowoczesnego kapitalizmu, a jednocześnie patron amerykańskiej filantropii – wypowiedział kiedyś znamienne słowa: „Kto umiera bogatym, umiera zhańbiony” (*Who dies rich, dies disgraced*)¹⁴.

¹⁴ Por. Vartan Gregorian, *They Gave Much. Top Biographies of American Philanthropists*, „Wall Street Journal”, August 4th, 2007.

*dr Tomasz Zarycki**

Tradycje republikańskie I Rzeczypospolitej jako symboliczny kapitał nowoczesnej tożsamości narodowej Polaków

Mówiąc o kulturowo-mentalnych uwarunkowaniach modernizacji i wpływie spuścizny minionych epok na kody kulturowe współczesności, warto wyróżnić dwa wymiary omawianego problemu. Po pierwsze, możemy zastanawiać się nad mniej lub bardziej bezpośrednim i obiektywnym aspektem wpływu historii na współczesne struktury społeczne. Na tym poziomie prowadzić możemy badania poświęcone zagadnieniu związków współczesnych struktur społecznych z historią w oparciu o materiały historyczne i empiryczne badania współczesnego społeczeństwa prowadzone w kontekście historycznym. Na ich podstawie stawiać możemy i weryfikować tezy o wpływie poszczególnych epok historii kraju bądź to na struktury społeczne (na przykład zróżnicowania regionalne, dominujące sposoby organizacji gospodarczej), bądź struktury świadomościowe (sposoby postrzegania świata społecznego, dominujące wartości, czy też struktury językowe). Z drugiej strony, do historii podchodzić możemy nie tylko jako do sfery determinującej niezależnie od nas współczesność, poprzez tak zwane procesy długiego trwania, ale także traktować ją jako swoisty rezerwuuar ideałów, tożsamości,

*Instytut Studiów Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego.

a nawet mitów, które służyć mogą do budowanych w sposób świadomy współczesnych ideałów społecznych. Podobnie jak inne społeczności narodowe, mamy bowiem prawo do wybierania ze spuścizny historycznej tych elementów narracji historycznych i motywów, które uznamy za ważne i pozytywne wartości, na jakich budować chcemy naszą tożsamość. Nawet jeśli znaczą ich część określać można mianem „mitów”, a więc jeśli w minionych epokach nigdy w pełni nie udało się zrealizować ich idealistycznych haseł czy wzniosłych celów, jakie stanowią ich istotę, pozostawać mogą one ważnymi elementami historycznie zakorzenionego programu tożsamościowego skierowanego w przeszłość. Oddając bowiem prawo historykom do weryfikacji stereotypowych wyobrażeń o przeszłości kraju, a socjologom prawo do „dekonstrukcji” społecznych i politycznych uwarunkowań powstawania i funkcjonowania mitów historycznych, nie możemy nie pozostawiać sobie prawa do budowy w oparciu o nie pozytywnych wzorców obywatelskości i rozwoju.

Wśród historycznych tradycji, których broniłbym dziś szczególnie, wymienić można niewątpliwie tą, którą nazywać można „neosarmackim republikanizmem”. Jest ona jedną z bardziej interesujących idei mogących być podstawą do poważnych debat nad polską tożsamością narodową i drogami polskiej modernizacji. Moje nastawienie nie jest całkowicie idealistyczne, o czym wspomnę poniżej, ale w tym krótkim tekście chciałbym zwrócić uwagę przede wszystkim na pozytywny potencjał „mitu neosarmackiego”.

I tak, za kluczową cechę polskiego republikanizmu uznałbym nierewolucyjną, czy wręcz antyrewolucyjną drogę demokratyzacji i modernizacji społecznej. Jest to demokratyzacja nie poprzez obalenie i wymordowanie arystokracji (czy szerzej szlachty), jak w modelu francusko-rosyjskim, ale budowa społeczeństwa obywatelskiego przez pełne zrównanie praw wszystkich jego członków na symbolicznym poziomie „szlachcica-obywatela”, a więc demokratyzacja poprzez „nobilitację”. W modelu tym niezwykle ważna jest oczywiście także polityczna idea równości polskiej szlachty, niezależnie od jej pochodzenia i statusu materialnego. Rozszerzenie jej na wszystkich obywateli w drodze powszechnej nobilitacji oznacza, że nie muszą oni jednocześnie wyrzekać się swoich tożsamości i korzeni.

Warto zwrócić uwagę, że nie brak dziś krytyków idei odwoływania się do ideałów I Rzeczypospolitej, którzy jak na przykład znany francuski historyk Daniel Beauvois, argumentują, że ideały szlacheckiej równości i udziału w instytucjach demokratycznych (w szczególności sejmikach) były w praktyce

realizowane w niezwykle nikłym stopniu. Nawet jeśli wszystkie ustalenia Beauvoisa i malowany przez niego w czarnych barwach obraz szlacheckiej demokracji miałby pełne uzasadnienie w faktach, okoliczność ta wydaje się zupełnie nie podważać naszego współczesnego prawa do odwoływania się do idei polskiej demokracji szlacheckiej. Można zwrócić uwagę, że ustalenia historyków dotyczące rewolucji francuskiej są nie mniej demistyfikujące: można ją przecież postrzegać głównie jako krwawą łaźnię, która nie tylko nie rozwiązała problemów francuskich, ale i stworzyła niezwykle szkodliwy model modernizacji, który stał się wzorem dla kolejnych hekatomb, na czele z rewolucją rosyjską. Wszystkie te okoliczności nie powodują jednak, że odmawiamy dziś Francuzom prawa do identyfikacji z rewolucyjnymi ideałami i posługiwania się nimi jako mitem założycielskim ich republiki. Polski pozytywny mit sarmackiej I Rzeczypospolitej wydaje się w tym kontekście posiadać nie mniejszą legitymację jako idea mogąca ożywiać współczesną debatę polityczną.

Jan Filip Staniłko (w tym samym tomie) słusznie zwraca uwagę, że model ten łączy nas raczej z polityczną kulturą anglofońską, zwłaszcza amerykańską. Ma on wiele cech wspólnych z brytyjską, nierewolucyjną ścieżką modernizacji społecznej, ale jest bardziej demokratyczny, bo po pierwsze, zakłada elekcyjny charakter urzędu królewskiego (dziś prezydentury jako najwyższego urzędu w państwie), a następnie całkowite zniesienie tytułów szlacheckich, które formalnie zatwierdzono w Polsce w momencie narodzin II Rzeczypospolitej. Jak sądzę, formalne zniesienie prawnej mocy tytułów szlacheckich interpretować można jako zakończenie procesu nobilitacji wszystkich członków społeczeństwa, którego symbolem stało się przyjęcie konwencji używania tytułu „pan/pani” jako przysługującego wszystkim „obywatelom-szlachcicom”. Przykładem kontrastowym jest tutaj Rosja lub Białoruś, gdzie tytuł ów („gospodin”) nie przyjął się do dziś. W tym samym czasie w demokratyzującej się Ukrainie tytuł „pan” jest coraz częściej używany. Jednocześnie przyjętą normą językową zwracania się nawet po rosyjsku do Polaków na wschód od Bugu jest użycie tytułu „pan”, który posiada tam ewidentną konotację szlachecką i odniesienie do nie zawsze pozytywnie postrzeganej „pańskości” Polaków. Różnicę tę tłumaczyć można nie tylko jako symboliczne napięcie pomiędzy „Polakami-szlachciami” a „Rusinami i Rosjanami-chłopami”, ale także pomiędzy tożsamością polskiej szlachty z jej wolnościowym i demokratycznym etosem a tożsamością rosyjskich „dworzan”, a więc dworzan, wcześniej bojarów, będących pomimo

uprzywilejowanego statusu społecznego, jedynie sługami cara. W Polskim modelu monarchii elekcyjnej to król pełni raczej posługę wobec społeczności szlacheckiej, co dziś pozwala zachowywać nam w godle narodowym koronę, która będąc symbolem monarchii, nie kłóci się z republikańskim charakterem ustroju.

Model budowy społeczeństwa obywatelskiego poprzez nobilitację wydaje się też mieć ważny atut polegający na silnym akcencie „obowiązków” ciążyącym na szlachcicu, a nie jedynie „praw”, jakie mu przysługują z racji swego statusu. Rewolucyjny, francuski model budowy wspólnoty obywatelskiej na gruzach monarchii implikuje w pewnym stopniu postawy roszczeniowe wobec państwa, które złupiło i rozdało arystokratyczne i kościelne majątki, nie zachęcając do wysiłków na rzecz sprostania „szlacheckiemu” statusowi, który z jednej strony jest czymś, co przysługuje poprzez fakt urodzenia, ale z drugiej jest także statusem honorowym, zobowiązującym do pracy nad sobą i wypełniania obowiązków na rzecz wspólnoty, od której nie można wyłącznie oczekiwać przywilejów.

Bez wątpienia polska idea inteligencka ma niezwykle silne korzenie szlacheckie, a kluczowa rola inteligencji w polskim społeczeństwie uprzywilejowuje dodatkowo wspomniane wartości. Warto zwrócić uwagę, że tożsamość inteligencka widziana jest w dużym stopniu jako status z jednej strony przysługujący automatycznie (na przykład z racji urodzenia czy wykształcenia), ale z drugiej ma też wymiar honorowy jako ideał, któremu sprostać musi każdy aspirujący do miana inteligenta. Idee inteligencji we współczesnym, neoszlacheckim społeczeństwie polskim uznać można za pewną inkarnację arystokracji. „Obywatele-panowie” są równi, ale niektórzy z nich, z racji urodzenia czy zasług, nagradzani są tytułem inteligentów i aspirują na tej podstawie do elitarnego, „neorystokratycznego” statusu. Ten wymiar historycznie zdefiniowanej stratyfikacji społecznej w Polsce jest rysem nie do końca demokratycznego charakteru polskiej idei neosarmackiej. Można jednak zwrócić uwagę, że choć neorystokratyczna inteligencja nie jest praktycznie znana w Europie Zachodniej, to dla odmiany funkcjonują tam inne klasy uprzywilejowane, jak reprodukująca się w kolejnych pokoleniach elita wielkiego kapitału, której zagwarantowany przez system status społeczny nie do końca wpisuje się w ściśle demokratyczne ideały.

Siła polskiej tradycji inteligenckiej napędzanej w dużym stopniu postszlacheckimi ideałami ujawniła się szczególnie mocno w okresie komunizmu. Warto zwrócić uwagę, że w żadnym z krajów komunistycznych ruch oporu

wobec reżimu nie był tak silny, jak w Polsce i nigdzie tak zdecydowanie nie zaangażowały się weń inteligenckie elity. Najbliższe Polsce w tym zakresie były najprawdopodobniej Węgry, gdzie rola inteligencji jest także znaczna. Szczególnie ciekawymi porównaniami są zestawienia Polski z Rosją i Niemcami. Zarówno w kulturze rosyjskiej, jak i niemieckiej brak jest zupełnie elementów mitu republiki szlacheckiej i z tym wiązać można między innymi bezsilność elit inteligenckich oraz całych społeczeństw wobec panujących w tych krajach reżimów totalitarnych. Nie brak dziś szczegółowych prac pokazujących, jaką siłą była neoszlachecka tożsamość polskiej inteligencji wraz z jej rezerwuarem mitów dostarczanych przez polską kulturę. W szczególności Helena Flam pokazuje, jak wschodnioniemieccy opozycjoniści zdani na mieszczańskie mity czerpane z literatury niemieckiej, z punktu widzenia tradycyjnych teorii modernizacji o wiele „nowocześniejsze” od polskich legend szlacheckich, okazywali się całkowicie bezbronni wobec totalitarnego państwa. Jedyną ich nadzieją po aresztowaniu przez Stasi było zwykłe wykupienie przez rząd NRF, gdzie po emigracji porzucali najczęściej działalność społeczno-polityczną. Warto także zwrócić uwagę na przebieg transformacji postkomunistycznej w byłej NRD i Rosji. Pierwsze lata po upadku komunizmu przyniosły tam społeczne rozczarowania znacznie przekraczające poziom frustracji wśród Polaków. Wszystko to miało miejsce w sytuacji, gdy Polska pozbawiona była finansowych strumieni płynących z Niemiec Zachodnich czy rosyjskich zasobów surowców naturalnych. W obu krajach aktywność społeczna lokalnych elit okazała się niewielka, cechowała je raczej bezwładność, bezwolność i nieumiejętność samoorganizacji. Rosyjskie społeczeństwo okazało się, poza pewnymi wyjątkami (na przykład Nowogrodu Wielkiego z jego tradycjami republiki kupieckiej, które choć starsze od polskich, okazały się także żywe, niezdolne do politycznej samoorganizacji), całkiem w tym zakresie zależne od dyrektyw płynących z Kremla. Podobne tendencje obserwować można było w NRD, gdzie przy w dużym stopniu pasywnej postawie lokalnych elit, społeczeństwo zostało niejako skolonizowane przez przybyszów z byłej NRF. Zarówno w Rosji, jak i w NRD opisywane procesy wytworzyły, czy też wzmocniły silne poczucie upokorzenia przez Zachód czy Niemcy Zachodnie w przypadku NRD i zaowocowały o wiele silniejszą niż w Polsce nostalgią za czasami komunistycznymi. Przejawia się ona między innymi wzrastającym poparciem partii neokomunistycznej we Wschodnich Niemczech i polityki rehabilitacji komunistycznej przeszłości prowadzonej

przez prezydenta Putina. Ten obraz Polski w kontraście z byłą NRD i Rosją jest być może nieco wyidealizowany, wydaje się jednak, że pokazuje on przynajmniej w modelowej formie odrębność i wartość polskiego etosu neosarmackiego republikanizmu. Warto pamiętać jednocześnie, że wspomniane przykłady pokazują, jak silnie etos ów jest w Polsce zinternalizowany, i to bynajmniej nie tylko na poziomie elitarnym. Do głównych filarów reprodukcji etosu neosarmackiego należą niewątpliwie kanony szkolne i akademickie polskiej literatury i historii, które „programują” kolejne pokolenia Polaków w sposób zupełnie odmienny od mieszkańców innych krajów europejskich.

Warto jednocześnie pamiętać, że model neosarmacki ma istotne aspekty „ponowoczesne”. Ze swoją antyrewolucyjnością, odrzuceniem wielu zasadniczych ideałów tak zwanego „nowoczesnego państwa narodowego”, którego paradygmat dominuje w Europie Zachodniej jest i przed- i ponowoczesny. Zawiera niezwykle wyraźny nacisk na samoorganizację społeczną, a także samodzielność i zaradność nawiązującą nieco do rycerskiego etosu „dzielności”, samodzielności i odwagi wobec przeciwności losu. Państwo nie jest tu wszechmocnym opiekunem, a przede wszystkim nie ma ambicji do unifikacji wszystkich sfer życia i ich pełnej kontroli. Nie zostaje odrzucona rola religii w życiu społecznym, a nawet politycznym, przy jednoczesnym zapewnieniu pluralizmu i wolności wyznania oraz pluralizmu tożsamości narodowych.

Bardzo bowiem wyraźną cechą neosarmackiego ideału obywatelskiego jest oddzielenie tożsamości narodowej od tożsamości i powinności obywatelskiej. W Europie Zachodniej pojęcia „narodowości” i „obywatelstwa” zostały przez hegemoniczne państwo narodowe utożsamione, co może być postrzegane jako jedno ze źródeł problemów krajów tej części kontynentu w radzeniu sobie z integracją społeczną imigrantów i innych mniejszości. Różnica pomiędzy pojęciami „obywatelstwa” i „narodowości”, oczywista dla Polaków, jest nieco bardziej zrozumiała w USA, gdzie większą rolę odgrywa pojęcie „citizenship”, tolerancja dla pielęgnowania tradycji narodowych jest większa. Generalnie powiedzieć można, iż ambiwalentny stosunek do oświeceniowych ideałów nowoczesności zbliża polski model neosarmackiej polityczności do modelu amerykańskiego. To pokrewieństwo może być w szczególności postrzegane jako atut w epoce globalizacji. Jednym ze sposobów rozumienia globalizacji może być bowiem postrzeganie jej jako rozprzestrzenianie się amerykańskiego modelu społeczno-gospodarczego na

świat. W wielu aspektach nie przystaje on do europejskiego modelu państwa narodowego, co czyni je coraz mniej wydolnym w epoce globalizacji. Kulturowy kapitał polskiego, szlacheckiego republikanizmu może być więc postrzegany jako istotna podstawa do budowy skutecznych strategii sprośtania wyzwaniom globalizacji. Sukcesy w rozwoju gospodarczym Polski w ostatnich latach, w szczególności na tle pewnej stagnacji w wielu krajach zachodnich, mogą być już interpretowane jako związane ze wspomnianymi tu zdolnościami do samoorganizacji i szlacheckiej „odwagi”, do podejmowania wyzwań wywodzących się z neosarmackiego etosu.

Będąc świadomym tych atutów modelu „neosarmackiego”, nie należy zapominać o wspominanych już jego ograniczeniach, czy też kosztach. Po pierwsze, wydaje się, że podkreślanie odrębności tożsamości politycznej Polaków i zachodnich Europejczyków powinno mieć swoje granice. Integracja europejska pozostaje ważnym polskim priorytetem geopolitycznym, więc nie powinno budować się polskiej tożsamości w zbyt jednostronnej opozycji do Europy Zachodniej, pamiętając o płynących przede wszystkim z kultury europejskiej inspiracjach ustroju politycznego I Rzeczypospolitej. Wskazywanie na odmiennność źródeł modernizacji społecznej w Polsce nie może wiązać się z całkowitym odrzuceniem i wzmaganiem niechęci do zachodnio-europejskich modeli modernizacji z ich religijnymi źródłami w rewolucji francuskiej czy reformacji i religii protestanckiej. Zbyt jednostronne podkreślanie tych odrębności mogłoby doprowadzić do narastania nadmiernych napięć kulturowych pomiędzy Polską a w szczególności Europą postprotestancką. Należy być jednocześnie świadomym wielu negatywnych aspektów spuścizny szlacheckiej, w tym porażki projektu neosarmackiego w XVII wieku i upadku I Rzeczypospolitej. Świadomym należy także pozostawać potencjalnych choć nie automatycznych implikacji antymodernizacyjnych, antymieszczkańskich (antybiznesowych) i populistycznych, wynikających z uproszczonych mitów społeczeństwa szlacheckiego. Silny kult idei arystokratycznej, zdefiniowanej w opozycji do idei demokratycznych, które mogą być budowane w oparciu o mit Polski szlacheckiej, może być także pułapką jednostronnego programu opisywanej tu tożsamości. Wiele z tych zagrożeń omawiają klasycy badań nad szlacheckim rodowodem polskiej inteligencji, w szczególności Józef Chałasiński. Można też mówić o ryzyku reaktywacji negatywnych aspektów polskiego etosu szlacheckiego określanych przez Aleksandra Gellę „szlachetczyzną”, w odróżnieniu od

„szlachectwa” jako cechy pozytywnej. Świadomość tych negatywnych aspektów spuścizny I Rzeczypospolitej powinna jednak pozwolić na ograniczenie ich wpływu na współczesne społeczeństwo polskie i dopełnienie tych wartości w ideałach „neosarmackiego republikanizmu”, które mają jednoznacznie pozytywny wydźwięk, mogą być podstawą do umacniania polskiej tożsamości narodowej i być wykorzystywane jako zasób w zmaganiach z wyzwaniami modernizacji.

prof. dr hab. Andrzej Nowak*

Dziedzictwo wieku XIX

Kiedy pytamy o dziedzictwo XIX wieku, wyobrażamy sobie drogę, jaką przebyła nasza wspólnota od momentu zniewolenia do politycznego wyzwolenia. O ile historia Polski przedrozbiorowej widziana była często, zwłaszcza przez tak zwaną szkołę krakowską („stańczyków”) pesymistycznie: przez pryzmat jej upadku – jakby w całym swym rozwoju była przygotowaniem klęski rozbiorów, o tyle dzieje Polski XIX wieku rozpatrywane były często przez pryzmat tej optymistycznej konkluzji. Sam fakt odrodzenia państwowego wydaje się sugerować historię z *happy endem*. Po wieku niewoli (w niektórych regionach objętych już I rozbiorem – po blisko 150 latach) Polska odzyskała niepodległość.

Tak, to bardzo ważne dziedzictwo wieku niewoli: to, że umieliśmy z niej wyjść – w korzystnej koniunkturze zewnętrznej. Nie sposób jednak nie zadać pytania o ocenę owej przebytej między I Rzeczpospolitą a II Rzeczpospolitą drogi: jaki „naród” tracił niepodległość w 1795, a jaki ją odzyskiwał w 1918 (i kto należał do pierwszego, a kto do drugiego, kto został włączony, a kto odpadł „po drodze”)? Jakie były jego zdobycze w cywilizacji, gospodarce, politycznej kulturze, w miejscu na świecie, we własnej autorefleksji – a jakie straty we wszystkich tych dziedzinach? Warto też pokusić się o próbę historii alternatywnej: co by było gdyby? Gdyby Rzeczpospolita nie upadła w końcu XVIII wieku pod ciosami trzech sąsiednich mocarstw, ale modernizowała się nadal o własnych siłach, rozwijając swoistą formę adaptacji do nowoczesności?

*Instytut Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Przypomnijmy punkt wyjścia: ostatnie lata Rzeczypospolitej. Działo pierwsze w Europie świeckie ministerstwo edukacji; w okresie jego funkcjonowania (1773–1793) ponad 100 tysięcy absolwentów ukończyło szkoły średnie lub wyższe; funkcjonowało także około 1500 szkół na poziomie podstawowym. W latach 1780–1792 było w Rzeczypospolitej blisko 200 tysięcy periodyków, które w ostatnim roku osiągnęły nakład przeszło 600 tysięcy egzemplarzy. Wykształcona w szkołach Rzeczypospolitej elita była jakościowo i ilościowo nie gorsza od tych, jakimi ówczesnie dysponowały najbardziej zaawansowane na drodze modernizacji narody kontynentalnej Europy. Czas Sejmu Wielkiego (1788–1792) to okres, w którym rocznie znajdowało się w druku setki broszur i książek o tematyce politycznej, społecznej, ekonomicznej. I znajdowały pilnych czytelników, entuzjastów i zapalonych krytyków. Debata obywatelska była tak szeroka, jak z pewnością w żadnym innym kraju Europy nie tylko Wschodniej, ale i Środkowej. I nie była to, co ważniejsze, debata teoretyczna, ale jak najbardziej praktyczna: obywatele reformowali swój kraj. Radzili o jego sprawach w przedstawicielskich instytucjach – sejmikach, które ostatecznie „ratyfikowały” reformę Konstytucji 3 Maja.

Jak to celnie określił Andrzej Walicki, polskiemu wiekowi XIX Rzeczpospolita zostawiła w spadku „a stateless political nation”: elitę polityczną gotową do skutecznej realizacji stworzenia nowoczesnego narodu. W końcu XVIII wieku projekt jego budowy był już dojrzały. Wyrażała go definicja narodu sformułowana przez jednego z publicystów okresu Sejmu Wielkiego. Franciszek Salezy Jezierski opisał naród jako wspólnotę ponadstanową określoną przez „wspólny język, zwyczaje, obyczaje, podtrzymywane przez wspólne prawo”. Zabrakło jednak państwa – źródła prawodawstwa i realizującej je administracji, które by ten projekt podtrzymało. Były tylko jego krótkotrwałe namiastki: Księstwo Warszawskie (1807–1813) i Królestwo Polskie (w okresie konstytucyjnym: 1815–1830).

Szkolnictwo polskie mogło przetrwać, a nawet rozwijać się w zaborze rosyjskim do końca trzeciej dekady XIX wieku (zwłaszcza w latach 1804–1825, kiedy Adam Jerzy Czartoryski sprawował z nadania cara Aleksandra I funkcję kuratora wileńskiego okręgu szkolnego). Będzie się odradzało po 1866 roku w Galicji. Przez większość „polskiego wieku XIX” (1795–1918), na większej części ziem przedrozbiorowej Rzeczypospolitej takiego szkolnictwa jednak nie było. Był świadomy wysiłek państw zaborczych, by elitę polską osłabić, by ją ograniczyć.

Największe pod tym względem rezultaty uzyskała władza carska. Do połowy XIX wieku spośród 410 tysięcy szlachty, która w tak zwanych guberniach zachodnich była w sensie kulturowym polska, władze carskie skutecznie zdegradowały do niższego stanu (jednodworców) blisko 340 tysięcy. Ci w większości „rozpuścili się” w otaczającej ich chłopskiej masie: ruskiej i litewskiej, odchodząc od polskości nie tyle ku rosyjskości, jak liczyły na to władze, ale ku „nowym” narodom – ukraińskiemu, białoruskiemu, litewskiemu.

Wszystkie trzy imperia starały się wychowywać poddanych, nie obywateli. Czy wykształcenie w szkole imperialnej nie pociągało za sobą zmian w orientacji aksjologicznej ludzi, którzy mu podlegali? Pytanie staje się retoryczne, kiedy dodamy do niego perspektywę wykorzystania zdobytego wykształcenia w dalszej karierze. Dla większości absolwentów szkół średnich i wyższych na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej w XIX wieku taka kariera wiązała się ze służbą nie-polskiemu państwu. Jak pisze jeden z badaczy tego fenomenu (Jan Kieniewicz): „Ludzie wykształceni wedle wzoru imperialnego, w szkołach, bibliotekach i muzeach, stawali się grupą społeczną wzorowaną na świecie dominującym, w którym znajdowali zatrudnienie”.

Co nie mniej ważne od samego ich wzoru szkolnego, imperia zaborcze przez większość „polskiego wieku XIX” nie dawały szerszych możliwości praktycznego zastosowania obywatelskich postaw. Samorządowe instytucje przedstawicielskie były (jeśli były w ogóle – na przykład zachowane formy samorządu szlacheckiego) raczej narzędziami kolaboracji z nadzorującą je władzą imperialną niż ośrodkami samodzielnych debat i decyzji o sprawach publicznych. Jak zauważył Andrzej Sulima-Kamiński, „obywatelstwo rzeczywistość zamierało, kończyło się. W świadomości jeszcze żyło jako pewien wzorzec, do którego można dążyć, ale już nie można było się starać o wprowadzanie go w życie, praktykować go – to znaczy było to obywatelstwo już troszkę nostalgiczne. Jeżeli pierwsze pokolenie [po likwidacji Rzeczypospolitej] jeszcze rozumiało, że obywatel to człowiek, który decyduje, a nie marzy, człowiek, który działa, a niekoniecznie o działanie się modli, to już pokolenie drugie, nie mówiąc o trzecim, znajdowało się w zupełnie odmiennych sytuacjach. Obywatelski świat przechodził w świat marzeń, w świat nostalgii, w świat wspomnień, nie był już światem realnym”.

Innym, istotnym elementem dziedzictwa wieku bez własnego państwa było wytworzenie napięcia między samą instytucją państwową a zadaniem kultywowania tradycyjnej tożsamości (język, zwyczaje, obyczaje, prawa)

i próbami realizowania interesów „wyobrażonej wspólnoty” polskiego narodu. Służba państwowa jako zdrada to dylemat umocniony w polskiej mentalności wieku XIX. Istotę tego dylematu wyraził pewien mądry polski poddany cara Aleksandra I (Józef Sierakowski): „między upokorzeniem służyć ujarzmiającym, a obawą skutków życia nieczynnego postawiona młodość, w smutnym uchybieniu sobie lub towarzyskiemu położeniu była”.

Warto może zastanowić się w tym kontekście nad kategorią stabilności (rozumianej, jak to ujmuje Paul Ricoeur, jako sposób trwania polegający na zamieszkiwaniu, gdzie istotne są: gromadzenie, powtarzanie, stałość). Stabilność przyczynia się do wzrostu skuteczności instytucji i norm. W XIX wieku, na dużej jego „przestrzeni”, stabilność wzmacniała instytucje i normy niepolskie, a nawet nastawione na wypłukiwanie polskiej tożsamości. Czy zatem „polskość” w wieku XIX (w rozmaitych jego fragmentach i kontekstach) nie musiała destabilizować? Polskość przeciw mieszczańskości? Polskość przeciw cywilizacji? Polskość przeciw instytucjonalizacji? Przeciw gromadzeniu? Przeciw racjonalizacji? Przeciw modernizacji? To są pytania, które dziedziczymy wraz z wiekiem powstań i konspiracji (rozgrywających się na tle o wiele powszechniejszej akomodacji, czy wręcz kolaboracji). Dziedziczymy po tamtym stuleciu to pytanie: do jakiego stopnia, w jakich okolicznościach społecznych, gospodarczych, kulturalnych (odniesienie do wielkich nurtów romantyzmu, pozytywizmu, neoromantyzmu), cywilizacyjnych odradza się gotowość do powstania, do rzucenia kariery, spokoju, stabilności – kiedy zagra nam surma bojowa?

Na historię polską w wieku XIX można spojrzeć i z takiej perspektywy: zagrożenia/niszczenia narodowej tożsamości w wieku kolonializmów – w wieku imperiów. Można w niej dostrzec, jak polskie elity traciły – między 1796 a 1918 – poczucie odrębności swego modelu ustrojowego (cywilizacji?), uznając rolę peryferii cywilizacji zachodniej. Jak romantyzm próbował rekompensować w sferze idei tę peryferyjność wobec Zachodu misjonizmem. Można analizować kolejne etapy „pracy żałoby” po I Rzeczypospolitej: z jednej strony następującą retrospektywną reimperializację (kiedy zaczęto sobie wyobrażać – w wieku imperiów – że również I Rzeczpospolita była imperium, polskim imperium i musimy je odbudować...); z drugiej: historię uświadamiania/wmawiania sobie polskiej winy, winy elity, polskiej elity – historię polskiej mikromanii. Oba te zjawiska wyrażają problem kruchej tożsamości – to także dziedzictwo XIX wieku. W tym

dziedzictwie możemy odkryć historię wielu naszych dzisiejszych kompleksów. Wobec kogo odczuwano „polska winę”, kto ją uznawał? Kto okazywał się *Innym, Obcym, Skrzywdzonym*. Kiedy *Inny* stawał się idolem (najpierw chłop, potem robotnik, Żyd, Ukraińiec, kobieta...???)? Ale też kiedy udawało się owych *Innych* „przerobić” na Polaków (czy można było ich „przerobić” inaczej, z dumą, nie z kompleksem?)? Można na historię poczucia winy i mikromanii (jakże widocznej w ideologii krakowskich „stańczyków”) spojrzeć właśnie przez pryzmat teorii kolonializmu. Istotą tego zjawiska, analizowanego najciekawiej w polskiej historiografii przez Jana Kieniewicza, jest sytuacja, w której społeczeństwo podporządkowane przejmując wizję świata wykreowaną przez obcy system dominujący. Do jakiego stopnia polskie społeczeństwo w swoich XIX-wiecznych metamorfozach przyjęło taką wizję, jaką narzucała modernizacja według wzorów instytucjonalnych, intencji politycznych i kodów kulturowych zaborczego państwa. Pytanie pozostaje otwarte, ale jest na pewno zasadne.

Warto jednak zauważyć, że brak własnego państwa wyrabiał zarazem postawy i formy działania obywatelskiego, samopomocowego: od przyparafialnych instytucji kościelnych (osobny, fascynujący problem: towarzystwa trzeźwości...); poprzez prywatne fundacje na rzecz opieki społecznej; prywatne kasy chorych i ubezpieczeń wzajemnych; prywatnie utrzymywane szpitale, sierocińce, przytulki i inne instytucje dobroczynne; po stowarzyszenia, takie jak „Sokół”, krzewiące idee solidarności obywatelskiej i organizacje samokształceniowe, pracujące nad szerzeniem oświaty i formowaniem świadomości narodowej. Nauka obchodzenia się bez państwa, elementy etosu, można powiedzieć, antyetatystycznego miały także w dziedzictwie polskiego wieku XIX swoją pozytywną stronę...

Nie może być w pełnym tego słowa znaczeniu bilansu wieku XIX, ponieważ sporządzenie go wymaga znajomości wymiernej ceny „historycznego towaru” – a ten nadaje mu wyłącznie interpretacja. W każdym bilansie historycznym jest nieuchronnie element teleologii: czy śledzimy w XIX wieku postępy demokracji, idei obywatelskiej, kapitalizmu, poczucia narodowego, idei pluralizmu i tolerancji, przygotowanie do Holocaustu, czy do odrodzenia państwa polskiego? Zachęcając powyżej do refleksji nad przyczynkami do takiego (ostatecznie niemożliwego) bilansu, chcę na koniec dorzucić do niego jeszcze jeden wątek: chodzi mi o polskie tradycje powstańcze. Trwają one od wieku XVIII po XX, ale wiek XIX i jego wielkie powstania oraz konspiracje mają w tej tradycji niewątpliwie miejsce centralne.

Można je wpisać w „dzieje głupoty polskiej”, jak robił to na zlecenie „realistów” z PKWN Aleksander Bocheński. Ale można też postrzegać je jako ważny element w dziejach tego, co nazywać można „wymiarom antytotalitarnym” polskiej historii – aż po „Solidarność”. Warto zobaczyć ten element w pewnej dynamice oporu wobec krzepnących „na trupie” Rzeczypospolitej imperiów, psucia projektów stabilizacji tych imperiów (w szczególności rosyjskiego – o czym pisałem w szeregu własnych publikacji) – aż do oporu wobec projektów totalitarnych, które przejęły (geopolitycznie i strukturalnie) wiele ze spuścizny niedawnych imperiów: oporu wobec totalitaryzmu sowiecko-rosyjskiego i nazistowsko-niemieckiego.

Ten wymiar polskiej historii, najmocniej zakorzeniony w jej doświadczeniach wieku XIX, najpiękniej skomentowały słowa przemówienia Ronalda Reagana, wypowiedzianego do obu izb brytyjskiego parlamentu 8 czerwca 1982 roku. Amerykański prezydent zaczął je od przypomnienia podziału Europy berlińskim murem i symbolicznej wymowy znaku w centrum Warszawy wskazującego odległość polskiej stolicy od innych stolic kontynentu. W pół drogi między Brukselą a Moskwą – znak ten wskazywał w ujęciu Reagana zasadniczą niesprawiedliwość i sztuczność podziału Europy. Zarazem Polska służyła w jego przemówieniu do przypomnienia słabości tego podziału, niepodzielnego charakteru wolności i potrzeby stałej gotowości do jej obrony. „Poland is not East or West. Poland is at the center of European civilization. It has contributed mightily to that civilization. It is doing so today by **being magnificently unreconciled to oppression**”. Europa to cywilizacja wolności politycznej, Polska w jej centrum stała się w wieku XIX, przynajmniej na pewien czas, przynajmniej w pewnych kręgach, symbolem niezgody jej mieszkańców na odebranie im wolności przez obcy, narzucony system. Dla amerykańskiego prezydenta oznaczało to potwierdzenie zasadniczego optymizmu jego politycznego przesłania: demokratycznych, wolnościowych dążeń nie da się trwale stłumić – odżywają co pewien czas z narastającą siłą. Wymyślone przez powstańców polskich z 1830 roku hasło „za wolność naszą i waszą”, udokumentowane tyloma przykładami polskiego zaangażowania w europejskich (zwłaszcza wschodnio- i środkowo-europejskich) ruchach wolnościowych, jest dziś może – na tle tyłu pesymistycznych przypomnień, jakim i tutaj zostało udzielone największe miejsce – najbardziej zapomnianym dziedzictwem polskiego wieku XIX. Niebezpiecznym, ryzykownym, ale fascynującym zarazem.

*dr Tomasz Zarycki**

O jednostronnej wizji „Wschodu” w Polskiej tożsamości narodowej

Okres zaborów, co zrozumiałe, przedstawiany jest najczęściej w polskiej historiografii głównie w mniej lub bardziej ciemnych barwach. Jego negatywny bilans jest dość oczywisty – ziemie polskie stały się obszarami peryferyjnymi trzech wielkich mocarstw. Rozwój polskości, interesy polskie nie były dla żadnego z tych krajów istotne, a częściej zwracały się one wprost przeciw Polakom, polskiej kulturze i tradycjom. Dążyły często w mniej lub bardziej zdecydowany sposób, w szczególności w przypadku Prus i Rosji, do wyeliminowania polskiej tożsamości oraz odebrania Polakom ich pozycji społecznych i ekonomicznych.

Jednym z negatywnych efektów tego stanu rzeczy było powstanie w polskiej tożsamości syndromu ofiary znanego ze studiów postkolonialnych. Syndrom ten silnie wpływa do dziś na obraz własny Polaków, którzy czują się nie tylko niepewni swojej wartości, wartości swojej spuścizny kulturowej i potencjału swojego państwa, ale mają także tendencję do poszukiwania rozwiązań jego problemów w odwołaniu do sił zewnętrznych, czego przykładem mogą być wyniki sondaży wskazujących na wyższe zaufanie do biurokratyzowanych instytucji Unii Europejskich niż do własnych

* Instytut Studiów Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego.

instytucji państwowych. Ze szczególnym zaufaniem do struktur państw zachodnich wiąże się przekonanie o kluczowej roli obcych instytucji zarówno administracyjnych, jak i prywatnych, jako najważniejszych czynników wymuszających i kształtujących procesy modernizacyjne w Polsce. W myśl takiej postawy modernizacja jawi się dla wielu Polaków jako efekt kontrolowanych poza granicami kraju procesów, którym stawić trzeba czoło, umiejętnie dostosowując się do tworzonych przezeń wyzwań. Przekonania takie mogą zresztą rodzić zupełnie odmienne, nawet przeciwstawne implikacje, jeśli chodzi o wizje polityczne. Z jednej strony, mogą to być bowiem postawy obronne, związane z zamkniętą, nieufną wobec świata zewnętrznego ideologią mogącą zbliżyć się niebezpiecznie w kierunku nacjonalizmu. Przekonanie o braku wpływu na procesy społeczne, które sterowane są głównie z zewnątrz, łączyć się może w skrajnych przypadkach z wiarą w proste teorie spiskowe i ściśle defensywną ideologią izolacji przed złowrogimi siłami zewnętrznymi. Z drugiej strony, to samo przekonanie o słabości i bezbronności Polski wobec procesów mających swe ośrodki sterowania za granicami kraju rodzić może skrajnie defetystyczne postawy implikujące hasła rezygnacji z podmiotowości kraju, zarzucenia jakiegokolwiek obrony tożsamości i polskich interesów, których i tak obronić się nie da. To głęboko niekiedy zakorzenione przekonanie o własnej słabości i niemożności podmiotowego działania, czy to w sferze reform politycznych, ekonomicznych, czy wreszcie świadomego wyboru tożsamości, wydaje się swoimi korzeniami sięgać właśnie okresu zaborów.

Innym aspektem postkolonialnej w swojej istocie tożsamości, która jest w Polsce spadkiem zarówno okresu zaborów, jak i PRL, jest przywiązanie w niej do wątków „wiktyimizacyjnych”, a więc elementów opartych na kulcie cierpienia, wizji Polski jako ofiary niegodziwości zadawanej przez niemoralnych i bezwzględnych sąsiadów. Cierpienie owo, jak wiadomo, jest świadomie i podświadomie używane jako argument mający zarówno usprawiedliwiać nas z własnych słabości, zaniedbań i braku odpowiedzialności za własny kraj, jak i budzić poczucie winy u obcych, w szczególności wśród elit państw bardziej zasobnych. Zwykle oczekujemy w takim kontekście, iż wezmą one pod uwagę swoje wobec nas historycznie zdefiniowane winy i rekompensować je będą wszelkiego typu pomocą, ulgowym traktowaniem, skończywszy na wspomnianym już wzięciu odpowiedzialności za Polskę i jej problemy.

Istotnym elementem zaborczej spuścizny jest także, o czym wspomina Andrzej Nowak w niniejszym tomie, znaczne wyalienowanie Polaków ze sfery działalności państwowej i gospodarczej. Kariera w administracji państwowej, w szczególności w zaborach pruskim i rosyjskim, wiązała się dla Polaków z mniej lub bardziej jednoznacznym odejściem od polskości, nierzadko z wyrzeczeniem się jej, a także narażać mogła na ostracyzm w środowisku polskim. Zaborcy świadomie bowiem starali się ograniczyć wpływy polskie w sferach polityki, gospodarki i kultury, rugując z nich język polski, ograniczając rozwój polskich organizacji i własności. Te działania nie były jednak nigdy skuteczne w pełnym zakresie. Wielu bowiem Polakom udawało się robić kariery administracyjne, a także polityczne, szczególnie pod koniec epoki zaborów, gdy imperia podlegały systematycznym procesom demokratyzacji. Te aspekty życia polskiego w okresie zaborów zostały jednak w dużym stopniu zmarginalizowane we współczesnym obrazie tej epoki.

Warto zwrócić uwagę, że jednym ze sposobów, w jaki Polacy rekompensują do dziś swoje w dużym stopniu postkolonialne kompleksy niższości, jest odwoływanie się do schematów orientalizujących swoich wschodnich sąsiadów – w szczególności Rosjan, a także Białorusinów czy Ukraińców. Użyte tu pojęcie „orientalizmu” wywodzi się ze znanej pracy Edwarda Saïda pod tym samym tytułem, w której opisuje on dominujący na Zachodzie sposób postrzegania Bliskiego Wschodu. Jest to schemat, w ramach którego „orient” jawi się zawsze jako ten zacofany, nienowoczesny, nieprzewidywalny, niebezpieczny i generalnie gorszy. Można zauważyć, że w podobny sposób postrzegana jest często na Zachodzie cała Europa Wschodnia, a także nierzadko i Środkowa. Ten obraz jest, co istotne (podobnie jak zauważał to Saïd w przypadku Bliskiego Wschodu), zinternalizowany przez znaczną część mieszkańców „orientu”, w tym przypadku także Europy Środkowo-Wschodniej, a w szczególności jej elit. To one zajmują się szczególnie intensywnie reprodukcją obrazów zacofania, niedojrzałości, egzotyczności czy niższości cywilizacyjnej krajów i społeczeństw położonych na wschód o Łaby. Problemem nie jest tu oczywiście fakt, iż dyskutuje się i pisze o obiektywnie istniejących problemach i słabościach społeczeństw Europy Środkowo-Wschodniej, ale to, że wpisuje się je w uproszczony schemat interpretacyjny. Jego założeniem jest postrzeganie słabości organizacji społecznej krajów „orientu”, a więc także europejskiego „Wschodu”, jako ich cech immanentnych, kluczowych i odróżniających od krajów „cywilizowanych”. Analogiczne bólaczki i napięcia społeczne

w krajach Zachodu interpretowane są tymczasem jako niepodważające pozytywnej natury tamtych społeczeństw wyjątki, przejściowe napięcia, zakłócenia w rozwoju społecznym wynikające w szczególności z czynników zewnętrznych, choćby napływu emigrantów czy procesów globalizacji, niezwiązane więc z wrodzonymi cechami społeczeństw zachodnich. W takiej centro-peryferyjnej optyce „Wschód” pozostaje stale napiętnowany, wiecznie „zapóźniony” w stosunku do Zachodu, zawsze gorszy i nieatrakcyjny. Wśród samych mieszkańców „orientu” dominuje głęboko zakorzenione przekonanie, że „prawdziwe życie” toczy się gdzie indziej, że są oni skazani przez historię na wieczne cierpienia, a problemy, z którymi zmagają się na co dzień, są nieporównywalnie gorsze od tych, jakim stawiać czoła przychodzi mieszkańcom „centrum”. Co istotne, owych „wschodnich” problemów w takiej optyce do końca nie da się właściwie nigdy rozwiązać, bo związane są one z owym immanentnym zacofaniem krajów, w jakich występują. To podświadome często przekonanie o bezsilności wobec historycznie zdefiniowanej natury zacofania własnych społeczeństw wzmacnia dodatkowo bezsilność mieszkańców „Wschodu”, skłaniając często co aktywniejsze jednostki raczej do emigracji niż podejmowania wysiłków na rzecz zmiany własnego kraju.

Jak wspomniano, dla osłabienia takiej właśnie negatywnej percepcji Polski, a jednocześnie (lub nawet w większym stopniu) dla kompensacji własnych kompleksów niższości wobec Zachodu, częste jest u nas wpisywanie w klasyczne schematy orientalistyczne Rosji. Jej obraz jako kraju jeszcze bardziej „wschodniego” od Polski podkreślać ma relatywną przewagę „cywilizacyjną” Polaków nad swoimi „dzikimi” sąsiadami. Jest to wizja pojawiająca się niezwykle często w polskich mediach i dyskursie naukowym. Takie widzenie Rosji w Polsce łączy się bardzo silnie ze stereotypowym postrzeganiem zaboru rosyjskiego jako jednoznacznie najgorszej z trzech zajmowanych przez okupantów części kraju. W jego stereotypowej wizji, w znacznym zresztą stopniu dominującej w obrazach całej historii Polski okresu zaborów, kluczową rolę grają wątki martyrologiczne, historie nieudanych powstań, brutalnych represji, bezwzględnej rusyfikacji, wysiedleń na Syberię. Głównymi bohaterami tej narracji stają się więc w sposób nieunikniony wszelkiego rodzaju bojownicy o wolność, nieustraszeni powstańcy, ich cierpiące rodziny i inne ofiary represji. W obrazie tym, poza bardzo szczegółowymi czy specjalistycznymi opracowaniami, nie ma miejsca na ludzi mających jakiegokolwiek pozytywne osiągnięcia, oprócz twórców kultury, którzy często także okazywali się ofiarami zaborców, ograniczających im możliwości tworzenia, a także inne swobody.

Przeciętny uczeń polskich szkół nie dowie się prawie nic o Polakach w służbie zaborców, w szczególności w służbie rosyjskiej. Prawdopodobnie jeszcze mniej dowie się o Polakach działających w sferze gospodarki. Ze znanych powieści z tego okresu, jak „Ziemia Obiecana” czy „Lalka”, dowiedzieć się może, że byli wśród Polaków milionerzy, ale historie te mają zwykle charakter anegdotyczny i nie odnoszą się do realnie działających osób. Dominujący, stereotypowy sposób reprezentacji historii zaboru rosyjskiego pomija zupełnie sferę gospodarczą, która jawi się jako pole całkowitego wykluczenia Polaków, jako sfera dla Polaków niedostępna. Jest to znaczące uproszczenie obrazu życia Polaków w imperium rosyjskim. Pomija zupełnie fakt, że to właśnie w carskiej Rosji Polacy dochodzili do największych fortun, że uczestniczyli w przedsięwzięciach finansowych na skalę praktycznie niedostępną im w innych zaborach. Nawet jeśli zabór pruski był pod wieloma względami nowocześniejszy gospodarczo i przyniósł relatywnie najbardziej racjonalną modernizację struktury społeczno-gospodarczej Wielkopolski, nie dawał wielu Polakom szansy na wejście w świat wielkiego biznesu na skalę międzynarodową. W Rosji tymczasem wielu Polaków odnosiło spektakularne sukcesy gospodarcze i finansowe, nie zapominając jednocześnie ani o swojej polskości, ani o powinnościach z niej wynikających, w szczególności o działalności charytatywnej i społecznej.

Większość z nich została dziś jednak prawie zupełnie zapomniana. Wydaje się to być przede wszystkim efektem dominacji wspomnianego martyrologiczno-orientalistycznego charakteru obrazu historii Polski okresu zaborów, a w szczególności zaboru rosyjskiego. Ta jednostronność we współczesnym sposobie reprezentacji historii szeroko rozumianej Polski wschodniej wydaje się być godnym ubolewania zubożeniem świadomości narodowej, a w szczególności znacznym ograniczeniem zasobu historycznych inspiracji dla współczesnych procesów modernizacji. Historie Polaków odnoszących sukcesy w carskiej Rosji wydają się być bowiem w wielu przypadkach niezwykle cennym źródłem inspiracji dla współczesnych przedsiębiorców oraz wszystkich ludzi ambitnych i odważnych. Skala sukcesów, jakie odnosili nasi przodkowie na przełomie XIX i XX wieku, w szczególności w imperium rosyjskim, może dawać inspirację dla dzisiejszych ludzi biznesu, dostarczać im zarówno wzorców odważnego planowania ekspansji swoich firm, jak i wzorców osobowych, przykładów łączenia karier finansowych z wypełnieniem ważnych ról społecznych.

Wśród owych zapomnianych pozostają liczni przedsiębiorcy, w tym fabrykanci i finansiści. Ich przykładem może być rodzina Kronenbergów, której pamięć ożywia nieco fundacja Banku Handlowego czy Hipolit Wawelberg – właściciel jednego z największych domów bankowych w Petersburgu, a jednocześnie polski patriota i działacz społeczny. To on był głównym fundatorem szkoły mechaniczno-technicznej Wawelberga i Rotwanda, która choć częściowo zastępowała niezakończoną przez Rosjan na terenach polskich państwową politechnikę. Wśród godnych dzisiejszej pamięci polityków działających w Rosji przykładem może być Aleksander Lednicki, a wśród szeroko rozumianych działaczy pola kultury Marian Zdziechowski, wybitny znawca polskiej i rosyjskiej literatury – osobisty przyjaciel wielu najwybitniejszych rosyjskich filozofów i literatów. Potrafił on w sposób niezwykle głęboki wniknąć w struktury rosyjskiej kultury i duchowości, przybliżając Polakom jej najcenniejsze wartości. Pokazywał jednocześnie to, co kluczowe w tożsamości polskiej Rosjanom, będąc wspólnym łącznikiem między dwoma narodami.

Podsumowując, zauważyć można, że pamięć o okresie zaborów, w szczególności o zaborze rosyjskim, jaka dominuje dziś w Polsce, pozbawia nas istotnego symbolicznego zasobu mogącego dawać inspirację dla polskich wysiłków modernizacyjnych w szeroko rozumianym polu gospodarczym. Niezwykle symbolicznym momentem dla swego wykluczenia sfery gospodarki z pola polskich ambicji narodowych wydaje się wojna polsko-bolszewicka. W czasie jej trwania, jak wiadomo, Józef Piłsudski podjął decyzję o odmowie udzielenia pomocy armii Denikina, przyczyniając się do porażki Białych i zwycięstwa Bolszewików (a być może nawet to przesądzając). W polskiej historiografii owa kluczowa decyzja Piłsudskiego oceniana jest jednoznacznie pozytywnie i nie podejmuje się zwykle rozważań dylematów z nią związanych. Nawet jeśli nie będziemy podważać słuszności wyboru Marszałka, warto pamiętać o jego implikacjach. Zwycięstwo Bolszewików i upadek białej Rosji, do którego Piłsudski pośrednio się przyczynił, przyniosło w szczególności całkowite pozbawienie Polaków wszelkiej własności na ziemiach wchodzących w skład ZSRR. Po 1944 roku nacjonalizacja objęła, jak wiadomo, całość terytorium Polski i nawet jeśli nie zniszczyła wszystkich nieruchomości, całkowicie pozbawiła Polaków zasobów kapitałowych, wyłączając ich na długie dziesięciolecia ze sfery życia gospodarczego. Pierwotna akumulacja kapitałów zaczęła się niemal od zera dopiero

pod koniec lat 80. i długo jeszcze będziemy czekać na zgromadzenie w rękach polskich takich zasobów kapitałowych i ziemskich, jakie posiadaliśmy około 1918 roku. Jak wiemy, ceną za utrzymanie wspomnianych zasobów byłaby prawdopodobnie niemożność odzyskania niepodległości, ale warto pamiętać, że wybór walki zbrojnej i tożsamości heroicznej, przy odrzuceniu ekonomicznego pragmatyzmu, ma także istotne efekty dla naszej współczesnej świadomości. Jak się wydaje, wiąże się on z ugruntowanym przez dominujące interpretacje polskiej historii przekonaniem o niedostępności dla Polaków sfery wielkiego kapitału jako świata, w którym realne zasoby dostępne są tylko kosztem trudnych do zaakceptowania kompromisów moralnych. Odwołując się do pojęć trzech typów kapitału wprowadzonych przez Pierre’a Bourdieu, można powiedzieć, iż dominująca dziś wizja polskiej historii definiuje do dziś status Polaka przede wszystkim w kategoriach kapitału kulturowego (wykształcenia i etosu inteligencko-szlacheckiego) oraz społecznego (przynależności narodowej, a także religijnej). Jednocześnie deprecjonuje symbolicznie kapitał ekonomiczny jako w pewnym sensie nieczysty, nie do końca moralny, bo możliwy do uzyskania tylko za cenę wyrzeczenia się własnej tożsamości. Czcimy dziś bowiem w panteonie narodowych bohaterów głównie tych, którzy wartości ekonomicznych i kariery wyrzekali się dla wartości narodowych i kulturowych. Pozytywnym tego efektem jest między innymi cenne przywiązanie Polaków do tradycji, religii i przede wszystkim wykształcenia. Warto zwrócić uwagę, że to właśnie w dawnych zaborach austriackim i rosyjskim wyniki testów gimnazjalnych wyższe są po dziś dzień od tych notowanych średnio w zaborze pruskim, gdzie „kapitał kulturowy” nie jest aż tak bardzo dowartościowywany w stosunku do kapitału ekonomicznego, jak w Polsce wschodniej. Wykształcenie dla Polaków jest bowiem, jak się wydaje, nierzadko nie tylko pragmatycznym zasobem umożliwiającym bogacenie się, ale częściej zasobem symbolicznym definiującym status społeczny i czynnikiem pozwalającym na ucieczkę do „lepszego świata” ze stron rodzinnych obarczonym negatywnym stereotypem.

W tym kontekście warto zauważyć, jak silnie upośledzony jest w wymiarze symbolicznym zabór rosyjski w stosunku do zaborów austriackiego i pruskiego. Dwa ostatnie oprócz negatywnej pamięci posiadają także pozytywne mity wzbogacające poczucie wartości ich mieszkańców i dające inspirację do działań modernizacyjnych. Wielopolska, jak wiadomo, utożsamia się często z wartościami porządku, praworządności, dyscypliny, solidności, pragmatyzmu, racjonalności i mierzenia zamiarów na możliwości.

Małopolska chlubi się swoją demokratyczną przeszłością w drugiej połowie rządów austriackich, przywiązaniem do tradycyjnych wartości, wysoką kulturą, uprzejmością i kurtuazją. Jednocześnie poza wspomnianym etosem martyrologicznym brak jest praktycznie pozytywnych mitów zaboru rosyjskiego, które obejmować by mogły między innymi odwagę, w szczególności odwagę podejmowania wielkich wyzwań i zmiany świata, fantazję, duchowość, „wschodnią wrażliwość religijną”, którą można przeciwstawić „chłodnej” religijności protestanckiej i wreszcie wspomniany tu rozmach w działalności gospodarczej, który dziś wydaje się wartością szczególnie cenną mogącą być czynnikiem inspirującym rozwój całej Polski, a w szczególności jej wschodnich regionów.

*dr Piotr Koryś, dr Maciej Tymiński**

Źródła postaw klientelistycznych we współczesnej Polsce

Jednym z niemalże nieusuwalnych elementów polskiej cywilizacji, obecnym w życiu codziennym Polaków i polskiej kulturze politycznej od kilku wieków jest ogromna rola nieformalnych powiązań, relacji patron-klient i różnorodnych form korupcji. Sam fakt ich pojawienia się w pewnym momencie historycznym nie jest niczym nadzwyczajnym – Samuel P. Huntington, analizując procesy modernizacji, pokazywał, że ich nieodzownym elementem staje się często rozpowszechnienie się klientelizmu i korupcji. Jednak godne rozważenia jest pytanie, czemu klientelizm i korupcja są względnie trwałym elementem w perspektywie historycznej polskiego systemu politycznego i społecznego. Prześledźmy więc najważniejsze czynniki kształtujące ten element polskiego życia społecznego, poczynając od wpływu systemu politycznego I Rzeczypospolitej, przez specyfikę dwoistości polskiego społeczeństwa oraz skutki zaborów, po „kulturę korupcji” i dziedzictwo PRL-u. Te pięć elementów miało w naszej opinii istotny wpływ na charakter strategii i postaw klientelistycznych w dzisiejszej Polsce.

W XV i XVI wieku ukształtował się w Polsce **system polityczny**, określany jako demokracja szlachecka lub szlachecki republikanizm. Dominująca rolę w państwie odgrywał nie król, lecz sejm szlachecki pełniący funkcje ustawodawcze. Był to bez wątpienia interesujący i dość wyjątkowy w warunkach europejskich projekt polityczny. Miał jednak kilka wad, które wpisane były niejako w naturę systemu. Najważniejszą z nich, obok braku zdolności do ewoluowania, okazała się wyjątkowa **podatność na klientelizm**

*Wydział Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego.

i **korupcję**, zwłaszcza w okresie zapaści w XVIII wieku. Szczególna pozycja polityczna szlachty odgrywającej właściwie rolę suwerena, a jednocześnie w dużej części nieprzejętej problemami kraju, pozwalała wykorzystywać szlacheckich posłów na sejm i lokalne sejmiki jako klientów. W szczególności pomagała w tym zasada równości politycznej szlachty, pomijająca nierówności majątkowe i stwarzająca warunki do korumpowania najbiedniejszych, choć politycznie ważnych przedstawicieli szlachty.

Wady te stały się jedną z przyczyn kryzysu systemu politycznego, osłabienia instytucji państwa i narastających ingerencji zewnętrznych, łącznie z osadzaniem na tronie monarchów wyznaczonych przez inne kraje (w szczególności przez Rosję). Słabość polityczna, ale również społeczna (o czym niżej) I Rzeczypospolitej przyczyniła się do jej upadku. W okresie rozbiorów rozpowszechniła się, zwłaszcza na terenie największego zaboru – rosyjskiego, korupcja administracyjna, często inspirowana przez zaborców. Petryfikowała ona model społeczeństwa opartego na powiązaniach klientelistycznych, choć nabrały one nowej – wielopoziomowej – formy, typowej dla rosyjskiej administracji.

Po roku 1918 od nowa pojawiły się warunki do zaistnienia klientelizmu i korupcji politycznej. Objawiły się one w postaci afer polityczno-gospodarczych (takich jak afera Dojlidów¹) już w pierwszej połowie lat 20. Jej nasilenie można obserwować dopiero w okresie quasi-demokratycznych, a potem autorytarnych rządów marszałka Piłsudskiego i jego następców. Z możliwości, które dawał kontakt z Piłsudskim, chętnie korzystało jego otoczenie, a dla wielu byłych oficerów jego Legionów otworzyło to drogę do wspieranej korupcją kariery finansowej.

Słabości **systemu społecznego** I Rzeczypospolitej stały się jednym z czynników kształtujących utrzymujący się model społeczeństwa podzielonego na oświecone, nowoczesne elity i warstwy niższe – wieś – gdzie utrzymywał się **model społeczeństwa zacofanego**. Wraz z rozwojem gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej i pogłębiającymi się różnicami w zamożności nabrał dynamiki proces zamykania się warstw społecznych i wyraźnego podziału na społeczeństwo chłopskie i szlacheckie. Chłopi byli spychani coraz niżej na drabinie społecznej i coraz silniej uzależniani od posiadacza ziemskiego. Układ stosunków wewnątrz wsi, znajdujący się de facto poza kontrolą państwa, bliski był modelowi „**amoralnego familizmu**”: sprawy

¹ Majątku kupionego tanio przez polityków PSL pracujących nad przyjętą wkrótce ustawą, która umożliwiła odsprzedaż go państwu po wielokrotnie wyższej cenie.

jakkolwiek pojmowanej wspólnoty (poza obrębem wsi) nie istniały, interes partykularny był dominujący. Wszystko to działo się w warunkach skrajnej biedy, wskutek której układy takie wzmacniał instynkt samozachowawczy. Ten model postaw społecznych pozostał aktualny, pomimo starań polskiej inteligencji, przez cały okres rozbiorów.

Również w II Rzeczypospolitej nie udało się przewyciężyć podziału na dwa społeczeństwa: zmodernizowane, nowoczesne społeczeństwo warstw wyższych i zacofane społeczeństwo warstw niższych, wciąż przede wszystkim chłopów. Trwałość tego podziału przyniosła bardzo ważne konsekwencje w związku ze zmianami społecznymi okresu II Wojny Światowej. Dopiero ją potraktować można jako moment narodzin swoistej „**kultury korupcji**”. Wojna doprowadziła bowiem do instytucjonalizacji „amoralnego familizmu” jako obowiązującej normy moralnej oraz rozpowszechnienia się czarnorynkowej ekonomii. Ponadto jej skutkiem była niemal natychmiastowa, radykalna zmiana społeczna. Po wojnie społeczeństwo polskie było pod niemal każdym względem inne niż społeczeństwo przedwojenne: zmieniło się terytorium, zniknęły właściwie mniejszości etniczne, zdziesiątkowana została inteligencja i szerzej – warstwy średnie oraz wyższe. Okres wojny stworzył też warunki do zlikwidowania niemal całej – poza sektorem rolnym – prywatnej własności. To zaś wzmocniło efekt zacofania.

W czasach rozbiorów ukształtował się na ziemiach polskich specyficzny typ relacji państwo-społeczeństwo, niemal tak samo trwały i uciążliwy jak postawa „amoralnego familizmu”. Wiązał się on z uformowaniem się **dychotomii pomiędzy „nam”, czyli narodem, a „nimi”, „obcymi”, czyli administracją państw zaborczych**. Naród nie był więc tożsamy, jak to zwykle bywa, z państwem – państwo pełniło raczej funkcję wroga, drugiej strony, zespołu instytucji, którym nie należy ufać. Powstanie niepodległego państwa w 1918 roku niewiele zmieniło, pomimo iż powinna zniknąć (i de iure zniknęła) wspomniana dychotomia między państwem a narodem. Okazało się, że społeczne przyzwyczajenia były bardzo głęboko zakorzenione i akty symboliczne – jak powstanie niepodległego państwa – nie były w stanie szybko ich zmienić.

Wszystkie wspomniane wyżej słabości cywilizacyjne Polski skumulowały się niejako w czasach komunistycznych. Ponadto okres socjalizmu państwowego był swego rodzaju nową jakością w formowaniu się powszechnych układów klientelistycznych i wszechogarniającej „**kultury korupcji**” na kilka sposobów. Z rzadka tylko ustawały napięcia na linii władza-społeczeństwo.

Model relacji uformowany w czasach rozbiorów – „my kontra oni” – stał się od czasów wojny, przez cały okres komunistyczny wciąż obowiązujący. To nie przyczyniało się do wzrostu poszanowania instytucji państwowych. Zmiany symboliczne w roku 1989, podobnie jak w 1918, przyniosły niewielki skutek – szacunek do własnego już państwa nie powrócił.

Likwidacja rynku, nacjonalizacja i wprowadzenie centralnie planowanej dystrybucji zarówno dóbr inwestycyjnych, jak i towarów konsumpcyjnych doprowadziły do powstania tak zwanej gospodarki niedoborów. W skutek reakcji na ten stan uformował się zbiór mechanizmów obronnych rozładowujących napięcia zarówno na poziomie indywidualnym, jak i systemowym. Można do nich zaliczyć zjawiska, takie jak: korupcja, nepotyzm czy klientelizm. W warunkach ekonomii socjalistycznej ich istnienie pozwalało funkcjonować państwowym przedsiębiorstwom, jak również koncesjonowanym firmom prywatnym, handlowi, warsztatom rzemieślniczym, a przede wszystkim gospodarstwom domowym. Dlatego czarny rynek albo gospodarka równoległa okazały się immanentną częścią systemu ekonomicznego socjalizmu państwowego, bez którego nie mógłby on funkcjonować. Mechanizmy, które rozpowszechniły się w latach II Wojny Światowej, kiedy były niezbędne dla przetrwania gospodarstw domowych, w komunizmie swym zasięgiem objęły całą gospodarkę.

Z kolei korupcja przedstawicieli aparatu władzy i administracji była wynikiem nie tylko systemu gospodarczego, ale także charakteru ustroju politycznego, a przede wszystkim **systemu partyjnej nomenklatury**. System nomenklaturowy był niejednoznacznie umocowany, miał zbyt duże rozmiary i nie do końca sprecyzowane reguły działania. Jednak funkcjonariusze partyjni, jak i państwowi, którzy w nim uczestniczyli, szybko przystosowali się do nowych rozwiązań i nauczyli się korzystać z ich niedoskonałości. Obok swobody, którą dawały one władzom partyjnym, umożliwiły naruszanie i modyfikowanie zasad nomenklatury zarówno przez aparat polityczny, jak i administrację państwową. Wytworzyło to nieformalne porozumienie pomiędzy rządzącą elitą polityczną a podporządkowanymi jej funkcjonariuszami aparatów politycznego i państwowego. W zamian za lojalność wobec pierwszych drudzy uzyskiwali faktyczną autonomię na swoim terenie. Wskutek tego w ramach systemu nomenklaturowego rozprzestrzeniły się relacje klientelistyczne. Im silniejsze koneksje danej osoby w aparacie władzy, im mocniejszy patron, tym większa szansa na zajęcie lukratywnego stanowiska, do którego dostęp ograniczały wszak nieformalne reguły nomenklatury.

Rozkład systemu komunistycznego i uchylene większości jego instytucji, jak nomenklatura i gospodarka nakazowa, nie spowodował zniknięcia „kultury korupcji”. Można wręcz zaryzykować twierdzenie, że w warunkach polskich nastąpiła jej ponowna, postkomunistyczna instytucjonalizacja². Rodzi się pytanie, czy dzisiejsza „kultura korupcji” jest konsekwencją epoki socjalizmu państwowego, czy też, jak stara się to pokazać wielu badaczy źródła dzisiejszych patologii społecznych, tkwi głębiej, w czasach przedkomunistycznych? Z tym drugim podejściem wiązać można koncepcję bariery „niekompetencji cywilizacyjnej” zaproponowaną przez Piotra Sztompkę. Według niego „na najgłębszym poziomie, w jakości podstawowej tkanki kulturowo-cywilizacyjnej, ujawniły się trwałe i najbardziej odporne na zmiany symptomy patologii.” (Sztompka, 1994) Elementem tego zjawiska jest nie tylko łatwość przekraczania norm etycznych, ale również wysoki stopień tolerancji dla takich działań lub wręcz niezauważanie objawów. Badacze podzielający to stanowisko wskazują na znaczenie tradycji chłopskiej i spuściznę okresu zaborów. Z tym podejściem można również wiązać dalej idącą opinię, że komunizm i zaraz potem postkomunizm były względnie naturalnymi etapami rozwoju społecznego zacofanych państw Europy Środkowej, w związku z tym zjawiska charakterystyczne dla obydwu okresów odgrywają niewielką rolę i szybko tracą na znaczeniu. Wszelkie patologie są dziedzictwem wcześniejszych epok i zacofania regionu.

We wcześniejszych okresach historii znaleźć można zjawiska mające wpływ na rozwój korupcji w krajach Europy Środkowej i Wschodniej, jednak nie dowodzą one, że komunizm i zaraz potem postkomunizm były normalnymi etapami rozwoju społecznego tych państw. Patologie okresów wcześniejszych w sposób najgorszy z możliwych zostały zaadoptowane, wzmocnione i zinstytucjonalizowane w latach komunizmu. Został im też nadany nowy, trwały wymiar. Dlatego przyczyn sztompkowskiej „niekompetencji cywilizacyjnej” we współczesnej Polsce w naszej opinii należy doszukiwać się przede wszystkim w okresie komunistycznym. Socjalizm państwowy z jednej strony był źródłem zjawisk nowych, nieobecnych we wcześniejszych epokach (przede wszystkim rozpanoszenia się specyficznego nomenklaturowego klientelizmu, charakterystycznego dla porządku komunistycznego), z drugiej zaś spetryfikował, a nawet wzmocnił wiele niepożądanych zjawisk i postaw z wcześniejszych okresów.

² Na analogiczne zjawisko w postkomunistycznej Rosji zwraca uwagę Alena Ledeneva (1998, 175–215).

*dr hab. Dariusz Stola**

Wpływ PRL na postawy Polaków w III Rzeczypospolitej

Szukając odziedziczonych po przeszłości „kodów mentalnych” wpływających na dziś i jutro Polski, nie sposób uniknąć pytania o mentalne dziedzictwo PRL. Zarazem, poszukiwanie w tym dziedzictwie takich postaw i skłonności, które sprzyjają cywilizacyjnemu rozwojowi naszego kraju, nie jest łatwe. Myślimy wszak o rozwoju w warunkach wolnego rynku, demokracji i rządów prawa, tymczasem komunistyczna dyktatura oznaczała zanegowanie wszystkich tych swobód. Na szczęście historia Polski pod rządami PZPR to nie tylko niewydolność i absurdy zetatyzowanej gospodarki oraz opresja i nadużycia władzy. Ponadto, nawet ewidentne wady ówczesnego reżimu mogły prowadzić do skutków przydatnych w nowych warunkach (jak spróbuję to niżej pokazać).

Organizatorzy konferencji słusznie przeznaczili dla mentalnego dziedzictwa PRL odrębny rozdział. Choć Polska komunistyczna istniała tylko 40 lat, podczas gdy zabory trwały ponad 100, a instytucja folwarku trzy razy tyle, by nie wspomnieć o historii Słowian, to ten stosunkowo krótki okres ma nieproporcjonalnie wielki wpływ na naszą współczesność. Po pierwsze, jest to historia czasowo najbliższa, historia współczesna, czyli ta przeszłość, która w największym stopniu jest obecna (paradoksalna nazwa „historia współczesna”, czyli „współczesna przeszłość”, to właśnie ma uwypuklić). Większość żyjących dziś Polaków wychowała się w PRL lub spędziła tam większą część

*Instytut Studiów Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego.

swego życia i dopiero w 1989 roku „wyemigrowała” do III Rzeczypospolitej – kraju o bardzo podobnym krajobrazie i języku, ale innych „regułach gry”. Grupa ta, naturalną koleją rzeczy, z każdym rokiem maleje, ale wobec spadku przyrostu naturalnego w latach 90. proces ten jest powolny i jeszcze przez co najmniej kilkanaście lat „imigranci z PRL” stanowić będą znaczną część ludności Polski.

Po drugie, dekady PRL, zwłaszcza pierwsze, to czas Wielkiej Przemiany – przejścia od społeczeństwa wiejskiego i rolniczego do miejsko-przemysłowego. Tempo modernizacji, rozumianej wąsko jako połączone procesy urbanizacji, uprzemysłowienia, wzrostu poziomu wykształcenia ludności, było wtedy szybsze niż kiedykolwiek. W trakcie tych przemian nie tylko zmienił się tryb życia i sposoby myślenia bardzo wielu ludzi, ale też ukształtowały się nowe (całkowicie lub częściowo) wzory zachowań i wzory życia: różne zachowania właściwe dla życia w mieście – sposoby bycia mieszkańcem miasta, wyobrażenia, co to znaczy być robotnikiem przemysłowym (czy pracownikiem najemnym w ogóle), wzory zdobywania i wykorzystywania wiedzy. Odbywało się to w specyficznych warunkach, w narzuconych Polsce sowieckich rozwiązaniach organizacyjnych, obejmujących państwo i gospodarkę. Tu można poczynić porównanie z okresem zaborów, o którym była mowa przed chwilą. Ówczesny dylemat: czy wejść w służbę zaborczego mocarstwa w administracji, wojsku, szkolnictwie lub sądownictwie – wpływać na sferę publiczną, robić karierę, spełniać się w społecznej aktywności, czy też odrzucić taką możliwość i skazać się na pasywność w sferze publicznej, w PRL przybrał jeszcze ostrzejszą postać. Wspomniane sowieckie wzory obejmowały bowiem nieporównanie więcej sfer działalności, w szczególności zaś upaństwowioną gospodarkę, więc nie można było uciec we względnie apolityczną w XIX wieku niszę gospodarczą. W PRL reguły rządzące gospodarką też były narzucone i nie mniej obce niż te, które zostały narzucone na sferę działalności publicznej.

Trzeci wzgląd, dla którego warto zwrócić uwagę na PRL, jest taki, że komunizm był projektem modernizacyjnym. Andrzej Walicki ma rację, dowodząc, że marksistowska rewolucja miała służyć przede wszystkim wyzwoleniu ludzkości z bezosobowej tyranii rynku, ale miała też stworzyć bardziej racjonalny, czyli efektywny system gospodarczy, zdolny przynieść masom nowoczesne dobrodziejstwa szybciej i skuteczniej. Jeszcze w latach 60. Chruszczow zapewniał, że ZSRR „dogoni i przegoni” kraje kapitalistyczne pod względem rozwoju przemysłowego. Jak wiadomo, nie wyszło.

Co najmniej od lat 70., a być może sporo wcześniej radziecki projekt modernizacyjny był anachroniczny – służył budowaniu przyszłości, która już minęła. Dodajmy jeszcze, że porządek zaprowadzany przez komunistów skierowany był przeciw poprzedniemu światu: „przeszłości ślad dłoń nasza zmiata” śpiewali w Międzynarodówce. Miał wyrugować nie tylko kapitalistyczny wyzysk, ale bardzo wiele odziedziczonych po przeszłości „kodów mentalno-kulturowych”, o których dziś mówimy. Sporo udało im się zmienić, ale wiele rzeczy zmieniło się nie tak, jak planowali, a niemało zgoła zupełnie inaczej.

Pod nazwą PRL kryje się kilka różnych rzeczy. Oficjalnie państwo o tej nazwie pojawiło się w 1952 roku, wraz z uchwaleniem nowej konstytucji (zredagowanej osobiście przez Stalina), ale zwykle rozszerza się stosowanie nazwy PRL na okres od 1948/1949 roku, od kiedy można mówić o Polsce komunistycznej, a nie tylko rządzonej przez komunistów. Rok 1956 przyjmowany jest za cezurę między okresem ideologicznej ofensywności totalitarnej, odgórnego rewolucji a okresem postępującego uwiądu ideologii, utraty rewolucyjnej dynamiki i dryfowania reżimu ku dyktaturze posttotalitarnej. Polska Gomułki i Gierka zachowuje jeszcze wiele cech Polski Bieruta, ale krok po kroku oddala się od wzorów stworzonych przez Stalina. Po przejściu pokojowej rewolucji Solidarności i stanu wojennego, PRL zmienia się jeszcze bardziej, stając się dziwnym wytworem postępującego rozkładu i połowicznych reform, na które nie ma jeszcze dobrej nazwy.

Ten „ostatni PRL”, z lat 80., jest godny uwagi jako chronologicznie najbliższy, w wielkim stopniu kształtujący pamięć o całym PRL-u, mający szczególny wpływ na postawy w następnej dekadzie, aż do dziś. To okres, w którym, odwrotnie niż w fazie rewolucyjnej, władza starała się politycznie demobilizować obywateli (bo się tej mobilizacji bała) i krok po kroku „odpuszczała” różne sfery życia społecznego. To PRL, w którym system społeczno-gospodarczy jawnie nie działa, w wysoce niezadowolający sposób wywiązuje się z podstawowych funkcji i w powszechnym już przekonaniu nie jest czynnikiem modernizacji, ale rosnącego zapóźnienia. „Socjalistyczne państwo opiekuńcze” jeszcze trwa, ale już bez efektów, zmuszając swych obywateli do szukania własnych, prywatnych sposobów radzenia sobie z codziennymi problemami.

Na trzy PRL-e w wymiarze czasowym nakładają się jeszcze dwa istniejące w wymiarze społecznym: PRL pierwotny i wtórny. PRL pierwotny to sowieckie wzory organizacji państwa, gospodarki i w ogóle życia społecz-

nego, narzucone Polsce szczególnie intensywnie za rządów Bieruta. Stalin powiedział kiedyś, że nie ma sensu narzucać Polsce komunizmu, bo byłoby to niczym siodłanie krowy. Trzymając się tej metafory, możemy powiedzieć, że potem jednak osiodłał krowę, a ponieważ siodło nie pasowało, dopasował do niego krowę, wyciosawszy ją siekierą. W okresie postalinowskim zarzucono najbardziej brutalne metody dostosowywania, ale siodło pozostało (choć nieco rozluźnione). Tkanka społeczna, której narzucono te sztywne formy, stopniowo zblizniała się, zaczęła owe formy rozpychać i rozsadzać, szukając szczelin i przestrzeni do ekspansji, otorbiając najbardziej dotkliwe fragmenty. Tak zwane udomowienie komunizmu było procesem dostosowania wzajemnego: obok ograniczonych reform reżimu postępowało oswajanie i akceptowanie tego, co jawiło się jako niezmiennie i nieuchronne. Tak właśnie ukształtował się PRL wtórny – formy i reguły życia społecznego powstałe w niezamierzony sposób w reakcji na PRL pierwotny, nierzadko wbrew niemu lub obok niego, ale zawsze z nim związane, charakterystyczne dla życia w „realnym socjalizmie”.

Wtórny PRL był nieporównanie bardziej „własny” – zrozumiały i naturalny niż ten pierwotny, dlatego też okazał się znacznie bardziej trwały. Był funkcjonalny, nierzadko patologiczny i niemało takich funkcjonalnych patologii obciąża teraz III Rzeczpospolitą. Jednak zgodnie z zadaniem tej konferencji spójrzmy na jedną z jego jasnych stron. Otóż śmiem twierdzić, że jeden z największych sukcesów III RP, jakim była eksplozja drobnej przedsiębiorczości w początku lat 90., był w dużym stopniu owocem wtórnego PRL-u. Obawy, że blisko dwa pokolenia gospodarki nakazowej wykorzeniły ducha przedsiębiorczości, tworząc pasywnego i roszczeniowego *homo sovieticus*, okazały się nieuzasadnione. Miliony Polaków dzielnie rzuciły się na fale rynku, poczynając od handlu na łózkach polowych i w „szczękach” – składanym stalowym straganie, który powinien stanąć na głównym placu któregoś z naszych miast jako pomnik tej biznesowej rewolucji.

Ta eksplozja przedsiębiorczości była następstwem ekspansji różnorodnych form zaradności, którą liczni obserwatorzy zanotowali w latach 80. Niewydolność schyłkowego PRL-u, przede wszystkim jego niewydolność gospodarcza, pobudziła u obywateli ducha prywatnej zaradności, bez którego miliony potrzeb i ambicji pozostałoby niespełnionych. Łącznikiem między dawnymi a nowymi laty byli tak zwani *prywaciarze*, czyli prywatni, drobni przedsiębiorcy, tolerowani w PRL w ściśle ograniczonych

niszach, którzy w latach 80. wykorzystywali rosnące szczeliny w systemie, ale nowe formy zaradności praktykowano we wszystkich grupach społecznych. Bez uwzględnienia tego faktu nie zrozumiemy, skąd się wzięły miliony nowych przedsiębiorców w Polsce lat 90. PPUH – przedsiębiorstwa produkcyjno-usługowo-handlowe, czyli wehikuły, którymi Polacy wjechali na nieznane terytorium kapitalizmu, złożono z elementów przygotowanych w dużej mierze w latach 80. niczym popularne wówczas samochody-składaki. Pojazdy te (PPHU), jak wiadomo, miały swoje ograniczenia i nie zawsze sprawdzały się w dalszej podróży. Natomiast wysoka ocena nadawana cnotie zaradności, w tym duma z własnej zaradności, wydaje się trwałym i cennym dziedzictwem zmagającym z niedostatkami „socjalistycznego państwa dobrobytu”. Ma ono i mroczne strony: wątpliwe, a niekiedy jawnie amoralne zasady, ufundowaną na powszechnej nieufności niezdolność do budowy złożonych organizacji, reguły działania dalekie od anglosaskiego proceduralizmu. Trawestując jednak znany cytat z filmu Barei: „te minusy nie powinny przesłonić nam plusów”. Po stronie plusów zapiszmy też, choć może to wzbudzić kontrowersje, utratę wiary w państwo opiekuńcze. Dotkliwe doświadczenie rozkładu socjalistycznego *welfare state* w latach 80. uwolniło Polaków z więzów, w których zdają się nadal tkwić Francuzi i Niemcy.

Drugi przykład pozytywnego dziedzictwa PRL pochodzi w większym stopniu od PRL pierwotnego. Chodzi o upowszechnienie wykształcenia podstawowego i średniego oraz wiarę w przydatność i nobilitujące skutki wykształcenia wyższego. Zjawiska te powstały gdzieś na styku rewolucyjnego mitu wyzwolenia ciemzonego ludu, projektu modernizacyjnego, praktycznych potrzeb rosnącego przemysłu i biurokracji oraz istniejącego już wcześniej szacunku dla wykształcenia. Choć trudno w PRL mówić o meritokracji, to awans społeczny poprzez wykształcenie okazał się awansem najlepszym – ogólnie cenionym i najbardziej trwałym, zwłaszcza w wymiarze międzypokoleniowym. Inne ścieżki awansu były może szybsze, zwłaszcza za pomocą partyjnej windy, ale stabilność nowej pozycji osiągniętej tą drogą była dużo bardziej wątpliwa. Awans poprzez wykształcenie był zarazem masowy i trwały. Nie znaczy to, że zgadzam się z Mieczysławem Rakowskim, że gdyby nie komunizm, on nadal pasałby krowy. Przekonanie takie podziela wielu ludzi z licznej rzeszy pierwszego pokolenia, które wyszło ze wsi i służyło za niebłahy składnik legitymizacji reżimu. Myślę, że Rakowski i jemu podobni pracownicy, inteligentni i ambitni chłopscy synowie wspinaliby się

po społecznej drabinie także pod innym reżimem. Niemniej jednak, tak się złożyło, że ten masowy awans dokonał się pod rządami PZPR.

Podobnie jak w przypadku rewolucji przedsiębiorczości, dowodem na pozytywne dziedzictwo PRL w dziedzinie wykształcenia jest rewolucja edukacyjna, która dokonała się w latach 90. Przypomnijmy, że od 1989 roku liczba studentów wzrosła ponad czterokrotnie, a odsetek maturzystów wybierających dalszą naukę wzrósł z kilkunastu procent do ponad połowy. W świecie, w którym wiedza jest bodaj najważniejszym czynnikiem rozwoju, znaczenie tych zmian doprawdy trudno jest przecenić. Dodajmy, że większość studentów w III RP płaci: płacą wszyscy studenci uczelni prywatnych i blisko połowa na uczelniach państwowych (które komercjalizowały się chyłkiem, zachowując państwowe dotacje). Czesne jest zróżnicowane i w porównaniu z opłatami za podobnej jakości studia w innych krajach niewygórowane, ale w warunkach polskich stanowi całkiem pokaźne obciążenie domowych budżetów. Fundamentem rewolucji edukacyjnej, być może najbardziej udanej z szeregu rewolucyjnych przemian w Polsce od 1989 roku, jest zatem silne i masowe przekonanie, że wykształcenie to coś ważnego, coś w co warto inwestować swe ograniczone zasoby. Przekonanie to nie wzięło się znikąd. Choć wzrost liczby studentów nie nastąpił tak szybko, jak w przypadku liczby przedsiębiorców i pewien wpływ na niego miały czynniki właściwe już II Rzeczypospolitej (zwłaszcza wyraźnie wyższe ryzyko bezrobocia wśród ludzi o niższym wykształceniu), to jednak bez zmian społecznych i doświadczeń wyniesionych z PRL przekonanie to byłoby na pewno rzadsze.

Trzeci przykład kulturowo-mentalnego spadku po PRL jest dużo bardziej ambiwalentny. Organizatorzy naszego spotkania spytali w szczególności o „potencjał adaptacyjności, elastyczności i mobilności”. Można powiedzieć, że cała historia wtórnego PRL to wielka historia „adaptacyjności i elastyczności”, szukania niekonwencjonalnych rozwiązań, wychodzenia poza narzucone ramy. Jej ważnym składnikiem była dwoistość, specyficzna schizofrenia życia, w którym próbowano godzić wymogi PRL pierwotnego z własnym interesem i przekonaniami, z odziedziczonymi po przodkach wartościami i instytucjami. Oznaczało to też dwójmyślenie, świeczkę dla jednego i ogarek dla drugiego, praktyki ignorowania lub zamazywania sprzeczności oraz rozwiniętą nad podziw sztukę uniku. Powstały też społeczne, zbiorowe formy takich zachowań, w tym dwoiste organizacje, służące z jednej strony

rzządzającym, z drugiej zaś interesom swych członków – zwykłych ludzi, bynajmniej niemarzących o tym, by w wolnych chwilach budować socjalizm. Był to rodzaj milczącej umowy społecznej, zawiązanej za czasów Gomułki, który dawał tysiącom ludzi pole do półautonomicznej działalności społecznej. W zasadzie wszelkie organizacje masowe miały taki charakter: ZBoWiD, Liga Kobiet, Ochotnicza Straż Pożarna i ZHP – by wymienić te największe, w pewnym sensie nawet sama PZPR. Wszystkie te organizacje były – w mniejszym lub większym stopniu (by nie urazić harcerzy i strażaków postawionych tu nazbyt blisko PZPR) – dwoistymi szkołami „adaptacyjności i elastyczności” indywidualnej i organizacyjnej. Wiedza, umiejętności i „kody mentalne” z nich wyniesione są równie dwoiste: pomagają w zbiorowym działaniu, ale i zagrażają mu.

*prof. dr hab. Janusz Czapiński**

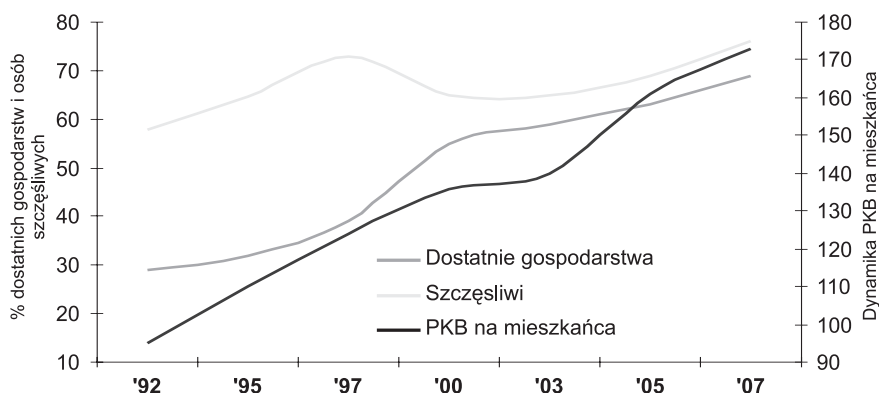
Molekularny rozwój Polski

Kierunek, kształt i dynamika zmiany społecznej zależą od zasobów, głównie od czterech rodzajów kapitału: ludzkiego, społecznego, fizycznego i finansowego. Postawy i wybory indywidualne mają decydujący wpływ na dwa pierwsze rodzaje kapitału. Pytanie zasadnicze brzmi, w jakim stopniu proces transformacji i jego rezultaty w wymiarze jakości życia przypisać można rozwojowi zasobów zależnych od mentalności Polaków. Zanim jednak spróbuję odpowiedzieć na to pytanie, zobaczmy jak wyglądała zmiana jakości życia w III RP w zakresie kilku wybranych wskaźników oraz jak zmieniał się w minionych latach kapitał ludzki i społeczny.

Po zmianie systemu w 1989 roku zaczął się gwałtownie obniżać materialny poziom życia większości obywateli, pojawiło się nieznane poprzednio zjawisko bezrobocia i zagrożenia utratą pracy, topniały różnego rodzaju świadczenia społeczne (wyjątek stanowiły emerytury), rosła osobista odpowiedzialność za własny los. Pogarszaniu się obiektywnej jakości życia towarzyszył spadek subiektywnego dobrostanu – rósł odsetek osób niezadowolonych, malało zadowolenie z życia, nasilały się symptomy depresji. Odwrócenie tego negatywnego trendu nastąpiło stosunkowo szybko. Już po 1992 roku widoczna stawała się poprawa większości wskaźników dobrostanu psychicznego, a także bardziej obiektywnych, ekonomicznych wskaźników jakości życia (patrz wykres 1).

*Wydział Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Wykres 1. Odsetek gospodarstw domowych, w których stałe dochody wystarczają na zaspokojenie bieżących potrzeb, procent osób bardzo i dość szczęśliwych oraz dynamika PKB na mieszkańca (1990–100) w latach 1992–2007



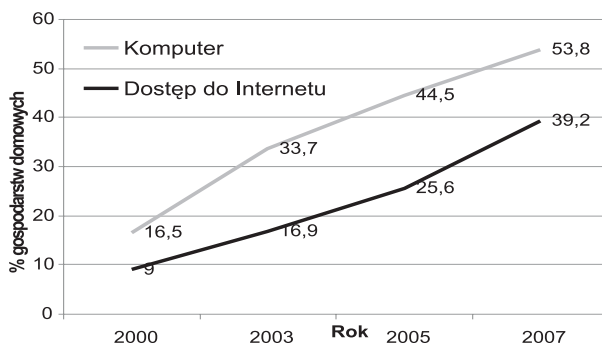
Źródło: Diagnoza Społeczna i Rocznik Statystyczny GUS.

Ekonomiczny i – szerzej – cywilizacyjny awans Polaków był w dużej mierze zasługą reform systemowych, które uruchomiły zasoby finansowe (prywatyzacja i napływ kapitału zagranicznego) i zmieniły sposób funkcjonowania podmiotów gospodarczych. Ważny także, czy nawet ważniejszy był szybki rozwój kapitału ludzkiego. Ruszyła edukacja i Polacy zaczęli zdrowieć.

Liczba studentów wzrosła w minionych 18 latach ponad czterokrotnie i rośnie nadal, pomimo niżu demograficznego 19-latków. Jest to możliwe dzięki temu, że coraz większy odsetek młodzieży kończy szkołę maturalną i otrzymuje przepustkę do wyższych uczelni. Pod względem wskaźnika skolaryzacji na poziomie wyższym (obecnie znacznie ponad 50%) przegoniliśmy już niektóre rozwinięte kraje europejskie. O ekonomicznej zasadności tej strategii adaptacyjnej świadczy stopa zwrotu z inwestowania w studia. W Polsce jest ona zdecydowanie wyższa od średniej Unii Europejskiej – 20% do 10%. Nie państwo jednak doceniło inwestowanie w wykształcenie, lecz sami obywatele. Dzisiaj już 2/3 (1 milion 300 tysięcy studentów) płaci z własnej kieszeni czesne. Cenione jest zwłaszcza wykształcenie wyższe magisterskie, które daje stopę zwrotu pięciokrotnie wyższą od licencjatu. Ponad 60% rodziców chciałoby w 2007 roku dla swoich dzieci takiego właśnie wykształcenia, wobec tylko 11% wskazujących jako pożądaną szkołę wyższą zawodową (licencjat). W sumie aż 73% rodziców widzi swoje dzieci na studiach. Ponieważ jednak nie wszystkich stać jeszcze na płacenie czesnego,

odsetek podejmujących naukę w szkołach wyższych jest o kilkanaście procent mniejszy, a więcej niż zamierza, zwłaszcza ze środowisk uboższych i z niższym kapitałem kulturowym, podejmuje studia licencjackie. Niezależnie jednak od coraz lepszego formalnego wykształcenia rośnie także ogólna zaradność Polaków i ich umiejętności w pomnażaniu dochodów. Proporcja osób zaradnych, które w wymiarze zachowań ekonomicznych potrafiły się odnaleźć w nowych warunkach (tak zwanych lisów) podwoiła się w okresie zaledwie 10 lat, przewyższając już w 1996 roku odsetek osób niezaradnych (tak zwanych jeży) (Czapiński i Wojciszke, 1997). Istotnym wymiarem inwestycji w kapitał ludzki są nowoczesne technologie komunikacyjne. Choć Polska należy w Europie do krajów najbardziej opóźnionych w zakresie ICT, dynamika odrabiania tego zapóźnienia należy do największych wśród krajów OECD. Średnioroczny wzrost hostów internetowych sytuuje Polskę (.pl) na drugim miejscu wśród krajów OECD (po Meksyku – .mx). W okresie ostatnich 7 lat potroiła się liczba gospodarstw domowych wyposażonych w komputer i czterokrotnie wzrósł odsetek gospodarstw domowych podłączonych do Internetu (patrz wykres 2).

Wykres 2. Rozpowszechnienie komputerów osobistych i podłączenia do Internetu w gospodarstwach domowych w Polsce w latach 2000–2007

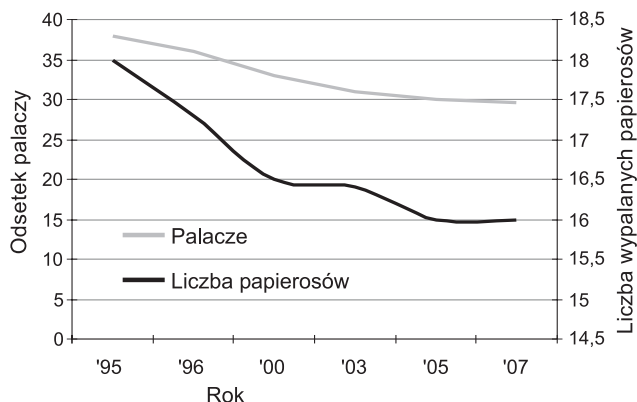


Źródło: Diagnoza Społeczna.

Od początku lat 90. zdrowie jest konsekwentnie najczęściej (64%) wymieniane jako główny warunek udanego, szczęśliwego życia. O zdrowie również zaczęliśmy dbać, inwestując coraz większe środki, zwłaszcza z prywatnych portfeli. W roku 2007 już 45% pacjentów płaciło za niektóre usługi medyczne z własnej kieszeni. W ciągu 15 minionych lat o ponad 1/5 wzrósł odsetek Polaków zadowolonych ze swojego zdrowia. Ale oprócz

intensywniejszego i coraz droższego leczenia zaczęliśmy także zmieniać styl życia na bardziej prozdrowotny. Spadła liczba palaczy i wypalanych papierosów (patrz wykres 3), zmieniły się nawyki żywieniowe. Dzięki temu znacznie wydłużyła się przeciętna długość życia.

Wykres 3. *Odsetek osób palących papierosy i średnia liczba wypalanych dziennie papierosów w latach 1995–2007*



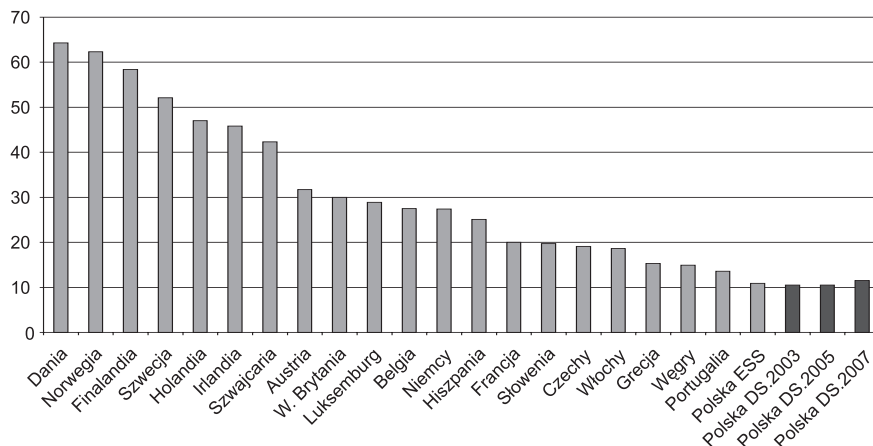
Źródło: Diagnoza Społeczna.

Tak więc Polacy zainwestowali w siebie. Dzięki temu dają sobie coraz lepiej radę w nowej, wolnorynkowej rzeczywistości. A co z drugim, zależnym od czynników psychologicznych zasobem – kapitałem społecznym, który większość ekonomistów, politologów i socjologów uważa za istotny warunek jakości życia? Niestety, w tym zakresie nic się na lepsze nie zmieniło. Pozostaliśmy mentalnie na poziomie PRL. W dalszym ciągu nie ufamy sobie (patrz wykres 4), nie dbamy o dobro wspólne, nie potrafimy współpracować, nie uczestniczymy w życiu publicznym, nie udzielamy się społecznie, nie zrzeszamy się w dobrowolnych organizacjach (patrz wykres 5), pozostaliśmy najmniej tolerancyjni (patrz wykres 6) i najmniej obywatelscy (patrz wykres 7) w Europie. Poziom kapitału społecznego, mierzony odsetkiem osób ufających innym ludziom, nie zmienił się od początku lat 90. (patrz wykres 8).

Czy oznacza to, że w Polsce działają odmienne niż w innych krajach zasady rozwoju, że poza materialnym i finansowym liczy się tylko kapitał ludzki? Dane z Diagnozy Społecznej dowodzą, że kapitał społeczny wiąże się u nas także z ekonomicznym wymiarem jakości życia. Związek ten wydaje się dużo silniejszy na poziomie wspólnotowym niż indywidualnym, co może

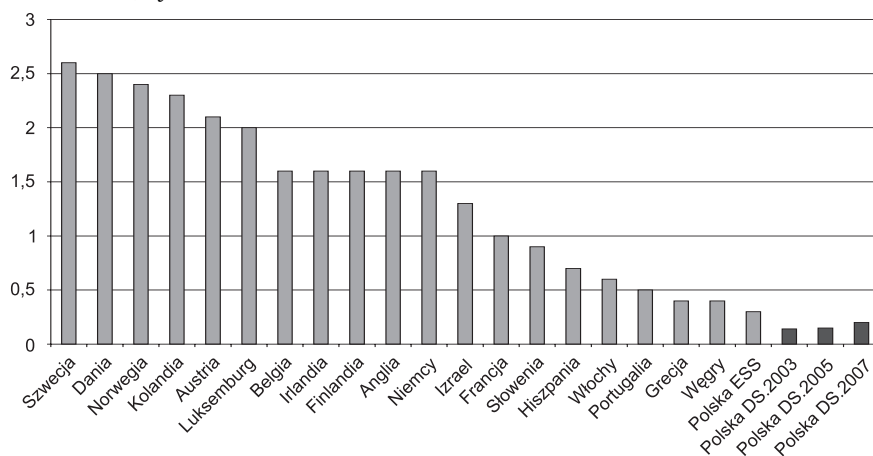
potwierdzać te teorie kapitału społecznego, które traktują go jako zasób społeczności (Coleman, Putnam, 2000), a nie jednostek (Bourdieu, 1986).

Wykres 4. Odsetek osób w wieku 18 lat i więcej ufających innym ludziom



Źródło: dla wszystkich krajów, włącznie z Polską ESS – European Social Survey 2004 (odsetek odpowiedzi 7–10 na skali: 0 – „ostrożności nigdy za wiele”, 10 – „większości ludzi można ufać”), dla Polski DS – Diagnoza Społeczna z lat 2003–2007 (odsetek odpowiedzi „większości ludzi można ufać” na skali: „większości ludzi można ufać”, „ostrożności nigdy za wiele”, „trudno powiedzieć”); średnia dla wszystkich krajów w ESS – 32%

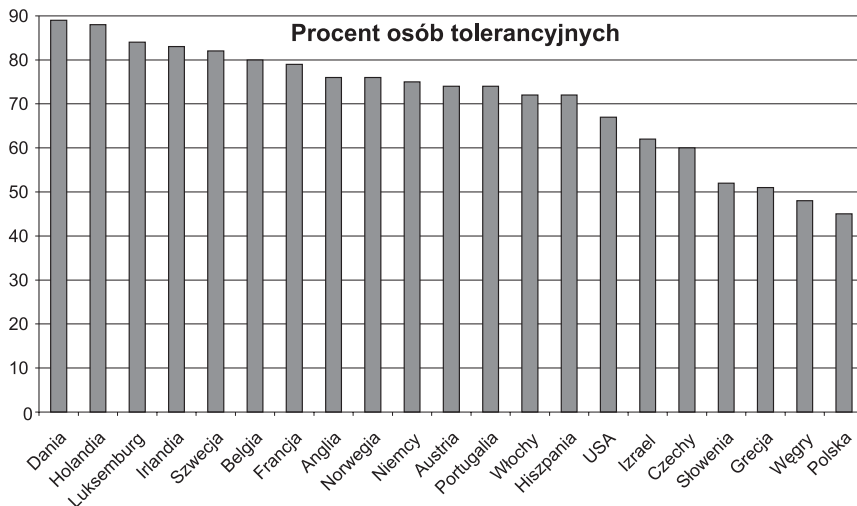
Wykres 5. Przeciętna liczba organizacji, do których należą respondenci w wieku 18 lat i więcej



Źródło: dla wszystkich krajów, włącznie z Polską ESS – European Social Survey 2002, dla Polski DS – Diagnoza Społeczna z lat 2003–2007

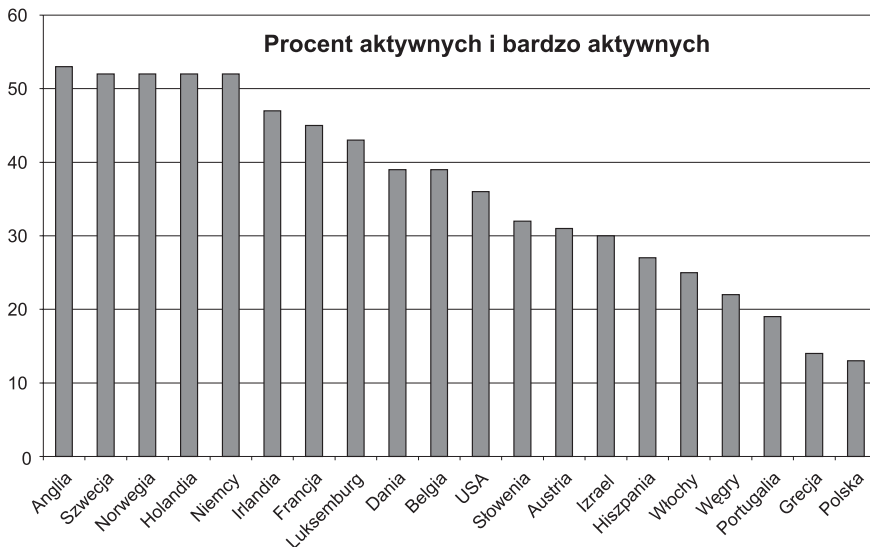
Uwaga: Indeks obejmuje aktywność w 12 typach dobrowolnych organizacji

Wykres 6. Tolerancja dla homoseksualizmu („Lesbijki i geje powinni móc żyć tak, jak chcą”)



Źródło: Center for Democracy and Civil Society (<http://www.uscidsurvey.org/>) raport z 20 września 2007 r.

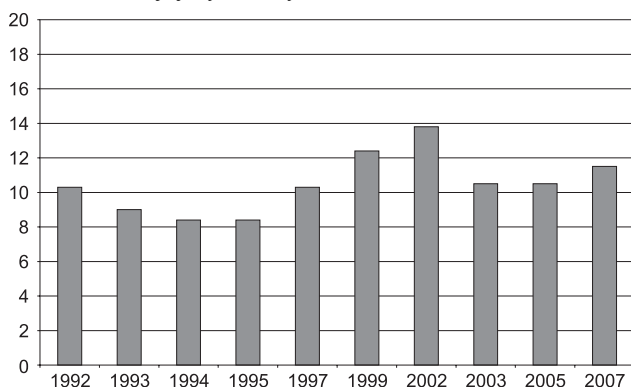
Wykres 7. Indeks aktywności obywatelskiej.



Źródło: Center for Democracy and Civil Society (<http://www.uscidsurvey.org/>) raport z 20 września 2007 r.

Uwaga: Indeks obejmuje aktywność w 12 typach dobrowolnych organizacji

Wykres 8. *Odsetek osób ufających innym ludziom w Polsce w latach 1992–2007*



Źródło danych: średnia UE-ESS – European Social Survey 2004; Polska dla lat 1992–2002 – Polski Generalny Sondaż Społeczny, dla lat 2003–2007 – Diagnoza Społeczna, opracowanie własne.

Polska od początku transformacji do dziś rozwija się niemal wyłącznie w modelu molekularnym. Obcy jest nam rozwój wspólnotowy, dla którego istotnym warunkiem jest odpowiednio wysoki poziom kapitału społecznego. Obrazuje to przepaść między tempem poprawy warunków życia gospodarstw domowych, ich wyposażenia w różnego rodzaju trwałe dobra, a tempem rozwoju infrastruktury, na przykład drogowej. Żyjemy w kraju coraz bardziej efektywnych jednostek i niezmiennie nieefektywnej wspólnoty. Dobro wspólne, mierzone choćby wielkością budżetu państwa, rośnie tylko dlatego, że bogacą się ci, którzy mają obowiązek odprowadzania znacznej części swoich dochodów do tej wspólnotowej skarbonki. Niewielki jednak wynika z tego pożytek dla inwestycji publicznych. To, że znaczne środki finansowe płynące z Unii Europejskiej niwelują dziś w pewnym stopniu tę asymetrię, nie powinno uspokajać polityków, bo wkrótce, gdy zasilanie zewnętrzne opadnie, znajdziemy się bliżej pozycji Grecji, która ma porównywalny z Polską kapitał społeczny, niż Irlandii ze znacznie wyższym od przeciętnego dla Unii kapitałem społecznym. Problem polega na tym, że w kapitał ludzki inwestować można indywidualnie, co Polacy uczynili i czynią, natomiast w kapitał społeczny indywidualnie inwestować się nie da. Po pierwsze, jak twierdzi Putnam, jest on zależny od rozciągniętego w czasie procesu historycznego formującego wspólnotę obywatelską, a po drugie, w tym historycznym procesie ogromną rolę odgrywa to, co dzieje się w przestrzeni publicznej: w polityce, szkole, w samorządach, na ulicy, w urzędach, a co w dużej mierze zależy od elit, zwłaszcza od polityków. Trudno znaleźć

obecnie przykłady politycznej i – ogólniej – instytucjonalnej zachęty dla Polaków, poczynając od systemu oświaty, a na parlamencie kończąc, do większego wzajemnego zaufania i większej gotowości do współpracy. Sam upływ czasu nie wystarczy. Doskonale wyposażone domy bez łączących je dróg mogą, mówiąc symbolicznie, zmienić się w skansen utraconych szans.

Literatura

Bourdieu P. (1986). The forms of capital. (w:) J. G. Richardson (red.), *Handbook of theory and research for the sociology of education* (241–258). Westport, CT: Greenwood Press.

Coleman J.S. (1988). Social capital in the creation of human capital. *American Journal of Sociology*, 94, 95–120.

Czapiński J. (2001b). Makropsychologia, czyli psychologia zmiany społecznej, (w:) M. Lewicka i J. Grzelak (red.), *Jednostka i społeczeństwo*. Gdańsk: Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne.

Czapiński, J., Wojciszke, B. (1997). Pogoń za lisem. Społeczne zróżnicowanie i struktura postaw wobec prywatyzacji. (w:) J. Gardawski, L. Gilejko (red.), *Między nadzieją i lękiem. Społeczne efekty prywatyzacji* (s. 37–76). Warszawa: Katedra Socjologii, Szkoła Główna Handlowa

Putnam R. D. (2000). *Bowling Alone: The Collapse and Revival of American Community*. New York: Simon & Schuster.

*dr Tadeusz Szawiel**

Kody kulturowo-mentalne po 1989 roku – czynniki i kierunki zmian

Kody kulturowo-mentalne to złożone całości, które nie istnieją samoistnie, są częścią szerszych całości, które można nazwać formami życia. Takimi formami są putnamowska społeczność obywatelska czy weberska społeczność protestancka, ożywiana pewną formą etyki. Podstawą kulturowo-mentalnych konstruktów są wartości. Ale nie istnieje bezpośredni, jednoznaczny związek między wartościami a modernizacją i rozwojem. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat sukcesy modernizacyjne osiągnęły kraje o bardzo odmiennym dziedzictwie kulturowym i historycznym: Japonia, Tajwan, Korea Południowa, Chiny, katolicka Irlandia, a ostatnio na szybką ścieżkę modernizacji i rozwoju wkroczyły Indie. Są to kraje o różnym (jak Japonia i Chiny) albo diametralnie różnym (jak Irlandia i Indie) dziedzictwie kulturowym. Sfera wartości i kultury nie przesądza jednak o szansach modernizacyjnych danego kraju. Liczą się rozwiązania instytucjonalne (w szerokim, socjologicznym rozumieniu instytucji, które obejmuje także normy, w tym te nieformalne), uruchomienie potencjału, który tkwi w każdej kulturze. Wartości to nie instrumenty, które można w celowy i racjonalny sposób użyć do osiągnięcia jakichś celów. Wartości otwierają pewien horyzont możliwości, który może, ale nie musi być wykorzystany.

W Polsce, po 1989 roku można odnotować następujące przesunięcia w wartościach i nastawieniach mentalnych:

*Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego

- 1) przesunięcie ku wartościom konserwatywnym,
- 2) upodmiotowienie,
- 3) zaangażowanie w społeczeństwo obywatelskie,
- 4) wzór (misja) przywództwa,
- 5) wolność.

Przesunięcie ku wartościom konserwatywnym

W Polsce, w drugiej połowie lat 90., nastąpiło przesunięcie w wartościach, które nazwać można „przesunięciem ku wartościom konserwatywnym”. Terminem konserwatyzm można posługiwać się w wielu znaczeniach. Jednak, by stwierdzić zmiany, trzeba nadać mu konkretne znaczenie. Do badań wybrano dziesięć wartości konserwatywnych, opierając się na klasycznym modelu ideologii konserwatywnej, zrekonstruowanej przez historyka idei, Roberta Nisbeta¹.

Pytanie brzmi: w jakim stopniu Polacy przejawiają klasycznie konserwatywny profil wartości? Typowo konserwatywne przekonania – własność prywatna jest święta, władze lokalne powinny być silne, Kościół stanowi jeden z filarów społeczeństwa, a wolności nie ma bez poszanowania porządku – akceptuje od 75% do ponad 90% Polaków². Wyjątkiem jest niski poziom akceptacji (36%) przekonania, że dążenie do równości społecznej przynosi więcej szkód niż pożytku (Polacy są przywiązani do egalitaryzmu) oraz wyraźna akceptacja przekonania, że ludzie są z natury dobrzy (68%), czemu akurat konserwatysta by zaprzeczył.

Co najmniej sześć z dziesięciu³ klasycznie konserwatywnych przekonań

¹ Robert Nisbet, *Conservatism: Dream and Reality*, Stony Stradford: Open University Press 1986.

² Badania Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego przeprowadzone w październiku 1995 roku i listopadzie 2001 roku na reprezentatywnych próbach losowych dorosłych mieszkańców Polski.

³ 1) Gdy dobro rodziny nie da się pogodzić z dobrem jednostki, ważniejsze jest dobro rodziny; 2) W konflikcie między interesem państwa a dobrem rodziny, ważniejsze jest dobro rodziny; 3) W wychowaniu dzieci ważniejsze jest doświadczenie pokoleń niż wiedza zawarta w książkach; 4) Dzieci powinny mieć prawo do skarżenia rodziców przed sądem (choćby za bicie); 5) Nie ma wolności bez poszanowania porządku; 6) Ludzie są z natury dobrzy; 7) Własność prywatna jest święta; 8) Dążenie do równości społecznej przynosi więcej szkód niż pożytku; 9) Kościół jest jednym z filarów społeczeństwa; 10) Władze lokalne powinny być silne i mieć jak największe uprawnienia. (na 4 i 6 też konserwatysta odpowiada negatywnie).

akceptowało w 1995 roku 81%, a sześć lat później 84% dorosłych Polaków. Bardziej konserwatywni stali się młodzi ludzie (18-24 lata): w 1995 roku 72% akceptowało sześć lub więcej konserwatywnych przekonań, w 2001 roku już 79%. W jeszcze większym stopniu konserwatywne stały się osoby z wyższym wykształceniem: w 1995 roku 74%, a w 2001 aż 85% akceptowało co najmniej sześć z dziesięciu przekonań (tabela 3). Zatem w okresie 1995-2001 dwie, w pewnym sensie strategiczne grupy społeczne, młodzież i elity intelektualne stały się znacząco bardziej konserwatywne, co – jak się zdaje – stoi w sprzeczności z potocznymi intuicjami.

Jak to wytłumaczyć? Może to być reakcja na zmiany. W sytuacji, kiedy wiele wokół i w naszym funkcjonowaniu się zmienia, trzeba się czegoś trzymać, rośnie potrzeba stałych punktów orientacyjnych. W wypadku osób z wyższym wykształceniem istotny może być wpływ środowiska pracy, gdzie wraz z rozrastającą się gospodarką rynkową coraz bardziej zaczynają się liczyć takie osobiste zalety, jak: solidność, przewidywalność, poczucie odpowiedzialności, zdolność do podporządkowania się normom. Ale osobiście sądzę, iż ważniejsze, w skali masowej, jest jakiegoś rodzaju przeczucie, że różnorodne libertariańskie orientacje w kulturze⁴ nie są w stanie zapewnić trwałej podstawy życia, że zawodzą jako podstawa do budowania w długim okresie.

Upodmiotowienie

Upodmiotowienie to możliwość wzięcia spraw w swoje ręce i wykorzystanie tej możliwości indywidualnie, zbiorowo lub poprzez instytucje. Indywidualnie, bo w wielu obszarach środowisko pracy zmieniło się na sensowne i znaczące, premiuje własną inicjatywę, gdzie wyraźny stał się związek między wyborami (lub ich brakiem) a kształtem życia jednostki i jej przyszłością. Wielu Polaków stało się w istotnym sensie „kowalami własnego losu”. Z kolei miliony przeszły przez doświadczenie samodzielnej działalności gospodarczej, założenia własnej firmy czy rodzinnego biznesu (ponad 2 miliony) i wytrwania w tym doświadczeniu. Na własny rachunek uczyli się ponoszenia odpowiedzialności, także za innych, planowania, gotowości do ponoszenia ryzyka i szacowania go, uczyli się doceniać znaczenie osobistej inicjatywy, kreatywności, a także osobistych cnót.

⁴ Takie orientacje, które akcentują autonomię jednostki, wartość autoekspresji i poszerzania sfer maksymalnie wolnego wyboru jednostki.

Upodmiotowienie poprzez instytucje najbardziej widoczne jest na przykładzie samorządów lokalnych różnych szczebli, ale zwłaszcza na poziomie gmin i miast. Polska jest krajem społeczności lokalnych: 37% Polaków mieszka na wsi, a kolejne 33% w miastach do 100 tysięcy mieszkańców. W wyborach samorządowych w 2002 roku spośród ponad 200 tysięcy kandydatów wybrano ogółem 38 tysięcy radnych, ale w tym aż 32 tysiące w gminach poniżej 20 tysięcy mieszkańców. Oczywiście, jakość samorządów gminnych jest zróżnicowana, ale wiele z nich, dzięki inicjatywie, pomysłowości i kompetencji, zmieniło na lepsze jakość życia społeczności lokalnych. Owo doświadczenie, niejako w zasięgu ręki, uczy, że można wiele zrobić na swój własny, niepowtarzalny sposób i na własny rachunek. Od końca lat 90. (1998) około połowa Polaków dobrze ocenia działanie lokalnych samorządów (dane CBOS), co może zaskakiwać, jeżeli weźmiemy pod uwagę poziom niezadowolenia i skrajnie negatywne oceny polityki i polityków na szczeblu krajowym (w marcu 2006 roku tylko co czwarty Polak dobrze ocenił działalność Sejmu).

Zaangażowanie w społeczeństwo obywatelskie

W Polsce popularna jest teza o słabości społeczeństwa obywatelskiego. W konsekwencji nie docenia się jego roli po 1989 roku. Rzeczywiście, jeżeli bierzemy pod uwagę stopień uczestnictwa w dobrowolnych organizacjach, to w Polsce jest on jednym z najniższych w Europie⁵. Jednak ważny jest nie tylko globalny poziom czy skala zaangażowania. Ważna jest obecność w kluczowych środowiskach, dynamika i jakość tej obecności. Badania młodzieży (15–24 lata), przeprowadzone jesienią 2001 roku przez Instytut Badań nad Podstawami Demokracji, pokazały, że co trzeci (37%) młody człowiek był członkiem co najmniej jednej dobrowolnej organizacji, a co dziesiąty członkiem organizacji przykościelnej lub religijnej. To jest właśnie środowisko, w którym uczymy się słuchać innych, współdziałać, nawiązywać kontakty, utrzymywać sieci komunikacji. I czynić to wszystko w systematyczny sposób, kreując pewien porządek. W Polsce każdego roku powstaje kilka tysięcy dobrowolnych organizacji, a to znaczy, że co roku przybywa co najmniej kilkanaście tysięcy społecznych liderów, jeżeli wziąć pod uwagę jedynie formalne wymogi związane z rejestracją i funkcjonowaniem nowej organizacji.

⁵ W 1999 roku do co najmniej jednej dobrowolnej organizacji należało w Polsce 26% dorosłych osób, na Węgrzech 29%, w Hiszpanii 31%, w zachodniej części Niemiec 52% (źródło: European Values Study 1999).

Dobrowolne organizacje obecne są także w małych ośrodkach. W badanych czterech małych miastach (około 40 tysięcy mieszkańców), położonych w różnych regionach kraju, udało się zidentyfikować obecność i różnego stopnia aktywność od stu do stukilkudziesięciu dobrowolnych organizacji, a jeden z badaczy w 10-tysięcznym miasteczku doliczył się co najmniej dwudziestu paru organizacji. Seymour Martin Lipset, klasyk amerykańskiej socjologii i politologii, zwrócił uwagę na pewną szczególną cechę dobrowolnych stowarzyszeń. Uczą one zachowań innowacyjnych i sprzyjają takim zachowaniom.

Wzór (misja) przywództwa

W pewnym sensie polskim kodem mentalnym można nazwać przywiązanie do swoistego przywództwa, które daleko wykracza poza bieżącą politykę, wyznaczając szersze perspektywy. „Solidarność” nie bała się być przywódcą nie tylko w kraju i na rzecz jego spraw. Nie bała się przywódczej roli w imieniu Polski. 8 września 1981 roku, w czwartym dniu I tury I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” uchwalono słynne „Pośłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”. W „Pośłaniu” kluczowe sformułowanie brzmiało: *Popieramy tych z was, którzy zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy.* I „Solidarność” podawała siebie samą za przykład: *Jako pierwszy niezależny związek zawodowy w naszej powojennej historii głęboko czujemy wspólnotę naszych losów.* Polska stała się prekursorem przemian przed i po 1989 roku. Jesienią 1988 roku i wiosną 1989 Polska wskazywała kierunek dla wszystkich krajów bloku wschodniego. Podobnie z przystąpieniem do NATO i Unii Europejskiej. Termin „przywódcza rola” nie jest może do końca trafny, bo chodzi o wzór i inspirację. Realizacją takiego wzoru było zaangażowanie Polaków w Pomarańczową Rewolucję na Ukrainie w grudniu 2004 roku. Różnica w reakcji między Polakami, którzy entuzjastycznie zaangażowali się, a powściągliwością kluczowych krajów Unii była wówczas wyraźna. Trudno powiedzieć, jakie są źródła motywacji tej przywódczej misji. Być może odległe historyczne tradycje odpowiedzialności za cały region Europy Wschodniej? Być może jakimś wzorem był Jan Paweł II, który natychmiast po wyborze stał się niekwestionowanym liderem, pewnym swoich racji i działań, które podejmował. Tej przywódczej roli nie da się sprowadzić do inicjatyw konkretnej jednostki, czy nawet wielu jednostek, konkretnej partii czy rządu. Chodzi raczej o ideę (czy misję) przywództwa, która jest czymś szerszym i aktualizowanym przez różne podmioty i instytucje.

Wolność

Polacy patrzą na demokrację przede wszystkim przez pryzmat wolności. W swobodnych odpowiedziach na pytanie o dobre strony demokracji trzy najczęściej wymieniane przez respondentów cechy to: wolność słowa (każdy może wyrazić to, co myśli), wolność polityczna (wolne wybory, pluralizm polityczny) i wolność osobista (swobody obywatelskie)⁶. Znajduje to potwierdzenie w zachowaniach. Szerokie poparcie Polaków dla Pomarańczowej Rewolucji na Ukrainie zimą 2004 roku, połączone z osobistym zaangażowaniem wielu, przekonują, że sprawa wolności to misja Polaków.

⁶ CBOS: Blaski i cienie demokracji (komunikat z badań BS/57/2006), kwiecień 2006.

*Zbigniew Nosowski**

Modernizacja potrzebuje religii – i nawzajem

Zachęcony zaproszeniem dr. Jana Szomburga – który podkreślał, że nie mamy dziś analizować słabości, przeszkód i trudności, lecz szukać silnych stron, odnajdywać ukryty potencjał kreatywności i innowacyjności, potencjał adaptacyjności i duchowości – nie mam zamiaru ani stawiać diagnozy polskiej religijności, czy zwłaszcza Kościoła w Polsce, ani analizować tkwiących w religii (naprawdę lub tylko jakoby) tendencji antymodernizacyjnych. Mam przecież pokazać szanse...

Moja główna teza brzmi zatem, że modernizacja potrzebuje religii i nawzajem – religia potrzebuje (mądrej) modernizacji. Dla wielu nie jest to jednak teza łatwa do przyjęcia, wymaga bowiem, aby modernizatorzy zrozumieli potrzebę religii, a ludzie wierzący zrozumieli potrzebę modernizacji.

Skrajności najgłośniejsze

Od kilkunastu lat Polska przechodzi proces szybkiej modernizacji społecznej, gospodarczej i kulturowej. Obecnie z wielu powodów proces ten powinien nabrać przyspieszenia. Rodzą się więc pytania o zależność między religią a modernizacją. Czy stosunkowo wysoka religijność polskiego społeczeństwa jest przeszkodą dla modernizacji? Czy, z drugiej strony, modernizacja zagraża religii?

*Redaktor Naczelny miesięcznika „Więź”.

Na takie pytania padają w naszym kraju różne odpowiedzi. Na jednym krańcu znaleźć można radykalnie laickich zwolenników tezy modernizacyjnej. Uważają oni, że motorem nakręcającym rozwój gospodarczy jest konsumpcjonizm, zatem religia – wzywając do samoograniczenia – blokuje postęp. W ogóle zresztą, ich zdaniem wiara w Boga staje się stopniowo zbędna w coraz bardziej racjonalnym świecie i w przyszłości (raczej bliższej niż dalszej) jest ona skazana na wymarcie. Dla tak myślących ludzi im mniej religii w życiu publicznym, tym lepiej. Wiara, jeśli już istnieje, może się co najwyżej manifestować prywatnie. Przestrzeń publiczna powinna być wolna od wpływów religii. Dzięki temu łatwiej będzie o dalszy dynamiczny rozwój.

Odpowiednikiem tego laickiego dogmatyzmu jest religijny tradycjonalizm, który widzi w nowoczesnym społeczeństwie wyłącznie zjawiska negatywne: swobodę obyczajową, ubóstwienie seksu, pornografię, narkotyki, propagandę aborcji, eutanazji i homoseksualizmu. Reakcją na tę dekadencję staje się tworzenie własnego, zamkniętego świata. Ten świat jest „nasz” – ma swoją prasę, radio i telewizję – i trzeba go za wszelką cenę bronić. Czujność jest niezbędna, bo wrogowie czyhają na każdym kroku. Często są to wilki przebrane w owczą skórę – pozorni sojusznicy, którzy de facto służyć chcą bożkom tego świata.

Pomiędzy tymi skrajnościami – najgłośniejszymi i chcącymi zmonopolizować dyskurs – możliwe są jednak i inne odpowiedzi na te pytania, szukające złotego środka, swoistego *modus vivendi* między tym, co Boskie, a tym, co cesarskie. Sam Jezus mówił: „Oddajcie więc Cezarowi to, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga”. Dziś słowa te powinny zachęcać do odpowiedzi, że religia nie musi przeszkadzać w procesach modernizacji, a przemiany kulturowe i gospodarcze nie muszą prowadzić do zamierania wiary. Sposobów udzielania takich odpowiedzi może być wiele. Poniżej prezentuję myślenie, za które sam biorę odpowiedzialność.

Dlaczego modernizacja potrzebuje religii?

Modernizacja potrzebuje religii, bo potrzebuje wartości. Nie wystarczy umiłowanie wartości utylitarnych, jak sukces i skuteczność. Świat oparty tylko na dążeniu do sukcesu jest niczym dom postawiony na piasku. Nie da się zbudować nowoczesnego, dynamicznie rozwijającego się społeczeństwa bez powszechnego szacunku dla takich wartości, jak wzajemne zaufanie, uczciwość, prawdomówność, rzetelność, gotowość dotrzymywania

umów, skłonność do poświęceń, umiejętność dialogu i zawierania kompromisów, poszanowanie godności innych, szacunek dla różnorodności. Nawet krytycy religii muszą zaś przyznać, że nie byli w stanie wymyślić instytucji, które potrafiłyby wychowywać do wierności tym wartościom skuteczniej niż instytucje religijne (oraz rodzina i szkoła – przy wszystkich kryzysach dotyczących i Kościoła, i rodzinę, i szkołę). Cóż dopiero, gdy mowa o tak ważnych dla społeczeństwa wartościach, jak bezinteresowność, wspaniałość, solidarność, miłość czy miłosierdzie. Zwolennicy modernizacji – w swoim własnym, dobrze pojętym interesie – powinni zatem szukać sojuszników wśród ludzi wiary. Bez zakorzenienia w dotychczasowej tradycji procesy modernizacyjne łatwo mogą się degenerować w budowę „nowego wspaniałego świata”. Nawet szybka modernizacja nie powinna oznaczać przewrotu w hierarchii wartości, groziłoby to bowiem zerwaniem więzi społecznych. A społeczeństwo rozbite nie jest społeczeństwem skłonnym do wysiłku, do stawiania sobie wymagań. Indywidualizm może być skutecznym motorem sukcesu osobistego, ale nie da się na nim oprzeć strategii rozwoju społecznego. Modernizacja potrzebuje zakorzenionego etosu jako swego fundamentu, nie może nim być płynność i „ciekliwość” świata postmoderny. W ciekawy sposób pragnienie realizacji takiej wizji wyraził niedawno prezydent Wrocławia, Rafał Dutkiewicz, pisząc w „Więzi” w lipcu 2007 r. o konieczności dokonania w Polsce przyspieszonej modernizacji w imię tradycyjnych wartości. Jego zdaniem, niezbędne nam radykalne projekty modernizacyjne mogą się powieść „jedynie wówczas, gdy realizując je, będziemy w stanie zachować to, co jest w Polsce niezwykle cenne – szacunek dla tradycyjnych wartości. Jeśli się stanie inaczej, tkanka społeczna, która i tak z różnych powodów nie jest wystarczająco gęsta, będzie bardzo szybko erodować, a proces modernizacji nie uzyska społecznej głębi, nie będzie wystarczająco solidnie – w sensie społecznym właśnie – ufundowany”. Najsilniejszym nośnikiem tych wartości jest w Polsce Kościół katolicki. Dlatego Dutkiewicz konkluduje: „nasze powodzenie w Unii zależy i od tego, jak upowszechnimy Internet, i od tego, czy nadal w niedzielę będziemy chodzić do kościoła”. Utożsamiam się z takim myśleniem: w kraju takim jak Polska, ważne jest, by pogodzić modernizację z tradycyjnymi wartościami, nowoczesność z religijnością. Wiadomo, że nie jest to niemożliwe. Samo się to jednak nie dokona. Czy zatem potrafimy tę szansę wykorzystać? Czy znajdujemy odpowiedniej jakości liderzy tak życia publicznego, jak i Kościoła?

Jakiej modernizacji potrzebuje religia?

Z drugiej strony bowiem, także religia potrzebuje mądrej modernizacji. Powinna się zatem dokonać mądra transformacja polskiej religijności, dzięki której mogłoby dojść do przeniesienia akcentów, do mądrej zmiany – jak to trafnie nazywamy na tym seminarium – kodów kulturowo-mentalnych. Wbrew pozorom i postrzeganiu, że religijność i zmiana nie idą w parze, podam kilka przykładów, jak może się zmieniać polska religijność – i jak bardzo potencjalne zmiany zakorzenione są w samej religii (dla uproszczenia analizuję tylko katolicyzm, co usprawiedliwia także dominujący charakter tego wyznania w Polsce).

1. Nowoczesna wierność korzeniom

Jednym z kodów mentalnych polskiego katolicyzmu jest zjawisko, które nazywam bezmyślnym konserwatyzmem: skłonność do rutyny, wyrażająca się w postawie „ma być tak jak jest, bo jest tak jak ma być”. Jest to fenomen dość typowy zwłaszcza na poziomie życia parafialnego. Jednocześnie jest to wielka krzywda wyrządzana Kościołowi. Wybitny XX-wieczny teolog, jeden z duchowych i intelektualnych ojców II Soboru Watykańskiego, francuski jezuita Henri de Lubac, który pod koniec życia został mianowany przez Jana Pawła II kardynałem, stwierdził kiedyś, że „tylko wrogowie Kościoła pragną, aby on się nie zmieniał...”. Każdy, kto kocha Kościół, chce aby on się zmieniał, bo wie, jak bardzo daleko mu do ideału. Najlepszym sposobem podtrzymywania tradycji jest przecież jej twórcza odnowa, wierność nowoczesna i krytyczna. W Kościele katolickim w Polsce nie brakuje wierności postawy szacunku wobec depozytu wiary, tradycji i religijnych obyczajów. Za mało jest natomiast nowoczesności szukania nowego języka, aby Dobrą Nowinę o zbawieniu wyrażać w taki sposób, by trafiała ona do wszystkich potrzebujących, a nie tylko do tych już przekonanych i wiernych. Mamy pod tym względem mądre wskazówki od Jana Pawła II. Wierność korzeniom – przekonywał Polaków w swym pożegnalnym przemówieniu, gdy wracał do Rzymu po pielgrzymce w czerwcu 1997 roku – „nie oznacza mechanicznego kopiowania wzorów z przeszłości. Wierność korzeniom jest zawsze twórcza, gotowa do pójścia w głąb, otwarta na nowe wyzwania, wrażliwa na „znaki czasu”. [...] Wierność korzeniom oznacza nade wszystko umiejętność budowania organicznej więzi między odwiecznymi wartościami, które tylekroć sprawdziły się w historii, a wyzwaniami współczesnego świata. [...] Życzę moim rodakom i życzę Polsce, aby właśnie w ten sposób umiała

być wierna sobie i korzeniom, z których wyrasta”. Postawa „modernizacyjna” w Kościele ma też głębokie uzasadnienie w najpoważniejszym autorytecie – w Ewangelii. „Nie wlewa się nowego wina do starych bukłaków” – mówił Jezus. Moim zdaniem, to znakomite zaplecze do tego, aby zakorzeniła się szerzej postawa nowoczesnej wierności korzeniom. Kto zaś nie wierzy w adaptacyjne zdolności katolicyzmu, niech zastanowi się nad wielką reformą, jakiej ten Kościół dokonał w II połowie XX wieku. Nie znam innej – równie szacownej i równie wielowiekowej – instytucji, która potrafiłaby dokonać tak wielkiej zmiany, zachowując zarazem nieprzerwaną ciągłość. Inny przykład: nie znam innej wspólnoty, która byłaby tak odważna, by w XXI stulecie swego istnienia wejść poprzez własny głęboki rachunek sumienia

2. „Katolik-obywatel”, „Polak-Europejczyk”

Wśród polskich kodów mentalno-kulturowych związanych z religijnością obecna jest także formuła „Polak-katolik”. Świadom jestem jej skomplikowanych losów i przydatności w różnych okresach historycznych. Coraz bardziej odchodzi ona jednak w przeszłość, a na znaczeniu zyskują działania zmierzające do tworzenia nowych kodów, które można określić jako „katolik-obywatel”, a szerzej także „Polak-Europejczyk”. Zasadę „nie można być dobrym katolikiem, nie będąc dobrym obywatelem” sformułowali polscy biskupi w liście pasterskim przez wyborami parlamentarnymi w roku 1993. Już wtedy wyraźne było, że chodzi o kreowanie nowego sposobu obecności katolików w życiu publicznym. Od tego czasu sami biskupi trochę o tej zasadzie zapominali, ale na przykład przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi sformułowali list pasterski w tym właśnie duchu, bez odwoływania się do „argumentu 95%”. Zasada „katolik-obywatel” ma z teologicznego punktu widzenia tę istotną przewagę nad formułą „Polak-katolik”, że na pierwszym miejscu stawia tożsamość religijną i podkreśla wypływające z niej zobowiązania i odpowiedzialność społeczną. Dla człowieka wierzącego zaś to właśnie płaszczyzna religijna ma być najgłębszym pokładem tożsamości.

Wymiar europejski nie jest tu wprowadzony przypadkiem. Nie kto inny jak Jan Paweł II w historycznym momencie referendum akcesyjnego zaapelował wprost do rodaków o nieodrzućanie proeuropejskiego kierunku, co sam streścił w słowach, które mogłyby się stać zawołaniem niemal wiekowym: „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej”. W hasle tym kryje się apel o nawiązanie do tych najlepszych elementów polskiej tożsamości, jakie do naszej historii wniosła epoka Jagiellonów: Polska silna, katolicka, ale

i wielonarodowa, otwarta na Europę, tolerancyjna, którą cechuje pluralizm wyznaniowy i twórcza otwartość na inne religie. Jan Paweł II wskazuje jasno, że „być w pełni Polakiem”, to także „być w pełni Europejczykiem”. Myśli te zostały rozwinięte na kartach książki „Pamięć i tożsamość”, gdzie Jan Paweł II używa pojęcia „ojczyzna” w odniesieniu zarówno do Polski, jak i Europy. Jest tam nawet rozdział zatytułowany „Ojczyzna europejska”. Tę ostatnią książkę Jana Pawła II można pod tym względem traktować jako dalekowzroczny papieski testament. Trudno bowiem o bardziej „polską” książkę czytaną w tak wielu językach świata, a jednocześnie Polakom nasz największy rodak pokazuje poszerzone rozumienie patriotyzmu i ojczyzny. Rzecz jasna, aby takie myślenie weszło w krew i stało się kodem mentalno-kulturowym, wiele wody w Wiśle musi jeszcze upłynąć. Ale jest to możliwe, bo przecież można w tym poszerzonym rozumieniu ojczyzny dostrzec nową jakość tradycyjnej polskiej formuły „za wolność waszą i naszą”...

3. Wiara z wyboru

Nieuchronny wydaje się w najbliższym czasie proces postępującej subiektywizacji w świecie wartości. Dotyczyć to będzie także religii (już w pewnej mierze dotyczy). Zazwyczaj ludzie wierzący postrzegają to zjawisko jako zagrożenie dla religii. Warto jednak spojrzeć na ten problem inaczej. Subiektywizacja nie musi być zjawiskiem groźnym dla religii. Może bowiem:

- 1) prowadzić do większego, bardziej świadomego zaangażowania na rzecz wybranych wartości, do budowania etosu odpowiedzialności za wybrane wartości,
- 2) a jako teolog dodam: w przypadku religijności dopiero świadoma wiara z wyboru jest w pełni tym, co Kościół za wiarę uważa.

Rozwijając punkt 2, zacytuję definicję z Katechizmu Kościoła Katolickiego: „Wiara jest odpowiedzią człowieka daną Bogu, który mu się objawia i udziela, przynosząc równocześnie obfite światło człowiekowi poszukującemu ostatecznego sensu swego życia”. Nie ma tu zatem tradycyjnego katechizmowego stwierdzenia, że wiara to przyjęcie prawd, które Bóg objawił, a Kościół do wierzenia podaje. Jest odwołanie do świadomej decyzji człowieka, do wyboru.

Rzecz jasna, nie można zapominać, że mówię w kategoriach „może, ale nie musi”. Jest bowiem możliwy także inny scenariusz i inne konsekwencje subiektywizacji. W świecie wartości może ona prowadzić do postawy

„anything goes” i „tumiwisizmu”. W świecie wiary może zaś skutkować religijnością a la carte, tworzonej wedle zmiennych potrzeb jednostki – co nijak się ma do tradycyjnego zakorzenienia wiary we wspólnocie i instytucji.

Modernizacja kulturowa i szybki rozwój gospodarczy mogą zatem zagrażać religii, ale raczej wierze powierzchownej, religijności będącej częścią kulturowego dziedzictwa – nie zaś świadomej postawie człowieka, który wierzy, czyli daje Bogu odpowiedź.

4. Jak być wolnym

Kluczowe pytanie Polaków po roku 1989 to: „jak być wolnym”. Zwracał na to uwagę ks. Józef Tischner, pisząc o nieszczęsnym darze wolności. Mówił o tym Jan Paweł II, opisując nasze kłopoty z wolnością, nazywając polski los po roku 1989 „egzaminem z wolności”. Cóż za paradoks – w latach 80. Kościół był powszechnie uważany za największego obrońcę wolności, za oazę wolności, za przestrzeń wolności. W latach 90. wahadło przechyliło się w odwrotną stronę: zaczęto uważać Kościół za największe zagrożenie dla wolności, a wielu wierzących zaczęło uważać wolność za zagrożenie dla Kościoła. Później było raz tak, raz inaczej. Najwyższa pora, aby wahadło przestało się wychylać w pozycje krańcowe. Abyśmy zrozumieli, że ani wolność nie zagraża Kościołowi, ani Kościół wolności. Że Kościół musi szanować ludzką wolność, bo sam Bóg, stwarzając człowieka, wybrał ryzyko wolności. Pora, byśmy powszechnie uznali, że Kościół ma po prostu propozycję dla ludzkiej wolności. Osobiście powiem: propozycję najpiękniejszą i najtrafniejszą. Ale nie każdy musi tak uważać. Kościół ma uczyć ludzi wolności. „Być wolnym to móc i chcieć wybierać” – to jedne z pierwszych słów Jana Pawła II, jakie zapamiętałem w swoim dorosłym życiu (z orędzia na Światowy Dzień Pokoju 1 I 1981). Umiejętność właściwego korzystania z wolności to fundament demokracji. Dlatego Kościół jako nauczyciel wolności jest niezbędny demokracji. Można by nawet rzec, że wolność potrzebuje Boga, bo potrzebuje etyki i odpowiedzialności.

Swego czasu nawet prezydent Aleksander Kwaśniewski, witając papieża na polskiej ziemi 16 sierpnia 2002 roku, chwalił się (skądinąd zdecydowanie słusznie!) osiągnięciami Polski w dziedzinie relacji państwo-Kościół: „Przybywa Wasza Świątobliwość do kraju pokoju pomiędzy państwem i Kościołem. W ciągu zaledwie kilku lat po odzyskaniu suwerenności udało nam się stworzyć właściwy model relacji między tymi ważnymi dla narodu instytucjami, oparty na solidnej podstawie nowej Konstytucji Rzeczypospolitej i konkordatu. Zdecydowana większość Polaków rozumiała, że demokracja i religia

wspierają się nawzajem. Demokracja bowiem zapewnia ludziom wierzącym swobodę działania. Religia zaś umacnia fundament demokracji – głosząc uniwersalne wartości o godności człowieka i szacunku do bliźniego, bez których demokracja łatwo mogłaby się przerodzić w swoje przeciwieństwo”. Jeśli rzeczywiście takie myślenie cechowałoby polskich polityków, byłbym dużo spokojniejszy o przyszłość.

By zacytować innego polityka – można się zgodzić z premierem Donaldem Tuskiem, że celem Polaków powinno być połączenie wolności z solidarnością, trzeba jednak dodać, że mało komu się to dotychczas udało. A w nowoczesnym społeczeństwie nie da się tego zadania zrealizować tylko za pomocą polityki państwowej – potrzeba ciepłych instytucji, które będą uczyły wolnych ludzi, jak korzystać z wolności, jak w wolny sposób wybierać rozwiązania solidarne – w życiu osobistym, zawodowym i społecznym. W tym właśnie sensie modernizacja (zwłaszcza w Polsce) nie uda się bez religii.

Na koniec zachowałem interesujący cytat. Zapewne nie zgadną Państwo, kto jest autorem tych słów: „Nie zamierzamy narzucać chrześcijaństwa Zachodowi, ale chcemy, by podstawowe wartości chrześcijańskie i wartości liberalne dominujące we współczesnym świecie umiały się spotkać i wzajemnie zapłodnić” – powiedział kard. Joseph Ratzinger w wywiadzie dla „Le Monde” po ukazaniu się w 1992 roku Katechizmu Kościoła Katolickiego. Słowa te przez 15 lat nie straciły na znaczeniu, a wręcz przeciwnie. Wbrew kościelnym „prorokom nieszczęścia”, twierdzą, że we współczesnym świecie coraz wyraźniej widać odradzające się poszukiwania duchowe, co tworzy nowe szanse na twórcze pogodzenie modernizacji i chrześcijaństwa.

*dr hab. Mirosława Grabowska**

Religia – szansa czy obciążenie?

Zacznę od stwierdzenia normatywnego: ideałem (także obywatelskim) byłaby wolna i odpowiedzialna jednostka w solidarnej wspólnotcie. Ale jak dochodzić do tego ideału? Otóż moja teza brzmi: w Polsce to religia wpływa – budująco – zarówno na wspólnotę (co jest dość powszechnie uznawane), jak i na jednostkę (co już nie jest oczywiste).

1.

Napięcie między jednostką, jej relatywną siłą i uprawnieniami, a wspólnotą istnieje we wszystkich społeczeństwach i kulturach. Jest natomiast różnie rozwiązywane. Zachód, zwłaszcza kraje protestanckie, postrzegane są jako społeczeństwa rozbuchanego indywidualizmu: liczy się jednostka, jej uczucia, interesy i prawa (nie tylko te formalne, ale i te „zapisane” we wzorach kulturowych i obyczaju), które są ważniejsze niż oczekiwania i uprawnienia rodziny czy innych grup i wspólnot. Społeczeństwo tworzy się niejako od dołu, od indywiduum, uwikłanego wprawdzie w rozmaite grupy, ale odrębnego, nieredukowalnego do „elementu szerszej całości” – rodziny czy rodu, sąsiedztwa czy plemienia, narodu czy państwa. Na przeciwnym biegunie lokuje się Wschód, którego społeczeństwa postrzegane są jako przede wszystkim zbiorowości: liczą się systemy pokrewieństwa i władzy, zaś jednostka o tyle, o ile stanowi funkcjonalny (lub kłopotliwy) element szerszych całości.

*Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Są to oczywiście pewne typy idealne, może nawet stereotypy. Wiemy, że i w społeczeństwach Zachodu rodziny potrafiły przywołać swoich członków do porządku: zaaranżować małżeństwo, narzucić typ kariery zawodowej, uwięzić w rodzinnym przedsiębiorstwie lub – przeciwnie – wydziedziczyć z niego. Także władza polityczna miała, przynajmniej w pewnych okresach i w niektórych krajach, prawa do życia i dóbr swoich poddanych. Na Zachodzie tendencja była jednak wyraźna: emancypacja jednostki i ograniczanie władzy.

2.

Socjologowie i politolodzy analizowali i analizują relacje jednostka – wspólnota w kontekście religii: i jednostka, i wspólnoty mają swoje religijne zakorzenienie i znaczenie, role do odegrania i funkcje do wypełnienia. Trzeba by zacząć od klasyków: *Émila Durkheima* i *Maxa Webera*. Współcześnie można by wskazać choćby: *Francisa Fukuyamę*, *Samuela Huntingtona*, *Dietera Fuchs* i *Hansa-Dietera Klingemanna*, *Pippę Norris* i *Ronalda Ingleharta*. Ich zróżnicowane podejścia, badania i analizy podsumowałabym w kilku punktach. *Po pierwsze*, relacja jednostka – wspólnota jest różnie opracowywana w różnych cywilizacjach, kręgach kulturowych i religiach. Zaplecze czy podstawy tej relacji są zawsze bardzo kompleksowe, ale znajduje się wśród nich religia i wyznanie. Mimo że rozmaite cechy rozwoju społecznego spletały się ze sobą w dziejach, a ich rozdzielenie i ocena relatywnego wpływu każdej z nich jest niezmiernie trudna, to *po drugie*, próbowano i próbuje się określić wpływy religii i wyznania na życie społeczne i jego różne dziedziny. Religia i wyznanie wpływa na pozycję jednostki w społeczności, jej zindywidualizowanie i poziom integracji społecznej. *Po trzecie*, religia wpływa na etykę pracy, rozwój gospodarczy, formy gospodarowania. *Po czwarte*, religia wpływa na uznawanie wartości demokratycznych i praktykowanie postaw obywatelskich. W każdym z powyższych punktów należałoby dodać: bezpośrednio lub pośrednio, poprzez odmienne ukształtowanie i uposażenie jednostki, jej wartości, motywacji, umiejętności oraz odmienne budowanie wspólnoty, więzi i autorytetu, praw, powinności i granic tychże.

3.

Jak w Polsce ma się relacja jednostka – wspólnota? Jaki wpływ, bezpośredni lub pośredni, może mieć na tę relację katolicyzm i religijność społeczeństwa polskiego?

Najpierw zapytajmy o **wpływy historyczne**. Odpowiem hasłowo: **słaba Reformacja, niejednoznaczne dziedzictwo i Rzeczpospolitej, związek tożsamości religijnej i narodowej, słaby kapitalizm, silna rodzina**. Zasoby historyczne oraz kulturowe budowania jednostki i jej indywidualizacji są skromne, zaś kulturowania wspólnotowości – znaczne. Być może do sił indywidualizujących należałoby doliczyć poezję romantyczną, która stworzyła takie indywidualności, jak Konrad czy Kordian, zdolne wadzić się z Bogiem i z carem. Ale przecież silnie obecne były w niej – i w motywacjach oraz celach romantycznych bohaterów – wartości narodowe. Trudno też jednoznacznie ocenić tradycję powstańczą, która łączy w sobie indywidualny wybór i ofiarę ze zbiorowym, wspólnotowym działaniem. Nie da się jednak zaprzeczyć, że tradycje i wzory wspólnotowe były w naszych dziejach silniejsze i bardziej pozytywne niż wzory indywidualizmu.

Dzisiaj wciąż ważna jest rodzina, naród oraz wiara religijna i Kościół. Co więcej, religijność wiąże się z etyką pożycia seksualnego i rodzinnego – sprzyja odrzucaniu aborcji, pożycia przed ślubem, małżeńskiej niewierności, homoseksualizmu. Niesie ze sobą zaufanie do Kościoła oraz generuje życzliwsze nastawienie do różnych grup społecznych i nieco więcej zaufania do instytucji publicznych. Praktyki religijne sprzyjają partycypacji wyborczej. Ponadto religijność współwarunkuje głosowanie na niektóre opcje polityczne: słabsza religijność sprzyja głosowaniu na SLD. Z kolei praktykowanie i wiara sprzyjają głosowaniu na postsolidarnościową prawicę. Uwarunkowania te – w nieco tylko różnych wariantach – oddziaływały na zachowania wyborcze przez całe lata 90. oraz w wyborach 2001 i 2005 roku (dane z roku 2007 nie są jeszcze gotowe do analiz). Zatem **współczesny polski katolicyzm i praktykowanie wiary religijnej buduje – na różnych poziomach i w różnych aspektach – wspólnoty**: nie tylko w Kościele, ale także w rodzinie i w szerszych grupach społecznych; sprzyja postawom prospołecznym, społecznemu zaangażowaniu i działaniu; kształtuje postawy obywatelskie i prowadzi do urn wyborczych. Émile Durkheim byłby usatysfakcjonowany.

4.

Ale co z jednostką? Otóż sędzę, że – paradoksalnie – katolicyzm i religijność społeczeństwa polskiego stanowi jedyny poważny zasób (w sensie jego masowej dostępności) budowania i umacniania jednostki. W skali społecznej – bowiem dla niektórych, wąskich kategorii, po 1989 roku otworzyły się nowe pola i ścieżki indywidualizacji: kariery zawodowej, działalności

gospodarczej, sukcesu materialnego, kariery politycznej, w których można realizować swoje ego. W skali masowej czerpać możemy z katolicyzmu.

Najpierw w wymiarze religijnym i filozoficznym. Człowiek został stworzony przez Boga na Jego obraz i podobieństwo, obdarzony wolnością i zbawiony. Trudno wyobrazić sobie większe dowartościowanie jednostki.

W wymiarze praktyk religijnych wzmacniana jest indywidualność każdego praktykującego. *Credo* sformułowane jest w pierwszej osobie liczby pojedynczej: ja wierzę. Także ja spowiadam się, ja żałuję za grzechy, które mnie są odpuszczone. W istotnych momentach mszy św. czy innych sakramentów człowiek staje przed Bogiem jako autonomiczna, wolna i odpowiedzialna za siebie jednostka.

Przestrzeń moralną oznacza – z jednej strony – dany nam przez Boga dekalog, z drugiej – sumienie, indywidualny potencjał serca i rozumu. Dobrze tu widać chrześcijańską dialektykę boskiego i ludzkiego, społecznego i indywidualnego: boskie prawo, nauczane przez Kościół, a także przez rodzinę i inne społeczne agendy oraz ludzkie, indywidualne sumienie.

Wszystkie te charakterystyki – filozoficzno-religijne, praktyk religijnych, moralności – którym przypisuję właściwości indywidualizujące, wydają się oczywiste i współcześnie podzielane przez całe chrześcijaństwo. Dlaczego właśnie tu i teraz miałyby one mieć szczególne, indywidualizujące wpływy i znaczenie?

Po pierwsze, ze względu na **kontekst historyczno-społeczny**. W czasach komunizmu w Polsce kolejne pokolenia doświadczały, na różne sposoby, zniewolenia. Kościół i wiara religijna stanowiły przestrzeń wolności i odpowiedzialności: tak w sensie religijno-filozoficznym, jak i na płaszczyźnie życia codziennego – w parafiach, w katolickich środowiskach, w nielicznych mediach, w ruchach i wspólnotach religijnych. Na tle bylejakości ówczesnego życia społeczno-politycznego wiara i Kościół wprowadzały w świat wolności i wartości.

Po drugie, dzięki reformom *Vaticanum Secundum*. Przypuszczam, że reforma liturgii ma tu trudne do przecenienia znaczenie. **Msza św. w języku polskim** umożliwiała pełne jej rozumienie i uczestnictwo.

Po trzecie, ze względów biograficznych. W latach 70. i 80. obserwowano nie tylko wzrost religijności, lecz wręcz powrót inteligencji do wiary i Kościoła. Potwierdzają to i badania socjologiczne, i kościelne statystyki. Oznacza to, że ludzie, którzy w pewnym okresie swojego życia odeszli od wiary i Kościoła – wracali. Przychodzili też ludzie pochodzący z rodzin

laickich lub obojętnych religijnie. Dla tych ludzi (kilkunastu procent społeczeństwa) wiara religijna i praktyki nie stanowiły obyczaju bezrefleksyjnie przejętego po przodkach, lecz **indywidualny, świadomy, wolny wybór**.

Po czwarte, **wiara i jej praktykowanie stała się kwestią indywidualnego, świadomego, wolnego wyboru** nie tylko w kategoriach „wierzyć czy nie”, ale także w kategoriach „**jak**” wierzyć i **praktykować**. Oto bowiem w drugiej połowie lat 70. pojawiły się w Polsce **nowe ruchy i wspólnoty religijne**. W grupach tych i wspólnotach kształtuje się nowy typ religijności.

Po piąte, **nauczanie Jana Pawła II**, tak w treści, jak w formie. I znowu, nie ma tu miejsca na egzegezę tego nauczania. Ale temat ludzkiej wolności, godności i niepowtarzalności każdego człowieka obecny był począwszy od pierwszej encykliki *Redemptor Hominis* (1979), a potem powtarzany – z uwzględnieniem polskiego kontekstu, polskich doświadczeń, także doświadczenia „Solidarności” (jak w słynnej homilii podczas mszy św. na gdańskiej Zaspie, 12 czerwca 1987 roku), polskich świętych i każdorazowego audytorium – podczas wszystkich pielgrzymek do Polski (1979–2002). Treści tego nauczania wzmacniała osobista charyzma Jana Pawła II, moc i powaga jego głosu, a jednocześnie jego bezpośredniość i bezbłędna wrażliwość na audytorium, co sprawiało że czasem jego homilie i przemówienia nabierały charakteru dialogu (jak w homilii w czasie mszy św. przed opactwem OO. Cystersów, 9 czerwca 1979 roku: „I tak to, moi drodzy i umiłowani bracia i siostry z Nowej Huty, jak umiałem, opowiedziałem nasze wspólne dzieje. Właściwie opowiadaliśmy je razem: ja powoli wypowiadałem zdania, a wy dodawaliście mi ognia. Wszystko to się zgadza: tak jest dzisiaj i tak było przez tych dwadzieścia minionych lat (...)”¹

Wreszcie, po szóste, **doświadczenie „Solidarności”**, które zawierało w sobie zarówno wymiar podmiotowości i wolności, jak i wspólnotowości, a także wymiar religijny (by przypomnieć msze św. odprawiane w strajkującej Stoczni Gdańskiej z setkami robotników klęczących lub czekających w długiej kolejce do spowiedzi). Dla wielu pokoleń było to zarazem doświadczenie osobiste i „kulturowo opracowane” (w filmie, muzyce, literaturze), dla pokoleń młodszych – już tylko zapośredniczone przez przekaz rodzinny i kulturowy.

¹ <http://ekai.pl/bib.php/dokumenty/p7943/p7943.html>

5.

Na koniec trzeba powtórzyć – co dobrze widać w socjologicznym rozumieniu religii, w modlitwie „Ojcze nasz”, w nauczaniu Jana Pawła II i w polskiej „Solidarności” – że choć podkreślałam budowanie i umacnianie jednostki przez współczesny katolicyzm i religijność społeczeństwa polskiego, to relacja jednostka-wspólnota ma charakter dialektyczny. Jednostka staje się wolna, odpowiedzialna i solidarna (lub przeciwnie: zniewolona i egoistyczna) we wspólnocie, która może jej autonomię umacniać lub ograniczać. I odwrotnie: prawdziwa, solidarna wspólnota możliwa jest tylko, gdy składają się na nią ludzie wolni.

Sądzę, że indywidualizujące i osobowe oraz wolnościowe treści katolicyzmu i nauczania Kościoła wydobyły i wydobywają, z jednej strony, doświadczenia historyczne, zbiorowe i indywidualne, biograficzne (zniewolenie przez komunizm, „Solidarność”, powrót do wiary religijnej i Kościoła), z drugiej strony, kreowana przez Kościół katolicki i Jana Pawła II oraz samych wiernych przestrzeń wiary religijnej i wolności czy – w języku racjonalnym – bogata oferta typów religijności do wyboru (msza św. w języku polskim, nowe ruchy i wspólnoty religijne, przywództwo duchowe Jana Pawła II). Do tematu i zadania „osoby religijnej i wolnej” Jan Paweł II wrócił po raz kolejny w swojej przedostatniej encyklice *Fides et ratio* (1998): „(...) akt zawierzenia Bogu był zawsze rozumiany przez Kościół jako moment fundamentalnego wyboru, który angażuje całą osobę. Rozum i wola wyrażają tu w najwyższym stopniu swą naturę duchową, aby pozwolić człowiekowi na dokonanie aktu, w którym realizuje się w pełni jego osobowa wolność. Wolność zatem nie tylko towarzyszy wierze – jest jej nieodzownym warunkiem.” [13]²

² http://ekai.pl/bib.php/dokumenty/fides_et_ratio/fides_et_ratio1.html

Maria Rogaczewska*

Czy religia może odegrać jakąś rolę w modernizacji?

Co dzieje się z tożsamością religijną Polaków w dobie przyspieszającej modernizacji? Podtrzymywanie tezy, opartej zwykle na standardowych sondażach wartości (którą można spotkać w wielu tekstach socjologicznych), iż Polacy są „z natury konserwatywni” i to „naturalnie” uchroni tożsamość religijną przed kryzysem, raczej zamyka niż otwiera poważną dyskusję. Zamiast tego, należałoby taką dyskusję i refleksję zainicjować. Na potrzebę refleksyjnego podejścia do tożsamości religijnej wskazuje jeden z najbardziej znanych socjologów religii, Peter Berger. W swojej niedawno wydanej książce pisze on: *Ludzie stają w obliczu coraz bardziej różnorodnych przekonań, wartości, stylów życia i dlatego muszą między nimi wybierać. Wybór zaś wymaga pewnej, chociażby zupełnie elementarnej refleksji. (...) Współczesność problematyzuje to, co kiedyś uchodziło za oczywiste*¹.

Wezwanie do refleksji w polskim kontekście oznacza, że powinniśmy się zastanowić, co w naszej tożsamości katolickiej stało się jedynie rutyną, odruchem, z czego (z jakich obyczajów, praktyk) wyparowuje na naszych oczach znaczenie, a co – przeciwnie – przeżywa renesans i stanowi cenny element w nowoczesnym społeczeństwie. Nie oznacza to, że powinniśmy naszą tożsamość poddać negacji. Przeciwnie, krytyczna refleksja ma służyć temu, aby

*Doktorantka w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

¹ Peter Berger, *Pytania o wiarę. Sceptyczna zachęta do chrześcijaństwa*, przeł. J. Łoziński, Warszawa 2007, s. 17.

jak najwięcej cennego ocalić na przyszłość. Trzymanie się sztywno pojętej tradycji na wszystkich frontach nie zapobiegnie temu, że pod wpływem narastających trudności w pogodzeniu tradycji z nowoczesnością wielu katolików będzie wołało – jak to się już dzieje – „wypisać się” z Kościoła, w duchu lub w rzeczywistości, niż pozostać w nim.

Trudności te nie są fikcją. Ludziom religijnym niekoniecznie żyje się łatwiej we współczesnym społeczeństwie, choć powszechna opinia głosi, że zdeklarowanym katolikom – jako „przytłaczającej” większości – powodzi się w katolickiej Polsce znacznie lepiej niż innym grupom: ludziom wątpiącym, agnostykom, ateistom, mniejszościom religijnym. Tymczasem lektura wypowiedzi forumowiczów na portalach katolickich dowodzi, że zdeklarowana religijność wcale nie ułatwia życia. Przeciwnie, często prowadzi do utraty „płynności” w codziennym funkcjonowaniu. Dobrym przykładem jest rytm życia zawodowego. Religia wchodzi w otwarty konflikt z pracą, kiedy na przykład szef każe pracować w dzień świąty albo pojawić się na imprezie firmowej w któryś wieczór piątkowy w okresie Wielkiego Postu. Dlatego w myślach wielu ludzi wierzących pojawia się niepokój, choć na co dzień kryje się on gdzieś między wierszami dyskusji na forach internetowych i niknie w zgiełku bitew ideologicznych. Co się dzieje z tożsamością religijną w gwałtownie modernizującym się kraju, w którym więzi międzyludzkie, wzory codziennego życia, zakorzenione rutyny podlegają gruntownemu przemodelowaniu?

Wiele danych wskazuje niewątpliwie na fakt, że Polacy jako społeczeństwo są bardzo przywiązani do tradycji. Jednak z drugiej strony, rosną pokolenia przyzwyczajone do konkurencyjności i do rynku, do wielości opcji i szerokiej palety wyboru. Młodzi ludzie socjalizowani są w świecie, gdzie rynek jest podstawowym punktem odniesienia – w sferze pracy, kultury, edukacji. Trudno się dziwić, że także w dziedzinie religijnej mogą zachowywać się podobnie, jak w innych sferach – czyli skupiać się na swoich indywidualnych potrzebach i preferencjach (w tym przypadku duchowych) oraz oczekiwać różnych opcji ich zaspokajania, pośród których będą mogli dokonać wyboru. Doskonałym potwierdzeniem, że sprawy tak się właśnie mają, są zmieniające się wzory praktyk w wielkich miastach. Wierni wybierają sobie swobodnie parafię, do której chcą uczęszczać, a największym powodzeniem cieszą się te parafie i ośrodki duszpasterskie, które oferują najbardziej zróżnicowane możliwości. Pojawiają się osobne nabożeństwa dla dzieci, młodzieży i dorosłych, witryny internetowe parafii zawierają wiele

propozycji dla różnych grup, w zależności od wieku, zainteresowań, zawodu, płci, a nawet stopnia „zbliżenia” do Kościoła. Te migracje między parafiami oraz aktywne poszukiwanie zindywidualizowanej duchowości (na co wskazuje niezwykle powodzenie ośrodków rekolekcyjnych, medytacyjnych, ośrodków rozwoju duchowości) świadczą o postępującej indywidualizacji życia religijnego, zwłaszcza w młodym pokoleniu.

Zatem, wygląda na to, że w czasach przełomu modernizacyjnego mamy do czynienia z dwoma równoległymi zjawiskami. Z jednej strony, instytucja Kościoła potęguje wysiłki na rzecz podtrzymania zagrożonej tradycyjnej religijności („publicznej”, rytualnej i rodzinnej) – temu służy niemal niezmienna formacja księży (izolowanych od świata w seminarium) oraz niechęć do przyznania świeckim, młodzieży i kobietom nieco bardziej odpowiedzialnej roli w Kościele, którym nadal sterują przede wszystkim zaawansowani wiekowo mężczyźni. Drugie, równoległe zjawisko to indywidualizacja życia religijnego – ludzie wybierają sobie typy duchowości oraz wspólnoty (często nawet internetowe), zamiast angażować się w terytorialnie określony Kościół lokalny. Te dwa zjawiska – usilne podtrzymywanie publicznej, rytualnej „religii narodowej” z jednej strony i oddolna indywidualizacja z drugiej sprawiają, że zanika i słabnie **sfera pośrednia Kościoła – sfera pomiędzy „centrum” i jednostką.**

Bardzo mało katolików polskich (w granicach 5–10%), znacznie mniej niż w tak ześwieczonych krajach, jak Francja, Niemcy czy Austria, angażuje się w działalność parafii i organizacji religijnych. Ludzie nadal masowo uczęszczają na publicznie sprawowane msze, pielgrzymki, procesje Bożego Ciała, odpusty parafialne (znacznie częściej niż na wybory, zebrania polityczne czy demonstracje), ale nie przekłada się to na zaangażowanie w struktury pośrednie. Ruchy i organizacje kościelne koncentrują się na celach czysto wewnętrznych lub czysto terapeutycznych. Wiele tych ruchów zupełnie mylnie utożsamia katolicką naukę społeczną z moralnością obyczajową (i narzucaniem całemu społeczeństwu tej moralności). Tymczasem nauka ta nie służy tylko dyscyplinowaniu zachowań i obyczajów. Stanowi raczej, jak pisze Sergio Lanza w posłowie do wywiadu z Karolem Wojtyłą z 1977: *znak sprzeciwu, pewną prowokację (...) Nauka społeczna Kościoła nie może zostać wepchnięta na prokrustowym łożu w schemat społecznej moralności*². Niestety,

² Sergio Lanza, posłowie do: Vittorio Possenti, *Rewolucja ducha. Doktryna społeczna Kościoła widziana oczyma kardynała Karola Wojtyły*. Wywiad – rzeka, tłum. ks. Robert Skrzypczak, Warszawa 2007, s. 140.

katolicy polscy często chcą ją tam wepchnąć. Tymczasem rozumienie katolickiej nauki społecznej jako znaku sprzeciwu prowadzi do **zupełnie innego ustawienia celów działania stowarzyszeń i organizacji katolickich**. Wówczas koncentrowałyby się one na takich zjawiskach, które zagrażają nie tyle obyczajności, co wolności i godności człowieka oraz wspólnocie i więziom międzyludzkim. Takim zjawiskiem jest specyficznie polska wersja indywidualizmu, czyli „amoralny familizm”, w którym norma poświęcania się dla dobra wspólnego dotyczy tylko ścisłej, najbliższej rodziny, ale już nie żadnej wspólnoty wyższego rzędu. Stan cnót obywatelskich współczesnych Polaków wskazuje, że takie „bezpieczniki”, jak stowarzyszenia i organizacje pozarządowe, w tym także kościelne, jedynie w niewielkim stopniu zapobiegają indywidualizacji i zobojętnieniu na sprawy publiczne. Trudna historia naszego narodu nie wyjaśnia też do końca, dlaczego owa indywidualistyczna postawa reprodukuje się – z większą nawet siłą – w nowych pokoleniach.

Brak troski o „sferę pośrednią” Kościoła oraz koncentracja całej energii na utrzymaniu dotychczasowej pozycji w sferze publicznej przez „centrum” tej instytucji to zjawiska, które mogą przyspieszyć proces prywatyzacji i indywidualizacji religii w Polsce. Mogą, jak zdarzyło się to w Hiszpanii i Irlandii, doprowadzić do znacznych postępów sekularyzacji. Tymczasem właśnie w kościelnej sferze pośredniej – w swobodnych zrzeszeniach wiernych świeckich, ich inicjatywach, sieciach kooperacji i samopomocy – tkwi niezwykle potencjał przezwycięzania szerzącej się w naszym kraju etyki indywidualistycznej. Przezwyciężanie tej etyki jest walką, procesem otwierania się na innych, przełamywania grupowej ekskluzywności. Zwyczaje wielu katolickich stowarzyszeń w Polsce – takie jak izolowanie się od religijności masowej na rzecz elitarnych kręgów wtajemniczenia, budowanie własnych osiedli chroniących od problemów świata – wkomponowują się niestety w logikę społeczeństwa indywidualistów, skupionych na budowaniu własnego, małego światka z użyciem dostępnych produktów, usług, mód i stylów.

Nie należy zaniedbywać potencjału zawartego w najprostszych sposobach budowania wspólnoty. Aktywne tworzenie więzi sąsiedzkich, rezygnacja ze strzeżonych osiedli, ożywianie własnej parafii i tworzenie z niej *community centre* (centrum lokalnej aktywności) – wszystko to są w obecnej Polsce działania pierwszej wagi, służące restytucji wspólnoty, znacznie ważniejsze niż odgórne projekty „wychowania patriotycznego”. Nie da się wytworzyć wspólnoty jedynie przez propagandę wspólnoty, jest to możliwe wyłącznie za pomocą ewangelicznych „środków ubogich”, czyli własnego czasu, wysiłku,

uwagi poświęconej innym. Zadbanie o rozkwit sfery pośredniej Kościoła będzie jednak możliwe dopiero, kiedy upora się on z podstawowymi kwestiami: nadmiernym klerykalizmem, brakiem autonomii świeckich, brakiem przyzwolenia na przejście większej odpowiedzialności za Kościół przez młodzież i kobiety (oczywiście w ramach prawa kanonicznego, które akurat tutaj nie jest realizowane – kobiety nie są konsultantkami ważnych decyzji w Kościele, tak jak dopuszcza to prawo kanoniczne). Większość z tych trudności płynie z faktu zatrzymania się Kościoła w **kapsule czasu**, które sprawia, że proponowane przezeń formy życia coraz bardziej rozmiągają się z realnym życiem ludzi oraz ich duchowymi potrzebami. Tymczasem stawka jest bardzo duża. To nie tylko dalsze losy religii i Kościoła w Polsce, ale także uruchomienie „zamrożonej” energii społecznej na rzecz budowania więzi i kapitału społecznego w naszym kraju, bez czego modernizacja nie rokuje powodzenia. Technokratyczna i neoliberalna nowoczesność, bez solidarności i poziomych więzi, będzie bowiem dla jednostek trudna do zniesienia i zalegitymizowania.

*dr Jan Kozłowski**

Kompetencje intelektualne jako czynnik modernizacji

Pytania o kody kulturowo-mentalne Polaków, ich kształt, genezę, szanse zmiany oraz znaczenie dla modernizacji Polski odsyłają między innymi do kwestii roli, jakie w naszym kraju odegrało pismo, znajomość czytania i pisanie, a przede wszystkim oparte na piśmie operacje intelektualne, techniki dyscyplinowania i mechanizmy kontroli.

Porównanie Polaków z mieszkańcami Europy Zachodniej prowadzi badaczy i publicystów do następujących opinii i ocen:

- Powszechnemu domaganiu się prawa, które byłoby drobiazgowe i rygorystyczne, towarzyszy nagminne uchylanie się od prawa, gdy jest ono sprzeczne z osobistym interesem.
- Umiejętności strategicznego myślenia oraz działania służby administracji publicznej i przedsiębiorstw (ustalanie priorytetów, formułowanie i realizacja celów i zadań, monitoring i ewaluacja) ustępują zachodnio-europejskim.
- Zawodzą kompetencje cywilizacyjne, czyli zespół uwewnętrznionych matryc myślenia i działania koniecznych dla utrzymania w ruchu nowoczesnej cywilizacji. (Piotr Sztompka rozróżnia cztery typy kompetencji: *przedsiębiorczą*, niezbędną dla gospodarki rynkowej, *obywatelską*

*Centrum Badań Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego Uniwersytetu Warszawskiego.

i dyskursywną, konieczne dla demokracji oraz *życia codziennego*, bez których nie istniałoby współczesne, stechniczowane społeczeństwo konsumpcyjne).

- Mniej sprawne są instytucje definiowane jako ograniczenia kształtujące powiązania pomiędzy ludźmi (konwencje, zwyczaje i obyczaje, normy, prawo pisane i niepisane).

Badania naukowe i publicystyka zwracają także uwagę na panującą w Polsce (większą niż w krajach zachodnioeuropejskich) dysharmonię pomiędzy sferą wiedzy i działania. Tę dysharmonię dostrzega się, dyskutując na tak różne problemy, jak te dotyczące kompetencji, podziału społecznego, charakteru nauczania w szkołach lub też cech pracy zawodowej. Podkreśla się więc, że w Polsce tak zwany alfabetyzm funkcjonalny (*functional literacy*), czyli umiejętność posługiwania się wiedzą w różnych sytuacjach współczesnego rozwiniętego społeczeństwa (jak rozumienia i pisanie instrukcji, kosztorysów, harmonogramów), nie tylko odbiega od średniej europejskiej, ale ma odmienny charakter. W porównaniu z Europą Zachodnią umiejętność ta jest bardziej związana z ogólnym rozwojem intelektualnym człowieka i poziomem jego czytelnictwa niż ze skalą zastosowań w pracy zawodowej (Ireneusz Białecki). Ważniejszym czynnikiem różnicowania społecznego jest dostęp i kontrola do kapitału kulturowego niż ekonomicznego (Tomasz Zarzycki). W szkołach większe znaczenie odgrywa nauczanie podręcznikowe, oderwane od praktyki. Bardziej ceni się w nich wiedzę pamięciową niż użyteczne umiejętności (na przykład twórczego i krytycznego myślenia, samoorganizacji, komunikowania się, pracy zespołowej). Programy uniwersyteckie są ukierunkowane nie tyle na zaspokajanie potrzeb praktyki zawodowej, co na rozwój dyscyplin. W środowisku naukowym wiedzę czysto abstrakcyjną przedkłada się nad wiedzę stosowaną i specjalistyczną oraz perfekcjonizm w stosowaniu technik badawczych (Ireneusz Białecki, Maria Nedeva).

Przedstawione tu sumarycznie i skrótowo oceny odnosi się przy tym często nie tylko do polskiego społeczeństwa, ale także innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, lub nawet ogółu krajów słabiej rozwiniętych. Jeśli są one słuszne, jakie są źródła opisywanego przez nie stanu?

Jednym z najważniejszych, choć wciąż niedocenionym czynnikiem jest pismo oraz umiejętność posługiwania się tekstami i przetwarzania wiedzy, w toku historii upowszechniane zarówno przez szkoły, jak i przez rodziny, przedsiębiorstwa, kościoły. Od lat 60. zwracają na to uwagę tacy uczeni, jak

Walter J. Ong, Jack Goody i Eric A. Havelock. Uzupełniając ich ustalenia i poglądy przez tezy i propozycje innych uczonych (Carlo M. Cipolla, Elizabeth Eisenstein, Thomas Hylland Eriksen, Michael Foucault, Anthony Giddens, Avner Greif, Keith W. Hoskin, P.A. Houston, George David Miller, Laurence Stone), można skrótowo nakreślić następujący mechanizm rozwoju „cywilizacji pisma”.

Najpierw język, a później pismo i jego kolejne zastosowania stały się kołem napędowym i przejawem wzrostu kontroli (nad naturą, społeczeństwem i jednostkową psychiką) osiąganemu dzięki zwiększaniu złożoności kultur.

Pismo nie było nigdy samym tylko dodatkiem do mowy, lecz przekształcało wszystkie procesy intelektualne. Liczne cechy uznawane w myśleniu za naturalne nie są wrodzone, lecz powstały dzięki możliwościom, jakie ono otworzyło. Pismo oddziela to, co się wie, od tego, kto wie, źródła komunikacji (piszącego) od odbiorcy (czytelnika), dane od ich interpretacji, słowa od kontekstu, konkret od abstrakcji, przeszłość od przyszłości, zwyczaj od prawa, zdarzenia od zasad, idee od rzeczywistości. W toku ewolucji umożliwiło ono przejście od społeczeństwa „twarzą w twarz”, opartego na osobistych stosunkach i wiedzy praktycznej, do dużych społeczeństw, opartych na abstrakcyjnym prawie, archiwach i wiedzy. Postęp cywilizacyjny zachodził nie tyle dzięki autonomicznemu rozwojowi myślenia teoretyczno-abstrakcyjnego oraz konkretno-praktycznego, co był skutkiem stałego przekładania abstrakcyjnych zasad na język praktyk i procedur stosowanych jako narzędzia zbierania i przetwarzania informacji w celach kontroli.

Siłą motoryczną napędzającą przejścia od społeczeństwa „konkretnego” do „abstrakcyjnego” były między innymi miasta, klasztory, państwo i prawo, technologie (jak proch, druk i zegar), instytucje i organizacje rynku i demokracji. Niewidocznym elementem kryjącym się za ich narodzinami i/lub funkcjonowaniem były oparte na piśmie, coraz bardziej złożone:

- operacje intelektualne, takie jak: zbieranie informacji, definiowanie problemu, określanie celów, zapamiętywanie, porównywanie, kasyfikowanie, kodowanie, rozpoznawanie, streszczanie, syntetyzowanie, sprawdzanie czy ocenianie,
- bazujące na nich praktyki i procedury,
- formy utrwalania, prezentacji, przetwarzania, przeszukiwania i przekazywania informacji tekstowych (takie jak: rejestry, katalogi, skorowidze, nagłówki, akapity, rubryki, rozdziały, paragrafy, spisy treści, tablice konkordancyjne, odsyłacze),

- materialne artefakty (księgi, archiwa, kartoteki, fiszki),
- techniki uczenia się, kontroli i dyscyplinowania.

Raz wymyślone i upowszechnione umiejętności intelektualne, praktyki, formy tekstu, materialne artefakty oraz techniki uczenia się i dyscyplinowania umożliwiały projektowanie kolejnych, a przyjęcie nowych wymagało na ogół znajomości poprzednich, pozyskanych w pewnym porządku.

Pismo i jego pochodne (a także pieniądź, druk i zegar) pozwalały na koordynację czasu, przestrzeni, rzeczy i czynności traktowanych jako przedmiot stałej analizy i oceny (najczęściej ilościowej), przeprowadzanej z punktu widzenia założonych celów oraz z zamiarem dokonania niezbędnych działań korekcyjnych. Zapewniało ono możliwość porównywania stanu obecnego z docelowym oraz zestrzanie wspólnych działań na rzecz realizacji planu. Na przykład dzienniczek ucznia, zawierając abstrakcyjne schematy (takie jak skalę ocen oraz matryce okresów i przedmiotów szkolnych) był narzędziem kontroli i koordynacji działań (przepytywanie, stawianie stopni, zaliczanie) oraz podstawą decyzji (jak postępować z uczniem). W ten sposób (w ramach systemu klas, zasad zaliczania czy promocji) dzienniczek wiązał przeszłość (wiedza o postępach ucznia) z przyszłością (decyzje co do dalszego postępowania), abstrakcję (schematy) z konkretem (stopnie), wiedzę z działaniem, informacje jednostkowe (o uczniu) z informacją statystyczną (dotyczą poziomu klasy, szkoły, nauczyciela). W rozwoju „cywilizacji pisma” ważne były takie czynniki, jak między innymi:

- korzystanie ze stale pozyskiwanych informacji dla kontroli połączonej z możliwością zastosowania sankcji,
- re-aranżacja wiedzy, umożliwiającą przeszukiwanie i odczytywanie tego samego zasobu według różnych kluczy (charakterystyczna dla Internetu, a rozwinięta także dzięki skorowidzom tematycznym i odsyłaczom w książkach drukowanych),
- przekształcanie informacji jednostkowych w statystyczne oraz stosowanie statystyk jako narzędzia przewidywania, planowania i strategii,
- analiza zasobów z punktu widzenia celów,
- wiązanie ze sobą zasobów, instrumentów (zmiany) i celów,
- łączenie decyzji z oczekiwaną (na podstawie analizy danych) „stopą zwrotu”,
- przechodzenie od oceny stanu do przewidywań opartych na ekstrapolacjach oraz od kontroli stanu do kontroli predyktywnej.

Dzienniczek ucznia, potomek średniowiecznych instytucji egzaminu uniwersyteckiego, podwójnej księgowości oraz XVIII-wiecznego stosowania skali do oceny poziomu wiedzy to prototyp monitoringu. Zbliżone schematy, choć na innym poziomie, można odnaleźć w administracji (na przykład państwa i dużych przedsiębiorstw), analizującej w cyklicznym procesie decyzji setki danych, jednostkowych i statystycznych.

W skali historycznej aplikacje pisma umożliwiały „kolonizację przyszłości”, przekształcanie społeczeństw rutyn i tradycji w społeczeństwa decydujące o swoim losie i planujące swoją przyszłość. Poprzez swoje zastosowania, takie jak choćby procedury ewidencjonowania, oceny ilościowej, księgowania i kalkulowania, pismo stało się podstawą nowożytnych instytucji jak kontrakty zabezpieczone przez „strony trzecie”, podwójna księgowość, audyt, przedsiębiorstwo, system podatkowy, spis powszechny czy handel zagraniczny.

Opisane tu role i funkcje pisma (rozwinęte w pełni w XIX i XX wieku) spowodowały, że poziom jego upowszechnienia (między innymi poprzez szkoły, drukarnie, administracje, przedsiębiorstwa) decydował o szansach oraz losach jednostek i społeczeństw. Wiele kluczowych innowacji kulturowych, takich jak herezje (nowatorstwo religijne), drukarstwo (nowatorstwo technologiczne), przedsiębiorstwo (nowatorstwo gospodarcze), oddzielenie sfery prywatnej od publicznej oraz demokracja (nowatorstwo polityczne) stało się możliwych dopiero po przekroczeniu pewnego progu upowszechnienia znajomości czytania i/albo pisania. W znacznej mierze to druk był źródłem tak zwanego cudu europejskiego; bez druku trudno byłoby sobie wyobrazić renesans, reformację oraz rewolucję naukową. Trzy wielkie rewolucje europejskie, angielska w wieku XVII, francuska w XVIII i rosyjska w początkach XX wieku, wybuchły w chwili, gdy połowa męskiej ludności umiała czytać i pisać. Jednym z ważnych źródeł angielskiego przodownictwa w nauce (w XVII wieku) oraz gospodarce (XIX wiek) był szeroki zasięg umiejętności czytania i pisania oraz znajomości matematyki i innych dziedzin wiedzy. Rewolucję naukową i przemysłową poprzedziła rewolucja w edukacji.

XIX i XX-wieczne wynalazki, takie jak nowe wielkie organizacje biznesu (kolej, huty, kopalnie, sieci handlowe, prasa) oraz publiczne (nowoczesna administracja państwowa), strategie biznesowe i polityczne to efekt nie tyle „industrializacji”, co powstania i upowszechnienia dziesiątków nowych umiejętności intelektualnych, praktyk, form utrwalania i przetwarzania tekstu, maszyn oraz technik uczenia się i dyscyplinowania. Księgowość, organizacje oraz strategie (umożliwiające wiązanie posiadanych zasobów

z założonymi celami) istniały i istnieją dzięki przekształceniu świata ludzi i rzeczy w obiekt nieustającego pisania, oceniania i rangowania (kwalifikowania według skali) za pomocą:

- danych, pism, planów, harmonogramów, modeli, dyrektyw, przewodników, instrukcji, ewaluacji, rachunków, kosztorysów, analiz,
- takich form prezentacji, jak: teksty, mapy, diagramy, organogramy, tabele, matryce czy mapowanie procesów.

Wzrost „kontroli i złożoności” nigdy nie następował – w skali historycznej i geograficznej – równomiernie. Opis nierównomierności jest czasem ujmowany w kategoriach „centrum i peryferii”. W przeciwieństwie do peryferii, centrum to obszar najsilniej zurbanizowany, o największej gęstości zaludnienia, sieci instytucji służących zarządzaniu, kształceniu oraz obiegowi dóbr i informacji. W świetle omawianej koncepcji centrum rozwija się w sposób zrównoważony i organiczny, peryferie – nierównomierny i skokowy, bardziej wskutek importu niż własnego rozwoju, z „przedłużonymi ciągami” i asynchronizmem recepcji (łączną recepcją i współlistnieniem powstałych w różnych fazach rozwojowych) idei i instytucji.

Równomierność i rozwój organiczny oznaczają, że idee i instytucje wprowadza się w pewnej kolejności. Jedną z najpoważniejszych trudności modernizacji peryferii jest fakt, że pewne wzorce importuje się bez obecności innych, które w bardziej rozwiniętych społeczeństwach stanowiły ich podstawę.

Można pokazać, w jaki sposób opisane na wstępie trudności modernizacji Polski – słabość instytucji oraz rozdźwięk między wiedzą a działaniem – biorą się z historycznego „zaburzenia sekwencji” w upowszechnianiu operacji intelektualnych, praktyk oraz technik uczenia się, kontroli i dyscyplinowania, będących podstawą działania państwa, rynku i demokracji. Na przykład słabość strategicznego myślenia oraz działania administracji i biznesu lub (ogólniej) „rozziew między wiedzą a działaniem” to między innymi owoc opóźnień w uwewnętrznieniu tysięcy praktyk zawodowych, opartych na łączeniu wiedzy z decyzjami, spowodowany niedorozwojem mieszczaństwa oraz instytucji państwa, demokracji, przemysłu, samorządu i kultury. Dość przytoczyć następujące fakty: pod koniec XIX w. 74% Polaków z Królestwa Polskiego nie potrafiło ani pisać ani czytać (we Francji 17%, w Prusach 12%), a 80% ludności ogółu ziem polskich żyło z pracy w rolnictwie (w Anglii 25%); niemal wszystkie relatywne wskaźniki rozwoju cywilizacji (w stosunku do Europy) były niższe pod koniec XIX w. niż na jego początku.

Co robić, skoro każde zaproponowane rozwiązanie (choćby nowe ustawodawstwo) nie jest w stanie uwolnić się od problemu, któremu chce zaradzić (skoro i ono nie unieważni historii)? a może to szkoły powinny stać się najważniejszym narzędziem zmian, jeśli wiadomo, że „odrobienie opóźnień” – od Niemiec po kraje nordyckie, Japonię i Koreę – najlepiej udało się krajom, które swój cywilizacyjny skok poprzedziły głęboką reformą edukacji, zorientowaną na upowszechnienie niezbędnych dla tego skoku kompetencji intelektualnych.

Maria Rogaczewska*

Państwo i społeczeństwo obywatelskie nie muszą być wrogami – rola społeczeństwa obywatelskiego w modernizacji

By rozwinąć tezę zawartą w tytule tekstu, należy zacząć od wyjaśnienia nieporozumień wokół samego terminu „społeczeństwo obywatelskie”. Nie wdając się w szczegółowe dyskusje definicyjne, które zawiera ogromna literatura przedmiotu, przyjmijmy definicję najprostszą, w ślad za autorami raportu *Indeks Społeczeństwa Obywatelskiego w Polsce 2005*¹. Zgodnie z tą definicją społeczeństwo obywatelskie jest to przestrzeń znajdująca się *poza* rodziną, władzą państwową czy sferą komercyjną, przestrzeń dobrowolnego zrzeszania się i działania ludzi na rzecz spraw, które rozumieją – w różny sposób – jako dobro wspólne. Jest to definicja stworzona na użytek badawczy.

Niezależnie od tego, jakie definicje posiada w obrębie nauk społecznych, pojęcie „społeczeństwa obywatelskiego” należy do najbardziej niejasnych kategorii w polskiej debacie publicznej. Liczne – i nie do końca jasno wyartykułowane – znaczenia sprawiają, że pojęcie to używane jest przez różnych mówców w sposób bardzo dowolny. Często spotykanym nieporozumieniem jest ostre przeciwstawianie społeczeństwa obywatelskiego państwu oraz traktowanie stosunków między nimi jako rodzaju *trade off*, gry o sumie zerowej.

*Doktorantka w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

¹ *Indeks Społeczeństwa Obywatelskiego w Polsce*, red. M. Gumkowska, J. Szołajska, J. Herbst, J. Wygnański, D. Buttler, wyd. Stowarzyszenie Klon/Jawor, Warszawa 2006.

W tak ostro zarysowanej dychotomii społeczeństwo obywatelskie musi tracić i znajdować się na przegranej pozycji zawsze, kiedy państwo bierze na siebie więcej zadań publicznych. Z kolei państwo słabnie i przestaje być operatywne, kiedy społeczeństwo obywatelskie rośnie nadmiernie w siłę. Znamienne, że pogląd o istnieniu takiej ostrej dychotomii dzielą zarówno przedstawiciele trzeciego sektora, jak i przedstawiciele władzy, co niestety zwrótnie wpływa na ich strategie rozgrywania relacji między sobą. Jeśli obie strony są przekonane, że grają w grę o sumie zerowej, oczywistą konsekwencją jest rosnący brak zaufania i wzajemna podejrzliwość, z jaką mamy w Polsce do czynienia.

Tymczasem pogląd o takiej dychotomii jest oparty na bardzo jednostronnej interpretacji koncepcji „społeczeństwa obywatelskiego”: interpretacji liberalnej, podczas gdy w rzeczywistości istnieje wiele tradycji rozumienia społeczeństwa obywatelskiego, w tym tradycje konserwatywne, czy choćby tradycja katolickiej nauki społecznej (oparta na zasadzie pomocniczości).

Dogmatyczni zwolennicy liberalnej koncepcji społeczeństwa obywatelskiego szybko dochodzą do wniosku, że każde uprzywilejowywanie przez władzę tej sfery oznacza automatyczne „słabnięcie” państwa. Wedle tej interpretacji polityk, który głosi, że będzie „wspierał” społeczeństwo obywatelskie, na pewno ma na myśli powolne rozmontowanie instytucji państwa i przerzucenie na barki słabych obywateli wszystkich skomplikowanych zadań, które dzisiaj są realizowane przez administrację i biurokrację. Można takiego polityka łatwo oskarżyć o to, że pod przykrywką „wspierania społeczeństwa obywatelskiego” chce przerzucać na barki zwykłych ludzi cały trud budowania dobra wspólnego. To jest ciężkie oskarżenie, bo społeczeństwo polskie i tak dźwiga już wielkie ciężary reform czy transformacji. W efekcie takiemu politykowi (czy grupie polityków) może grozić delegitymizacja, bo opinia publiczna otrzymuje bardzo negatywny przekaz o samym pojęciu „społeczeństwa obywatelskiego”, które zaczyna się kojarzyć wyłącznie z dodatkowymi ciężarami, a przede wszystkim z radykalną prywatyzacją usług publicznych.

Pragnę podkreślić, że powyższa interpretacja oparta jest na fałszywym i jednostronnym ujęciu relacji między państwem i społeczeństwem obywatelskim. W warunkach demokratycznych nie musi być sprzeczności między nimi. Przeciwnie, państwo i społeczeństwo obywatelskie są sobie potrzebne

i mogą się wspierać. Dziś w Polsce zarówno państwo, jak i sfera aktywności obywatelskiej takiego wsparcia potrzebują i **wzajemnie** powinny go sobie udzielać. Jak to jest możliwe?

Po pierwsze, sprawne (i sprawcze!) instytucje państwa nie tyle zniechęcają, co wręcz zachęcają obywateli do aktywności publicznej. Obywatele, którzy nie zawiedli się nigdy na instytucjach publicznych, bo są przewidywalne i działają wedle jasnych reguł, są znacznie bardziej skłonni ufać sobie nawzajem i wspólnie działać. Jednym z wielu przykładów tego mechanizmu może być Skandynawia, gdzie bardzo sprawnemu i rozbudowanemu państwu towarzyszy ogromna sfera spontanicznej aktywności oddolnej. Liczne badania, nie tylko z zachodnioeuropejskiego kręgu kulturowego, potwierdzają tezę, iż istnieje szczególny związek między jakością obywatelstwa a jakością władzy. Potoczne powiedzenie „dobrych obywateli tworzy dobry rząd” zostało potwierdzone w badaniach nad zaufaniem społecznym (*social trust*), które dobitnie wskazują na fakt, że w budowaniu zaufania, zwłaszcza w społeczeństwach „skażonych” nieufnością, jak społeczeństwa postkomunistyczne, liczy się bardzo tak zwany *institutional performance*: dobry przykład dawany przez instytucje. Dopiero gdy ludzie żyją i pracują wśród instytucji i urzędników, którzy ich nie zawodzą, stopniowo nabierają zaufania także do siebie nawzajem i do świata poza własną rodziną².

Po drugie, dobrzy (czyli aktywni) obywatele stanowią niezbędny warunek sukcesu w funkcjonowaniu państwa, zwłaszcza w wielkich projektach zmian modernizacyjnych, które państwo „odgórnie” uruchamia i realizuje. Bierni obywatele, nieumiejący się zorganizować, niepotrafiący wyłaniać spośród siebie przywódców, będą takie wielkie projekty modernizacyjne raczej sabotować niż wspierać. Można podać przykłady, że tak się nieraz w Polsce dzieje. Świadomi, aktywni obywatele mają fundamentalny wpływ na jakość instytucji władzy, przede wszystkim przez to, że potrafią ją kontrolować i rozliczać z efektów działania, między innymi na bazie instytucji typu „*watch-dog*”. Bez aktywnych obywateli trudno też mówić o przeprowadzaniu i podtrzymaniu zmian instytucjonalnych w wielkiej skali.

Choć od prawie dwóch dekad nie jesteśmy już w Polsce „niewolnikami”, daleko nam jeszcze do bycia „dobrymi obywatelami”. Nie udało się wiele zdziałać, aby zapobiec stopniowemu narastaniu całkowitej obojętności na sprawy publiczne. Polacy odsunęli się nie tylko od instytucji państwa,

²Między innymi badania prof. Natalii Letki z Oxford University nad zaufaniem społecznym w krajach postsocjalistycznych.

od spraw wspólnoty, ale także od siebie nawzajem. Potwierdzają to wyniki wielu badań społecznych. Warto tu przywołać szczególnie jedno z nich, a mianowicie polską edycję międzynarodowego projektu *Civil Society Index*, koordynowanego przez organizację CIVICUS. Projekt był prowadzony w latach 2003-2005 w ponad 50 krajach świata. Głównym celem *Civil Society Index* jest ocena społeczeństwa obywatelskiego w poszczególnych krajach biorących udział w projekcie i spojrzenie na nie z perspektywy globalnej. Opis i ocena kondycji społeczeństwa obywatelskiego dokonywane są poprzez 72 wskaźniki, zorganizowane wokół czterech podstawowych wymiarów, graficznie przedstawianych jako tak zwany diament społeczeństwa obywatelskiego. Tymi wymiarami są: struktura, czyli „objętość” i „głębokość” społeczeństwa obywatelskiego (stopień zakorzenienia w społeczeństwie i reprezentatywność), poziom aktywności społecznej, intensywność relacji między podmiotami, zasobność sektora; środowisko działań – jak warunki funkcjonowania (społeczne, polityczne, prawne, kulturowe) wpływają na społeczeństwo obywatelskie, jaka jest relacja między sektorem obywatelskim i rządowym; wartości; wpływ (efekty działań) – wymiar ten opisuje faktyczny wpływ sektora obywatelskiego na funkcjonowanie całego społeczeństwa, w tym stopień jego uczestnictwa w rozwiązywaniu istotnych problemów społecznych.

W Polsce – wedle różnych szacunków – istnieje około 60-70 tysięcy organizacji pozarządowych. Wedle polskiej edycji *Civil Society Index* około 1/5 Polaków angażuje się w jakąkolwiek formę wolontariatu (najczęściej nieregularnego), zaś jedynie około 20% Polaków deklaruje przynależność do jakiejś organizacji pozarządowej, ruchu społecznego lub religijnego, związku zawodowego, ruchu samopomocowego. Z kolei według *Diagnozy Społecznej 2005* jest to zaledwie niecałe 13% Polaków (rozpiętość wynika z różnic metodologicznych między tymi badaniami). Jednak niezależnie od deklarowanego poziomu zaangażowania, faktyczne zaangażowanie w działalność stowarzyszeniową jest prawdopodobnie jeszcze mniejsze. Około 30% wszystkich członków stowarzyszeń w Polsce jest całkowicie bierna, nie płaci składek, nie uczestniczy w zebraniach i nie ma kontaktu ze swoją organizacją. Te dane, jak również słabe wskaźniki partycypacji wyborczej (najwyżej połowa uprawnionych głosuje, a w wyborach samorządowych znacznie mniej) świadczą o bardzo niewielkim zaangażowaniu Polaków w sprawy publiczne. Autorzy polskiego *Civil Society Index* stawiają wręcz tezę, że mamy „społeczeństwo

obywatelskie bez obywateli”. Innymi słowy, dość rozbudowane, zróżnicowane i coraz bardziej profesjonalne struktury organizacji pozarządowych w Polsce są w znacznym stopniu izolowane – w środowiskach lokalnych jest bardzo niewiele osób skłonnych bezinteresownie wspierać ich działania. Organizacje pozarządowe mają zatem bardzo słabe korzenie, ale mają też słabe konary – brak im silnych powiązań z innymi instytucjami oraz sieci współpracy. Rzadko umieją działać w złożonych układach kooperacji, wykraczających poza sam sektor pozarządowy. Dlatego nie są w stanie działać ze swobodą i rozmachem, jakiego wymagają długoterminowe projekty, są też w znacznym stopniu uzależnione od budżetów władz publicznych, centralnych i lokalnych. Z tego powodu nie ma mowy, aby należycie wypełniały funkcje kontrolne – zarówno w stosunku do administracji, jak i sektora biznesowego. Co więcej, istnieje poważne ryzyko, że będą się coraz bardziej **upodabniać** do innych sektorów i tym samym tracić bądź ograniczać swoje unikalne, specyficzne umiejętności, których nie ma ani biznes, ani administracja.

Słabe pod względem zasobów, uzależnione od publicznych funduszy, słabo współpracujące organizacje społeczeństwa obywatelskiego mają znacznie mniejszy, niż mogłyby mieć w innych warunkach, **wpływ** na to, co dzieje się w społeczeństwie. Nie kształtują polityki, nie aktywizują obywateli, nie reagują na problemy społeczne, nie monitorują działań instytucji państwowych i prywatnych korporacji. Nie sprzyjają im też postawy ludzkie – otoczenia społecznego, wśród których dominuje nieufność i skoncentrowanie na własnym „klanie”.

Taki stan społeczeństwa obywatelskiego stwarza ogromne **ryzyko zmarowania szansy modernizacyjnej**, jaka stoi przed Polską w związku z napływem funduszy strukturalnych. Środki te zmuszają nas do myślenia i działania w zupełnie innej skali niż dotąd. Innymi słowy, organizacje i liderzy społeczeństwa obywatelskiego powinni, jak piszą autorzy *Indeksu Społeczeństwa Obywatelskiego w Polsce 2005*, radykalnie „**przeskalować**” swoje działania³. Co to oznacza w praktyce? Lokalnie odnoszące sukces **innowacje**, stworzone w oparciu o rzetelne **diagnozy** lokalnych potrzeb przez NGO-sy bądź obywateli z inicjatywą (na przykład w dziedzinie usług społecznych, walki z wykluczeniem czy edukacji nieformalnej), powinny ulegać zorganizowanej dyfuzji. Powinny być replikowane gdzie indziej, aby ich efekt modernizacyjny był widoczny na poziomie kraju, a nie tylko na

³ *Indeks Społeczeństwa Obywatelskiego w Polsce 2005*, wyd. cyt., s. 127.

poziomie małej wspólnoty lokalnej. „Przeskalowanie” oznacza również konieczność działania zgodnie z **zasadą synergii**, czyli łączenie wycinkowych działań różnych liderów i organizacji w większe, bardziej wyrafinowane i długoterminowe projekty. Tymczasem są problemy zarówno z dyfuzją (i systemem oceny) innowacji, jak i z synergią. Wiele organizacji w całej Polsce wielokrotnie powiela te same działania, czemu sprzyjają dość sztywne ramy programów europejskich, nie dbając o to, czy te działania pasują do lokalnych potrzeb, nawet ich wcześniej poważnie nie diagnozując. Powstają swoiste „monokultury” działań na rzecz bezrobotnych (szkolenia) czy wykluczonych, które realnie nie rozwiązują żadnych problemów, służą przede wszystkim alokacji środków.

Konkludując: aby sektor społeczeństwa obywatelskiego spełnił swoją rolę modernizacyjną w sytuacji napływu funduszy strukturalnych, konieczne jest instytucjonalne wzmocnienie jego zdolności dyfuzji innowacji, replikacja dobrych praktyk, znaczne podniesienie zdolności diagnozowania środowiska lokalnego, działanie zgodnie z **zasadą synergii**. Nie ma sensu czekać, aż sam sektor zdobędzie się na taki „skok” w swojej filozofii działania – w tej sytuacji musi być wsparty przez władzę lokalną i centralną. Władze, zwłaszcza lokalne, które do tej pory koncentrowały się głównie na sprawach ekonomicznych i zasiłały się czysto ekonomicznymi danymi, także czeka radykalny „skok” mentalny w stronę filozofii „dobrego rządzenia” (*good governance*), które nie oznacza kontroli nad wszystkim, ale raczej zdolność uruchamiania energii wielu partnerów społecznych i współdziałanie z nimi w rozwiązywaniu konkretnych problemów.

Receptą na deficyty społeczeństwa obywatelskiego nie są zatem rozwiązania autorytarne, ale więcej demokracji, więcej praktyki demokratycznej w życiu codziennym. Dlatego tak fundamentalnie ważne w obecnej chwili jest otwarcie się administracji (zarówno rządowej, jak i samorządowej) na obywateli oraz na organizacje pozarządowe – w szczególności tam, gdzie realizują one funkcje rzecznicze, czyli reprezentują interesy grup, które nie mają własnego głosu (zwłaszcza zagrożonych wykluczeniem społecznym).

Państwo polskie w wielu aspektach swojej działalności (przede wszystkim w polityce społecznej, ale też na przykład w polityce na rzecz rozwoju i innowacji) jest niesprawne i mało wydolne. Niewiele pomoże jego rozbudowywanie czy zwiększanie liczby jego funkcji. Właśnie tu pojawia się właściwa recepta – państwo powinno nauczyć się grać kooperacyjnie z aktywnymi obywatelami, dostrzegać ich oddolne, często innowacyjne wysiłki (zwane

czasem „enklawami modernizacji”) i nie utrudniać ich, lecz wspierać, i to nie jako łaskawy patron, lecz równorzędny partner. Państwo powinno szukać metod na ożywienie obywatelskości – przede wszystkim poprzez zaproszenie obywateli do procesu wyznaczania celów i decydowania, a także, w oparciu o zasadę pomocniczości, do podziału pracy. Jak piszą autorzy *Głosu w dyskusji na temat wizji rozwoju społeczeństwa obywatelskiego*⁴: „Potrzebne jest ciągłe szukanie punktu równowagi między całkowitą kontestacją i separacją od struktur politycznych z jednej strony, a roztopieniem się oraz instrumentalizacją i klientelizmem z drugiej. Podkreślić trzeba, że tzw. *good governance* (dobre rządzenie) to nie to samo, co po prostu dobry rząd. Dotyczy ono raczej sprawności w zarządzaniu i poprawności wzajemnych relacji pomiędzy różnymi podmiotami życia publicznego. Do zasad tych należą w szczególności: przejrzystość, sprawność, odpowiedzialność, wiarygodność oraz społeczna partycypacja. Relacje te i ich postulowany charakter nie mogą być redukowane do relacji władza – organizacje pozarządowe. W najbardziej fundamentalnym sensie odnoszą się one ogólnie do relacji władza – obywatele.”

Pod pewnymi warunkami możliwa jest autentyczna i owocna rola społeczeństwa obywatelskiego w modernizacji Polski. Opisano te warunki już częściowo w poprzedniej partii tekstu, pod hasłem „przeskalowania”. Warto też dodać, iż szansa ta wzrośnie, jeśli uda się spełnić kilka innych postulatów, o których piszą autorzy *Głosu w sprawie wizji rozwoju społeczeństwa obywatelskiego*. Są to między innymi:

1. Rozpoznanie potencjału specyficznie polskich tradycji samoorganizacji, które niekoniecznie mieszczą się w definicji trzeciego sektora jako „organizacje pozarządowe”. Są to tradycje nieformalnych zrzeszeń, samopomocy, mobilizacji w chwilach kryzysu, stowarzyszeń zakorzenionych w parafii czy

⁴ Piotr Frączak, Maria Rogaczewska, Jakub Wygnański, *Głos w dyskusji na temat wizji rozwoju społeczeństwa obywatelskiego w Polsce*, dokument pdf na stronie: <http://www.ngo.pl/files/ekonomiaspoleczna.pl/public/tezy/Glos.pdf> Dokument powstał w lutym 2005 roku w ramach procesu konsultacji i dyskusji nad Narodowym Planem Rozwoju. Był propozycją otwarcia dyskusji nad kondycją społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz nad sposobami wspierania jego rozwoju. Autorzy mieli na celu zarysowanie podstawowych osi dyskusji i wstępnych kierunków strategii wspierania rozwoju społeczeństwa obywatelskiego – bez przyjmowania perspektywy któregośkolwiek z sektorów. Dokument ma charakter autorski, jego zadaniem jest stworzenie propozycji mapy, na której poszczególne instytucje i sektory będą mogły nakreślić swoją własną ścieżkę działań.

ruchu spółdzielczego. Rozpoznanie i wzmacnianie tych tradycji jest wyzwaniem dla samego społeczeństwa obywatelskiego, ale i dla państwa, ponieważ służy też lepszemu uświadomieniu sobie naszych kulturowych i tożsamościowych zasobów.

2. Promowanie rozległego dialogu obywatelskiego

Jak piszą autorzy wspomnianego już *Głosu w dyskusji na temat wizji rozwoju społeczeństwa obywatelskiego*, „konieczne jest budowanie rzeczywistych (a nie fasadowych, jak to czasem ma miejsce obecnie) instytucji dialogu społecznego. Co powinno być uzupełniane przez mechanizmy szerokich konsultacji publicznych (np. *public hearing* – publiczne wysłuchanie). Dotychczasowy system tzw. dialogu społecznego powinien przesuwać się w kierunku dialogu obywatelskiego – wykraczającego poza tradycyjnych partnerów, takich jak związki zawodowe oraz środowisko pracodawców.”

3. Dbanie o przejrzystość działań administracji oraz o jakość zarządzania w administracji publicznej

Nieodzownym elementem działań na rzecz przejrzystości jest wzmocnienie instytucji kontroli społecznej, czyli *watch-dogów* – niezależnych organizacji monitorujących funkcjonowanie administracji publicznej, biznesu i organizacji pozarządowych na każdym z poziomów: lokalnym, regionalnym, centralnym.

4. Programy wzmacniania partycypacji obywatelskiej

5. „Uobywatelnienie” mediów

Na koniec warto zacytować zakończenie *Głosu w sprawie wizji rozwoju społeczeństwa obywatelskiego w całości* – jest to bowiem dokument, który w żadnym razie nie traci na aktualności: „Zastosowanie tych sposobów jest pilne i konieczne, bowiem obserwowany dziś, przedłużający się deficyt zaufania i więzi może doprowadzić do postępującej dezintegracji społeczeństwa w Polsce. O ile lęk, nieufność, egoizm, poczucie osamotnienia mają genezę raczej kulturową bądź psychospołeczną (jednostkową), o tyle wszelkie na nowo generowane zasoby zaufania mają genezę w zdecydowanie większym stopniu instytucjonalną. Na tym właśnie założeniu opiera się niniejszy dokument: zawarta w nim wizja rozwoju społeczeństwa obywatelskiego to nie spis marzeń, tylko mający empirycznie umocowane podstawy projekt budowy nowych (oraz wzmacniania zbudowanych już) konkretnych warunków strukturalnych dla działania i organizowania się ludzi i instytucji na rzecz dobra wspólnego, warunków absolutnie niezbędnych zarówno

w skali makro, jak i mikro. Instytucjonalne warunki i pozytywne wzory działań, zarówno te innowacyjne, zgodne z europejskimi standardami, właściwymi rozwiniętym demokracjom, jak i te dobrze zakorzenione w bogatej i cennej tradycji obywatelskiej polskich wspólnot lokalnych i regionów, umożliwić mają większej niż dotychczas liczbie obywateli przeżycie doświadczeń społecznie i politycznie formujących, odbudowujących zaufanie. To w konsekwencji doprowadzić ma do głębszej partycypacji, wymaganej przez ustrój demokratyczny. Dla jego ustabilizowania się i trwałości jest absolutnie konieczne stopniowe wcielanie demokratycznego etosu w codzienne nawyki, przekonania i praktyki zwykłych ludzi. Bowiem demokratyczny etos, wolny rynek i społeczeństwo obywatelskie służyły w Polsce do tej pory przede wszystkim jako gotowy zespół idei, mających zadanie legitymizowania wobec społeczeństwa nowego porządku, na każdym etapie przemian, zwłaszcza, że te przemiany stanowiły często źródło szoku i niepokoju społecznego. Jednakże obietnice zawarte w ideach demokracji i społeczeństwa obywatelskiego tak naprawdę dopiero czekają na spełnienie. Przed polskim społeczeństwem stoi szansa obudowy zaufania obywateli do instytucji władzy, do siebie nawzajem, a także szansa zdobycia przez to społeczeństwo należytej mu samodzielności i autonomii względem państwa, zdolności do samostanowienia i twórczości. Zmiana społecznych wzorów działania wymaga wiele czasu, i to czasu spędzonego nie na biernym oczekiwaniu, ale na działaniu. Czas oczekiwania na rezultaty mierzy się w tym przypadku nie latami, ale dziesięcioleciami. Trzeba mieć tego świadomość i konieczna jest również cierpliwość i konsekwencja w działaniu. Postawy obywatelskie nie wynikają jedynie z predyspozycji osobowych poszczególnych jednostek, ale zależą w dużej mierze od kontekstu kulturowego, gospodarczego i politycznego oraz kształtowania postaw i nawyków działania, poczynając od wychowania w rodzinie, systemu edukacji, aż po zaprojektowanie możliwości praktycznych doświadczeń obywatelskich: współdziałania i solidarności. Aby umożliwić obywatelom aktywne uczestniczenie w życiu publicznym, trzeba stworzyć im odpowiednie warunki i wyposażyć ich w konkretne zasoby i umiejętności, które takie uczestnictwo umożliwiają.”

Jest to zadanie, które absolutnie nie powiedzie się bez zaangażowania państwa i społeczeństwa obywatelskiego **równocześnie**.

*prof. dr hab. Witold Morawski**

Modernizacyjne konfiguracje: perspektywa polska

Efektywne radzenie sobie z wyzwaniami modernizacji uwzględniać powinno wszystkie jej wymiary. Chodzi o modernizację ekonomiczną, polityczną, społeczną, kulturową, psychologiczną czy ekologiczną. Tymczasem, nie tylko w teorii, ale i w praktyce jest inaczej. Dominują uproszczenia, czy to mające źródła poznawcze, czy równie często, ideologiczne. Stosowne jest więc chyba przypomnienie maksymy Alberta Einsteina: „Wszystko należy uprościć tak, jak się da, ale nie bardziej” (Einstein, cyt. za: Maggie 2000: 61).

Modernizację definiować można szeroko. Zarówno jako proces uprzemysłowienia (w odniesieniu do krajów tradycyjnych), jak i wzrostu gospodarczego. Jako kolejne wcielenie modernizacji będę też widział globalizację (podobnie jak Anthony Giddens), choć oczywiście nie są to pojęcia tożsame. Trzymając się tej myśli, procesy demokratyzacji też uznaję za wymiar modernizacji, tyle że politycznej. Podobnie jest obecnie z europeizacją, rozumianą jako przynależność do Unii Europejskiej. Choć kwestie definicyjne są ważne, zyskują głębszy sens dopiero wtedy, gdy stają się elementem wywodu teoretycznego, a przynajmniej zarysu jakiegoś określonego mechanizmu (operacja mniej rygorystyczna niż teoria). Zainteresowanych zmiennością teorii modernizacji odsyłam do podręcznika Piotra Sztompki o socjologii zmian społecznych. Przechodzę więc od razu do trzech perspektyw badawczych, które wyróżnia się w badaniach nad wskazanymi wyżej problematykami: strukturalistyczną, konstruktywistyczną i konfiguracyjną. Utożsamiam się tylko z tą ostatnią, gdyż uważam ją za realistyczną.

*Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Dominuje strukturalizm i logika przyczynowej determinacji

Strukturalizm jest główną perspektywą w badaniach nad modernizacją czy globalizacją. Perspektywa ta dominuje od dawna i ma się nadal dobrze, ale ostatnio zaczyna być mocno podkopywana. Najważniejsze założenie strukturalizmu sprowadza się do tezy, że modernizacja i globalizacja to zjawiska dane, zastane, obiektywne. Procesy te mają charakter deterministyczny, to jest posiadają swoją logikę przyczynowości, której nic właściwie zmienić nie potrafi. Wynik jest z góry do przewidzenia. Najczęstszymi wariantami takich rozumowań jest determinizm technologiczny lub ekonomiczny, albo oba łącznie. Implicite lub wprost założenia te obecne są w większości książek na naszym rynku.

W takim rozumowaniu nie ma miejsca na żaden indeterminizm, bo logiki determinizmu działają z nieuchronną koniecznością, imperatywnie. Jak pisze pewien autor: określone przyczyny zawsze powodują określone skutki (Mc Grew 2005: 224–229). Na przykład, gospodarcze rynki narodowe muszą poddawać się obecnie logice globalnych rynków, bo taka właśnie logika działa obecnie. Co nie znaczy, że nie spotka się jakiegoś umiarkowanego deterministy, który łaskawie przyzna, że na drodze do globalności pojawić się może faza pośrednia, na przykład rynki regionalne (Unia Europejska czy NAFTA). Nie zmienia to jednak zasadniczo żelaznej logiki owych determinizmów.

Jeśli w te rozważania włącza się instytucje, a dzieje się tak ostatnio coraz częściej, to widziane są one jako „egzekutorzy” logik owej strukturalnej przyczynowości. Konkretni aktorzy się nie liczą: „jedynym agentem działania społecznego jest sama struktura” – napisze jeden z teoretyków (Walsh, cyt. za: Reed 2005: 294). Ileż to razy w naszej prasie przeczytałem, że „rynki mówią”, to znaczy, że mamy do czynienia nawet z deifikacją zjawiska. Modernizacja, a podobnie globalizacja są ujmowane jako procesy anonimowe, teleologiczne (zmierzające w określonym kierunku), co oczywiście przeczy elementarnej wiedzy o tym, że na przykład modernizacja kapitalistyczna ma swoją przeszłość, której początki lokowane są w określonym momencie historii (gdzieś między połową XV i XVII wieku lub nawet wcześniej, jak chce Braudel). Ważne jest bowiem tylko to, co ma nastąpić, a następuje niczym fatum – superkapitalizm.

Dla uniknięcia nieporozumień informuję, że niektóre strukturalizmy są treściowo tak bogate, że zapewne nie zasługują na przynależność do omawianej perspektywy. Na przykład, wystarczy przyrzeć się „konstruk-

tywistycznemu strukturalizmowi” czy „strukturalistycznemu konstruktywizmowi”, o jakich dowcipnie pisze Jerzy Szacki. Ale mnie nie chodzi wcale o takie subtelności, a jedynie o fundamentalne założenie, które co ciekawe, spotykać można u myślicieli z obozów całkiem sobie przeciwstawnych. Czytelnik dawno już mógł pomyśleć, że opisując determinizm praw dziejowych wzięty z dogmatycznego marksizmu, co oczywiście nie jest złym domysłem. Ale podobne ujęcia funkcjonują też w twórczości przeciwników marksizmu. Oto cytaty z Raymonda Arona: „Podstawowym faktem naszej epoki nie jest ani socjalizm, ani kapitalizm, ani interwencjonizm państwowy, ani wolna przedsiębiorczość, lecz gigantyczny rozwój techniki i przemysłu. Żaden naród ani żadna partia nie odrzuca i nie może odrzucać cywilizacji przemysłowej będącej warunkiem nie tylko określonego poziomu życia mas, ale i siły militarnej... Imperatyw postępu gospodarczego zmusza...” (Aron 2005: 11). „Jedyną logikę”, czy też „specyficzny kierunek determinacji” odnajdujemy więc nie tylko w „czerwonych”, bolszewickich ujęciach, ale również w „białych” wersjach. Obecnie w różnych wersjach neoliberalizmu. Od czasu do czasu, z szyderczą przyjemnością pisze o tych podobieństwach filozof brytyjski John Gray, przez samego Friedricha Augusta von Hayeka uznawany ponoć za najlepszego komentatora jego dzieł.

Konstruktywizm nabiera znaczenia

W tej perspektywie modernizacja i globalizacja są zjawiskiem zadany, subiektywnym, konstrukcją społeczną, czyli incydentalnym rezultatem działania idei i interesów – siły motywacji pojedynczych jednostek i większych wspólnot: elit, szerokich warstw społecznych czy narodów. Aktorzy-agencje mają w nim swoje imiona, to znaczy świat zależy od decyzji podejmowanych przez konkretnych aktorów, zawsze mocnych, nawet gdyby byli słabi – słabi stają się silni, jeśli połączą ich wszechobecna wokół sieć – bo w tej perspektywie idee i organizowany dyskurs skupia ludzi, którzy potrafią czynić świat takim, jakiego pragną. Idee nie tyle odzwierciedlają istniejący świat, co go konstytuują. Ważną rolę odgrywają w tym wszystkim instytucje polityczne.

Konstruktywiści mają tendencję do redukcji instytucji do jednostek, determinowanych przez różne dyspozycje, od biologicznych poczynając, a na psychologicznych kończąc. Nie doceniają działania struktur. Jednostki i większe grupy to autonomiczne agencje, które dążą do nagród materialnych czy realizacji swoich idei, wartości lub przekonań. Są w opozycji, ale

tylko do części ujęć racjonalistycznych, na przykład pozytywistycznych, którym przyświecają wzory nauk przyrodniczych. Kwestionują esencjalizm, to jest wskazywanie na jakiś zespół stałych właściwości jakiegoś zjawiska.

Wszystko zależy od stopnia konstruktywizmu. Nie do przyjęcia jest skrajny konstruktywizm, ale takich konstruktywistów jest stosunkowo niewielu. Piszą oni o przepływach, polach czy sieciach. Zazwyczaj raczej nie wiedzą, co mówią, ale wydźwięk ich wypowiedzi jest na ogół antysystemowy. Czasem więc całkiem sympatyczny, bo myśl systemowa odbija najczęściej tylko jeden aspekt, ten kontrolowany, jak przypomina Cioran, w systemie mówi tylko kontroler, szef...

Pisząc o sieciach, zmyślają czasami bzdury. Na przykład, powołując się na techniki informacyjno-komunikacyjne, sugerują, że dominujące dotąd organizacyjne hierarchie zostały definitywnie unieważnione. Jednak kiedy mówią, że horyzontalne rynki, wzmacniane od kilku dziesiątków lat przez hierarchiczne struktury, obecnie są uzupełniane sieciami – właśnie dzięki owym technikom informacyjno-komunikacyjnym – to oczywiście mają rację! Ale tym sposobem dowiadujemy się, że wszyscy stajemy się konstruktywistami. W porządku, bo w końcu niepodobna zaprzeczyć, że pragniemy świata zgodnego z naszymi przekonaniem, wartościami, choćby były one czasami niedorzeczne. Krótko mówiąc, kiedy akceptują znaczenie oddolnej agencji: jednostki, grupy czy wspólnoty (bo zawsze definiują społeczeństwo jako składające się z „aktywnych” jednostek-podmiotów), chwytają pewien realny rys późnej (drugiej) nowoczesności czy jak kto woli – ponowoczesności. Nazywane jest to też indywidualizacją, liberalizacją lub upodmiotowieniem.

Tylko perspektywa konfiguracyjna jest realistyczna

Pozytywne znaczenie perspektywy konfiguracyjnej polega na zawartym w niej dążeniu do unikania dwóch pułapek: z jednej strony, determinizmu struktur, z drugiej, indeterminizmu agencji (aktora, podmiotu) konstruktywistów. Pierwsi przyjmują, że realni ludzie nie mają wpływu na świat, są niczym maszyny. A nie zawsze tak jest, co pamiętamy jeszcze chyba z lat 80. zeszłego wieku, kiedy to pewien polski ruch społeczny zaprzeczył pewnej logice determinacji. Drudzy – odwrotnie – uważają, że mogą wszystko.

Tymczasem konfiguracyoniści są realistami, bo uważają, że poprzez intencjonalne poszukiwania aktorów, agencji, podmiotów budowane są mosty między jednostkami i grupami a strukturami, by mogło zajść „wzajemne

dostosowanie” (*matching, fit*). Ale nie chodzi o bierne tylko dostosowanie agencji do struktur, ale o takie ich współkształtowanie, że obie strony, zachowując autonomię, mogą przekroczyć próg, za którym otwiera się pole dla owocnej współpracy. Ten szczęśliwy próg nazywa się konfiguracją. Jest ona praktyczną integracją poprzez instytucje-mosty dla rozproszonych wcześniej milionów ludzi (jednostek) z wielkimi strukturalnymi procesami, jak modernizacja, globalizacja. Owe konfiguracje to instytucjonalne infrastruktury, bez których owe agencje-jednostki nie potrafiłyby rozwiązać dylematów społecznych (w teorii nazywa się to dylematem więźnia czy tragedią pastwiska). Owe mosty to prawo, stowarzyszenia, kościoły, firmy produkcyjne, uczelnie, władze miasta, banki czy rząd prowincji.

Konfiguracja nie jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności (choć takie też się zdarzają), tylko „nieprzypadkowym zbiegiem okoliczności”, takim który jest zwieńczeniem inteligentnego szukania, intencjonalnego dopasowania się agencji i otaczającej ją zewnętrznej struktury. Przykładem udanej konfiguracji jest obszar metropolitalny Londynu (kłania się teoria gron M. Portera), Irlandii czy Finlandii w ramach struktury Unii Europejskiej, takich prowincji jak Katalonia czy Padania, które grają już nie w lidze europejskiej, ale w „lidze globalnej”.

Droga między agencją a strukturą nie musi być jednokierunkowa, na przykład od agencji do struktury, bywa odwrotnie, gdyż jak napisałem wcześniej, strony są względnie autonomiczne. Nie tylko słabe państwa chcą się „załapać” na współpracę z hegemonem (jak Polska w Iraku), bywa, że hegemon (USA) dość bezskutecznie zabiega o poszerzenie „koalicji chętnych”. Przykłady znaleźć można w każdej dziedzinie. Odsyłam czytelnika do książki Norberta Eliasa „Mozart”, w której pokazuje on, jak agencja-geniusz muzyczny w postaci Mozarta nie potrafiła znaleźć sobie miejsca w sztywnej strukturze sztuki dworskiej (był traktowany jako zwykły rzemieślnik), a jego stosunkowo niewiele młodszy kolega, też agencja-geniusz Beethoven, dawał już sobie radę, bo zaczął funkcjonować rynek artysty.

Polskie konfiguracje modernizacyjne

Polska przeżywa skok rozwojowy od 1989 roku, ale pojawia się pytanie, czy świadczy on o odwróceniu od serii niepowodzeń, jakich wcześniej doznawała, czy to licząc od 1795 roku (trzeci rozbiór), czy od potopu szwedzkiego w 1655 roku? Czy ten „skok” przekształca się w „trwały rozwój”, jako że kilka wcześniejszych „skoków” w rozwoju przemysłowym (koniec XVIII

wieku, w Królestwie Polskim 1821–1830 i inne) nie wyrwało Polski z pozycji peryferyjnej (Kula 1983: 84–86). Także dwudziestolecie międzywojenne niewiele zmieniło, a okres po 1945 roku, choć pozwolił do 1973 roku zrealizować zadania podstawowego uprzemysłowienia, to z racji niekorzystnej konfiguracji rozwojowej, jaką był narzucony z zewnątrz system komunistyczny (państwo partyjne, ograniczona suwerenność, nagła dominacja militarna ZSRR), nie zdał egzaminu ani w oczach społeczeństwa, ani nie wytrzymał konkurencji ustrojowej z kapitalizmem, a nawet przegrał w oczach własnej elity/nomenklatury, która zaczęła wybierać drogę „uwłaszczenia samej siebie”, a dziś potrafi bronić kapitalizmu nawet przed własnym społeczeństwem (na przykład w Chinach).

Polsce dane było odegrać rolę trend-settera dla promodernizacyjnej konfiguracji w ramach państw postkomunistycznych. Toczy się w Polsce dyskusja na temat tego, od kiedy ta konfiguracja zaczęła się kształtować. Wedle „lewicowej” koncepcji odwoływać się należy do cyklicznych wybuchów robotniczego gniewu, zwłaszcza od 1970 i 1980–81 roku jako motorów zmian, co w ramach tak zwanej „regulacji przez kryzys” doprowadziło do tego, że umiarkowane frakcje władzy i demokratycznej opozycji zorganizowały najpierw porozumienie społeczne w sierpniu 1980 (uznanie wolnych i niezależnych związków zawodowych), a potem poszerzyły to porozumienie o wymiary polityczno-ekonomiczne w ramach Okrągłego Stołu, w kwietniu 1989 roku (ze wszystkimi tego następstwami). Wedle alternatywnego ujęcia konserwatywno-liberalnego, bardziej wyrafinowanego, które w sposób najbardziej dojrzały reprezentują Bronisław Łagowski i Andrzej Walicki, nienegujący znaczenia buntów robotniczych, wskazuje się, że państwo, jakim by ono nie było, jeśli chodzi o pochodzenie (nie kwestionują oni nieprawego pochodzenia reżimu), rozwijało się wedle reguł przez siebie tworzonych, zawsze na użytek samego siebie, ale – paradoksalnie – także na użytek społeczeństwa. Reguły te układają się w pewien ciąg logiczny, choć sam proces przebiegał żywiołowo. Powiększała się autonomia państwa, jeśli nawet był to początkowo państwo-satelita imperialny. Jeśli zmiany się nie sprawdzały, to system nie wracał w poprzednie miejsce, nadal ewoluował. Jako rzetelni konserwatywni liberałowie, a nie jak ławica malowanych konserwatywnych liberałów, ubolewają, że przyspieszenie zmian nie zaczęło się od prywatyzacji (przywołują nazwisko Działyńskiego), ale od lewicowych haseł uspołecznienia, jakie lansowała woluntarystyczna Solidarność. W tej wizji PRL jest

postrzegana jako siła mimo woli wyzwalamą kraj, bo taka jest natura każdego hobbesowskiego Lewiatana. To rozumowanie przypomina mi sposób myślenia Niklasa Luhmana o samoczynnie rozwijających się mechanizmach autopojętycznych, których kierunku rozwoju nie daje się określić. W takiej interpretacji totalitaryzm ustępował miejsca autokratyzmowi od 1956 roku, a nie dopiero od lat 1980–1989, to jest od czasu, kiedy Gomułka uznał „socjalizm z ludzką twarzą” za sprawę ważną. Pierwsza szczelina w systemie została zrobiona, a potem przyszły dalsze i coraz poważniejsze.

Udana konfiguracja modernizacyjna nabiera więc obecnie realnych kształtów, być może po raz pierwszy od 350 lat. Mało się o tym jednak dyskutuje. Jeśli już, to głównie w kategoriach ekonomicznych, co jest oczywistą jednostronnością, uwzględniając, że dominuje w tym myśleniu podejście strukturalistyczne. Z kolei wniesienie problematyki korupcji, ważnej bolączki państwa, jest raczej częścią strategii instrumentalizmu partyjnego, który tak dobrze poznaliśmy już w czasach PRL. Zmaganie się znów z tym problemem ma charakter jednostronny, ograniczony do polityki, tymczasem jest to nade wszystko problem zacofania i słabego państwa (nagrody Nobla w ekonomii: G. Myrdal i A. Lewis) oraz działania rozmaitych mechanizmów zawiści czy resentymentu.

Równie ważne, a może coraz ważniejsze stają się obecnie takie zmienne, jak jednostkowa autonomia, gotowość do samoekspresji, politycznego angażowania się, otwartości, czyli ról zmiennych kulturowych, cywilizacyjnych. Żyjemy w świecie współzależności europejskich i globalnych, a więc powinniśmy umieć korzystać z dobrodziejstw „poszerzenia kontekstu”. Tymczasem, jesteśmy odgradzani od świata, i co ciekawe – często na własne życzenie. Młodsze pokolenie uczy starsze, że odwracanie się od świata nie służy dobrze Polsce. Amerykańscy politologowie nazwali takie postawy „zaściankowymi”, „parafialnymi” (parochial). Jako społeczeństwo jesteśmy więc podzieleni, co nie jest żadną tragedią, pod warunkiem, że przybywa ludzi nastawionych promodernizacyjnie. Wiedzą o tym więcej ludzie, którzy emigrują i pracują ciężiej niż nasi politycy, którzy zajmując się mówieniem w środkach masowego przekazu, myślą, że pracują. To się zdarza, ale rzadko. Pozostają daleko w tyle za społeczeństwem, które mówi, co mówi, ale przynajmniej pracuje.

Przypisy:

Aron Raymond (2005: 10–13), *Fanatyzm, roztropność i wiara*, „Fakt–Europa”, 11 maja, Nr 19 (58).

Kula Witold (1983), *Historia, zacofanie, rozwój*, Warszawa: Czytelnik.

Magee Bryan (2000), *Historia Filozofii*, Warszawa: Arkady.

McGrew Anthony (2005), *The logics of globalization*, w: ed. J.Ravenhill, *Global Political Economy*, Oxford: Oxford University Press.

Reed Michael (2003), *The Agency/Structure Dilemma IN Organization Theory: Open Doors and Brick Walls*, w: eds. H.Tsoukas and Ch.Knudsen, *The Oxford Handbook of Organization Theory. Metha-Theoretical Perspectives*. Oxford: Oxford University Press.

Jaka modernizacja, jaka przeszłość?

W debacie na temat modernizacji i zmiany społecznej, obok nieraz głębokich różnic zdań i stanowisk, zauważyć można coraz szerszy obszar zgody.

1. Naukowcy coraz częściej zgadzają się, że należy przestać myśleć o społeczeństwie jako spójnej strukturze, w której zmiany przebiegają według modelu reakcji łańcuchowej: bodziec–reakcja. Na przykład rozwój kapitalizmu może prowadzić zarówno do osłabienia rodziny (zanik wielkich rodzin na Zachodzie, rozprzestrzenianie się modelu 2+2, dominacja singli), jak i jej wzmocnienia (Japonia). W tym duchu Shmuel Eisenstadt wywodził, że nowoczesność nie stanowi monolitu, lecz jest zawsze rozpięta pomiędzy tendencjami do zróżnicowania (pluralizm) i ujednolicania (jakobinizm).
2. Zróżnicowanie społeczeństw wynika z unikalnego, historycznego doświadczenia, a nie z ogólnych praw społecznych (Boudon). Coraz popularniejsze stają się analizy, które pokazują, że rozwój ekonomiczny nie bierze się z jakiegoś abstrakcyjnego wzoru, który szczęśliwie został zrealizowany w danym kraju, lecz z wyjątkowego kompleksu pojedynczych zdarzeń (Hagen). W społeczeństwach nowoczesnych nie można znaleźć jednej, podstawowej cechy, która determinowałaby to, jak będą się one rozwijać. Nie istnieje żadna pojedyncza zmienna, która wyjaśniałaby zmianę społeczną. Cechy strukturalne, na które wcześniej wskazywano, niewiele nam powiedzą – na przykład „relacje produkcji” okazały się bardzo słabą zmienną, wyjaśniającą wartości obecne w danym społeczeństwie. W przypadku akceptacji każdej innowacji to nie struktura definiuje przyszłość, lecz każdy pojedynczy wybór dokonywany przez tego, a nie innego człowieka.

*Uniwersytet Warszawski.

3. Zmiana społeczna jest zatem wypadkową jednostkowych działań. Jeśli tak, największą rolę w tworzeniu nowych wzorców instytucjonalnych odgrywają nie abstrakcyjne systemy, lecz – jednostki, a zwłaszcza: aktywiści, intelektualiści oraz ruchy społeczne, słowem – obywatele.

Te trzy okoliczności sprawiają, że obecnie możemy przezwyciężyć pewne kluczowe dylematy modernizacji, które do tej pory dotyczyły trzech spraw: (a) modernizacja – dla kogo?; a także – jaki jest związek modernizacji z (b) kulturą oraz (c) historią.

Target

Modernizacja nie dotyczy elit, ale wszystkich obywateli. Wszystkie projekty modernizacyjne dotyczą jakieś grupy czy – jak mówią polscy metodologowie – *targetu*. Z jednej strony, są projekty odgórne, elitarne, a z drugiej – oddolne, skierowane do mas. Podczas gdy w przeszłości sukcesem mogły się zakończyć projekty *top-down*, realizowane bez pytania ludu o zdanie, dziś w społeczeństwach demokratycznych takie rozwiązania są już niemożliwe. Reformatorzy muszą brać pod uwagę głos ludzi. I będą brać go w coraz większym stopniu. Ci, którzy kierują swe projekty do mniejszości, skazują się na marginalizację. Szansę na powodzenie mają tylko ci, którzy nie pomijają ani klas niższych, pozostających na uboczu dotychczasowych programów modernizacji, ani klas średnich, marzących o zwiększeniu swojej pozycji i osiągnięciu wyższego statusu.

Kultura

Związek kultury z modernizacją. Jako że zmiana społeczna podyktowana jest unikalnymi warunkami obecnymi w danym kraju, stopniowo zmniejszać się będzie znaczenie programów **modernizacji imitacyjnej**, które zakładają, że w Polsce sprawdzą się projekty, które sprawdziły się w innych częściach świata, niezależnie od potencjalnych kulturowych różnic. Przewagę będą zaś zyskiwać ci, którzy podnoszą wagę kulturowej nadbudowy, twierdząc, że to właśnie w niej tkwi przyczyna powodzenia lub niepowodzenia programów modernizacji. Nie możemy imitować rozwiązań z innych krajów, gdyż nasza własna kultura jest unikalna. Potrzebujemy odpowiedniej dla siebie ścieżki rozwoju. Potrzebujemy naszej własnej *Sonderweg!* W ramach tej opcji istnieją dwa obozy. Pierwszy twierdzi, że modernizacja dopóty będzie napotykać na nieprzezwyciężalne bariery, dopóki nie zmienimy mentalności samych

Polaków, a w szczególności – dopóki nie staną się oni wyzwoleni obyczajowo, otwarci na inność i tolerancyjni zgodnie z europejskimi standardami. Drugi z kolei zaznacza, że Polsce trzeba nie tyle tolerancji, ile rygorystycznej moralności, kapitalizmu opartego nie na *laissez-faire*, wystawnej konsumpcji i rozluźnionych obyczajach, lecz na „wewnątrzświatowej ascezie” (oszczędzaj i inwestuj) i polityce antykorupcyjnej. Wydaje mi się, że ta druga propozycja dla Polski jest bardziej sensowna, albowiem zwolennicy pierwszego rozwiązania myślą skutki rozwoju kapitalistycznego z jego przyczynami, ufając, że jeśli zaczniemy zachowywać się jak obywatele państw Zachodu, to jednocześnie zaczniemy zarabiać tyle, co oni. Błąd polega również na tym, że doświadczenia krajów postindustrialnych próbuje się przenieść na nasz grunt, z pominięciem kolejnych etapów rozwoju kapitalizmu.

Historia

Na podział między zwolennikami polskiej drogi i modernizacji imitacyjnej po części nakłada się podział między tymi, którzy w swych projektach reform odwołują się do przeszłości, i tymi, którzy ją pomijają. Generalnie rzecz biorąc, imitatorzy mają skłonność do negowania znaczenia przeszłych uwarunkowań, miłośnicy *Sonderweg* natomiast z chęcią podkreślają wagę historii. Tutaj chciałbym skupić się na tych ostatnich, a w szczególności – na różnych praktykowanych przez nich strategiach korzystania z przeszłości.

Przeszłość jako karta mitów

Po pierwsze, przeszłość jest rezerwuarem mitów narodowych, które wykorzystywane są tu i teraz w służbie reform. Naród ma wiele przeszłości, z których swobodnie możemy czerpać. Polska historia jest zaś tak bogata, że każdy odnajdzie w niej mit dla siebie. Najczęściej odwołujemy się do mitów, które mają podnieść nasze morale, zwiększyć samoocenę i pokazać związek z wartościami, które dziś uznajemy za ważne.

Rola mitów historycznych będzie się nieustannie zwiększać, gdyż w jednoczącej się Europie Polska z konieczności przeszła długą drogę z pozycji ubogiego krewnego kołaczącego pokornie u drzwi, który bardzo się stara, żeby nie stracić okazji, by siedzieć cicho, do partnera, którego należy traktować serio. Tam zaś, gdzie zanikają dawne, uświęcone czasem hierarchie, a na ich miejsce wkracza równość, pojawiają się konflikty. Konflikty zaś toczyć

się będą również w przestrzeni symbolicznej, w przestrzeni narodowych mitów. Wobec tych nowych wyzwań uznają trzy rodzaje mitów za szczególnie istotne dla Polski.

Po pierwsze, mit nieustannej walki o wolność, najpierw powstania narodowe, a potem kolejne miesiące z polskiego różańca: Czerwiec, Październik, Marzec, Grudzień i Sierpień. Mit ten został rozbudzony i zinstytucjonalizowany przez Muzeum Powstania Warszawskiego, które jako zwieńczenie narodowowyzwoleńczej tradycji wybrało bój Warszawy przeciw dwóm totalitaryzmom: nazizmowi i komunizmowi. Jest dla nas bardzo ważne widzieć siebie jako naród, który chciał przejść wąską ścieżką wolności między dwoma ideologiami zła, którym czy to z geopolitycznego przymusu, czy to z wewnętrznego przekonania ulegała cała ówczesna Europa. Jest to kluczowe dla zbudowania sobie moralnego kompasu, który jasno odróżnia to, co dobre, od tego, co złe.

Po drugie, mit I Rzeczypospolitej i sarmacji, szlacheckiego republikanizmu, demokracji, „ucierania się”, złotej wolności, równości i wielokulturowości. Instytucjonalizacją tego mitu zajmuje się Muzeum Historii Polski. Jest on do pewnego stopnia sprzeczny z mitem obrony beznadziejnych spraw, gdyż przenosi nas w czasy, gdy Polska stanowiła centrum Europy, a my myśleliśmy nie jak skolonizowany, peryferyjny naród, ale jak mocarstwo. Przez chwilę możemy sobie pomyśleć, jak myślą o świecie ci, którzy są w centrum: Amerykanie czy Chińczycy. Taka perspektywa wlewa w nasze serca nadzieję, że jednak kiedyś wrócimy na miejsce, na którym kiedyś przecież byliśmy.

Po trzecie, mit europejskości Polski. Jako że w zgodzie z logiką rozwoju tożsamości grupowych w Europie główny konflikt będzie nie konfliktem między Europą a narodami, a konfliktem między różnymi wizjami Europy, Polacy powinni przedstawiać siebie nie jako anty-Europejczyków, ale jako lepszych Europejczyków, tych którzy najlepiej rozumieją, czym jest prawdziwa europejskość. W tym celu należy wskazywać na momenty, gdy wychodziliśmy poza narodowe opłotki, by walczyć za „naszą i waszą wolność” (romantyzm, II Wojna Światowa), a nawet budowaliśmy zręby europejskich instytucji (Józef Rettinger) i europejskiej jedności ducha (Jan Paweł II). W obliczu wyzwań multikulturalizmu szczególnie istotna będzie obrona wartości Zachodu, na którą możemy wskazywać poprzez przykłady, gdy Polska broniła rubieży cywilizowanego świata przed totalitaryzmem nadchodzącym zza Bugu (1920) czy obcą cywilizacją znad Bosforu (1683).

Przeszłość jako źródło analogii i uwarunkowanie

Nie kwestionując olbrzymiej roli mitów dla świadomości narodowej, należy jasno stwierdzić, że na ich podstawie nie możemy budować programów naprawy państwa. Możemy się na nie powoływać, by zwiększyć wiarę w siebie, ale nie zastąpią nam one historycznej prawdy. Aby dokopać się do historycznego mięsa, mamy do wykorzystania dwie strategie:

- a) poszukiwać w przeszłości analogii dla naszych dzisiejszych działań;
- b) zrozumieć, w jaki sposób przeszłość wpływa na to, co się dzieje tu i teraz.

Pierwsza strategia jest stosunkowo łatwiejsza do zrealizowania. W naszej przeszłości znajdziemy bowiem sporo uderzających analogii. W tym sensie historia okaże się nauczycielką życia. Odkryjemy bowiem, że bardzo wiele możemy nauczyć się od dysydentów, pozytywistów, romantyków, twórców Konstytucji 3 Maja czy konfederatów barskich. To, że możemy odnaleźć tak wiele podobieństw między naszymi problemami a problemami naszych przodków, jest spowodowane prostą okolicznością, że mianowicie w naszych dziejach znajdowaliśmy się w bardzo podobnej sytuacji – peryferyjny naród, który podejmuje kolejne próby, by się unowocześnić, a jednocześnie nie dać się zniszczyć sąsiadom. Lekcje historii, według mnie, będą zbieżne z tymi, jakie możemy znaleźć w mitach historycznych, tyle że mity są ogólnymi opowieściami o nas samych, podczas gdy analogie dają nam do ręki konkretne strategie, z jakich korzystali nasi poprzednicy.

Najtrudniej przedstawia się sprawa uwarunkowania. Wiemy bowiem, że nasi przodkowie borykali się z podobnymi problemami, nie wiemy jednak, jaki wpływ wywierają ich zwycięstwa i porażki na prawdopodobieństwo naszych zwycięstw i porażek. Problem nie polega jedynie na tym, by opisać, jaki był przeszły i obecny stan kraju. Historycy i socjologowie z tego typu zadań z reguły wywiązują się bardzo rzetelnie, dzięki nim nasza wiedza na temat społeczeństw jest olbrzymia. Idzie o to, by określić nie tyle, jaka była nasza przeszłość i jaka jest nasza teraźniejszość, ile **związki** między tym, co było, tym co jest i tym, co będzie. Innymi słowy, należy odpowiedzieć na pytanie, jak przeszłość poprzez teraźniejszość będzie kształtować przyszłość i jakie są mechanizmy tego wpływu. Bez tego nie będziemy wiedzieć, na co zwracać uwagę. Nie będziemy wiedzieć, co jest ważne, a co nie.

W tym eseju chciałem pokazać, jak rozwój nauk społecznych prowadzi do tego, że powoli odchodzimy od fatalistycznego spojrzenia na modernizację, które nie pozostawiało miejsca ani na wolę ludu, ani kulturę, ani historię. Okazuje się bowiem, że rozwój gospodarczy i „powrót do normalności” nie wymaga zapomnienia, kim się było, rezygnowania z własnych unikalnych cech i dystansowania się od współobywateli. Chciałem tu pokazać, że modernizacja powinna – musi – być projektem, który nie ogranicza się do elit, lecz obejmuje także masy; że nie tylko nie można jej przeprowadzić, pomijając nasze uwarunkowania kulturowe i historyczne, ale – że poznanie własnych zasobów pozwoli lepiej taką modernizację zaprojektować.

dr Anna Sosnowska*

Jakiego ustroju potrzebują Polacy?

Niniejszy tekst przedstawia po pierwsze wizję polskiego społeczeństwa. Po drugie, proponuje elementy, czasem anegdotycznie, modelu modernizacji, który by do tego społeczeństwa pasował. Po trzecie, przedstawia dylematy związane z wyborem ideologii, która zapewniłaby modernizacji poparcie społeczne. Tytuł tekstu jest parafrazą tytułu eseju Jerzego Jedlickiego *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują? Studia z dziejów idei i wyobraźni XIX wieku z 1988 roku*. Podkreśla, że nasze poszukiwania odpowiedniej dla społeczeństwa polskiego drogi modernizacyjnej mają długą tradycję. Takie poszukiwania charakterystyczne są dla społeczeństw słabszych gospodarczo, które marzą o skoku cywilizacyjnym, dobrobycie i dogonieniu liderów rozwoju.

Jacy jesteśmy?

Myślę, że najważniejszymi, niedocenianymi cechami polskiego społeczeństwa są jego wiejski charakter oraz kulturowo-mentalne pozostałości po długotrwałym podziale na szlachtę i lud. Na nim chciałabym się skupić, bo to zasadnicza różnica między społeczeństwem polskim a społeczeństwami zachodnimi, do których zazwyczaj się porównujemy. Ta cecha jest wynikiem odmienności dróg rozwoju, o której piszę szerzej w tekście „Folwarczny kod kulturowy” w tej książce.

*Ośrodek Studiów Amerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego.

Spółeczeństwo polskie jest społeczeństwem dwóch odrębnych kultur: elitarno-inteligenckiej i „zwykłych” ludzi. Pierwsza z nich podzielona jest jeszcze wewnątrz na postszlachecko-sarmacką i postżydowsko-świecko-postępową. Obie w swym poczuciu elitarności i dystansu wobec „ludu”, specjalnej misji oraz szacunku dla wykształcenia i literatury zdecydowanie różnią się od kultury zwykłych ludzi, ukształtowanej przez mentalność chłopską, wiejską, ludową. Jest to więc społeczeństwo pańsko-chłopskie, kulturowo głęboko podzielone, bez ponadklasowego poczucia narodowej solidarności. W dobie masowej demokracji i powszechnego udziału w polityce zdecydowanie utrudnia to komunikację społeczną.

Najważniejsza pozytywna cecha kultury postchłopskiej, to – o ile nie jest się pijakiem – zdolność do wytężonej pracy, choćby po wiele godzin dziennie i nawet w złych warunkach, jeśli jest to praca na swoim i dla siebie oraz dla najbliższej rodziny. Związana jest z nią skłonność do oszczędności, jeśli cel jest konkretny i osiągalny – dom lub mieszkanie (ciągle niezwykle ważny cel), studia czy podróż. Praca na cudzym, jeśli wykonywana bez nadzoru, zwróci się do logiki pańszczyźnianej, o której pisałam w eseju „Folwarczny kod kulturowy”.

Kolejną pokrewną cechą jest model rodziny, wsi i regionu charakterystyczny dla Polaków. System społeczny na dzisiejszych obszarach Polski ukształtował model nuklearnej – to jest składającej się z małżonków i dzieci – rodziny chłopskiej. Nie jest ona zakorzeniona w pamięci o własnych przodkach i rozgałęzieniach rodziny. Nie jest też związana sentymentem czy interesem ze wspólnotą wioskową. Kształtowała się często w bliskiej odległości od dworu, pod jego stałą opieką i kontrolą, bo na terenach dzisiejszej Polski sieć dworów szlacheckich z folwarkami była gęsta (szlachta stanowiła w I Rzeczypospolitej 10% ludności). Były one często niewielkie, posiadały niewielką liczbę wiosek, a dwór znajdował się – częściej niż w Rosji, a także na Kresach – w ich sąsiedztwie.

Ten model różnił się zasadniczo od szlacheckiego modelu wielopokoleniowego rodu, z rzeszą dalekich kuzynów i pielęgnowanym drzewem genealogicznym. Różnił się także od wspólnot wioskowych ukształtowanych na przykład w Rosji, kraju o najokrutniejszym systemie poddaństwa chłopskiego, ale też względnej niezależności wiosek od niemal zawsze nieobecnych panów. Różnił się także od modelu klanowego, popularnego w innych społecznościach chłopskich południowej Europy. Jednocześnie model rodziny nuklearnej był tutaj inny niż w Europie Zachodniej, gdzie wolni chłopci

i mieszczenie mieli kilka wieków, żeby nauczyć się współpracować ze sobą dla wspólnej korzyści, związanej choćby z budową drogi czy założeniem spółdzielni. Z badań Witolda Kuli i Jacka Kochanowicza wynika, że chłopci z Kongresówki migrujący do miast na przełomie XIX i XX wieku mieli krótką pamięć rodzinną i regionalną. Pochodzenie „ze wsi” było źródłem wstydu na tyle obciążającym, że jej położenie geograficzne stawalo się bez znaczenia. W ciągu pokolenia urywał się kontakt z rodziną i miejscem pochodzenia.

Kolejną cechą kultury chłopskiej – występującą wszędzie na świecie, gdzie ludzie żyją w warunkach gospodarki niemal naturalnej, z nietowarowych gospodarstw rodzinnych – jest nastawienie na przetrwanie. Jej pozytywnym aspektem jest umiejętność radzenia sobie z biedą, oszczędność, zaradność i wszechstronność. Życie w niskotowarowym gospodarstwie rodzinnym przygotowuje do wielu zadań: budowy domu, robienia sera i szycia koszul. W dzisiejszych warunkach kapitalizmu nowoczesnego i w miarę stabilnego niekorzystnym aspektem kultury przetrwania jest bardzo niska skłonność do ryzyka – zasobów jest zbyt mało, żeby ryzykować.

Wszystkie powyższe cechy najsilniejsze są na wschodnich terenach Polski, w dawnej Kongresówce, a także na tak zwanych ziemiach odzyskanych, gdzie po II Wojnie Światowej przesiedlono ludność ze Wschodu. Stanowią one regiony najsłabsze gospodarczo i najmniej reprezentatywne w życiu publicznym kraju. Natomiast zdecydowanie mniej powyższych cech odnaleźć można w Wielkopolsce, Małopolsce czy na Śląsku.

Wśród cech kultury inteligentkiej najczęściej wymienia się umiłowanie wolności, odporność intelektualną na polityczne naciski, poczucie odpowiedzialności za zbiorowość, orientację na wykształcenie. Osobiście podkreśliłabym także codzienny wymiar tych górnolotnych wartości: szczególną dbałość o schludne ubranie i prezencję oraz formy towarzyskie i dobre maniery. Funkcją tych towarzyskich obyczajów i przesądów było często odróżnienie się od pospólstwa. Ponieważ inteligencja nierzadko była biedna, a od pospólstwa nie różniła się majątkiem i dochodami, trzeba było podkreślać swój status sposobem wysławiania się i zachowania. Pisał o tej obsesji Józef Chałasiński w odniesieniu do inteligencji z pierwszej połowy XX wieku. Miało to wpływ i na inne grupy społeczne, także chłopów. Awans społeczny związał się w kulturze polskiej z przyjęciem inteligentkich norm noszenia się.

Podsumowując: społeczeństwo polskie nie jest społeczeństwem egalitarnym w taki sposób, jak jest nim społeczeństwo ukraińskie, słowackie,

litewskie czy społeczeństwa bałkańskie, gdzie wszyscy – mówiąc w skrócie – byli kiedyś chłopami. Tu kultura postszlachecko-inteligencka, z jej tytułami „pan” i „pani” stała się kulturą narodową, a o ludowych piosenkach i tańcach zapomniano w pierwszym pokoleniu po opuszczeniu wsi. Dwukulturowe, pańsko-chłopskie społeczeństwo jest głęboko zróżnicowane ze względu na styl życia, sposoby zachowania i język. W rezultacie pogarda (wobec „ludu”) z jednej strony, a resentyment (wobec „panów”) z drugiej są dominującymi elementami polskiej psychologii społecznej. Nie pasują one do liberalnej demokracji, gdzie zasadą jest uznanie dla różnych stylów życia i ekspresji.

Jaki model modernizacji?

Wiejski (chłopski, ludowy) sposób myślenia o gospodarce i życiu codziennym, niewrażliwy na ideały popularne wśród zwesternizowanej elity, trzeba politycznie dowartościować i uwzględnić w projekcie modernizacyjnym. To najbardziej zaniedbany element doświadczenia historycznego. Problemy obszarów wiejskich, prostych ludzi i wieśniaków oraz często pogardliwy lub pobłażliwy do nich stosunek elit ma też swój regionalny wymiar. Najbardziej wiejskie, bez silnych miast, najbiedniejsze regiony na Wschodzie powinny otrzymać jasną i nieupokarzającą propozycję modernizacyjną.

Trzeba przetworzyć tę chłopską pracowitość, zaradność i oszczędność na rzecz najbliższej rodziny w twórczy i produkcyjny wysiłek. To przywiązanie i zdolność do poświęceń dla swojej małej rodziny może mieć także pozytywne konsekwencje. Jeśli polską cechą jest brak umiejętności współpracy i niskie zaufanie do ludzi spoza najbliższej rodziny, to najlepszym rozwiązaniem będą małe firmy rodzinne. Jeśli koreańską klanowość i system patronatu starszych można było przetworzyć w lojalność wobec zrzeszeń firm, pełniących role opiekuńcze i towarzyskie, to pewnie można i polskie tradycyjne cechy jakoś twórczo wykorzystać. Nie musimy upierać się przy korporacjach, które są wzorem nowoczesnego przedsiębiorstwa na Zachodzie.

Małe firmy mają zalety ekonomiczne: są bardziej elastyczne, szybciej reagują na zmiany koniunktury, łatwiej je stworzyć i zamknąć. To one są źródłem innowacji i oszczędności, które – powstałe na ich bazie – korporacje wykorzystują w gospodarce wielkiej skali. Mały rodzinno-koleżeński biznes może przecież, jeśli będzie działał z sukcesem, rozwinąć się w korporację. Nie proponuję antykorporacyjnego modelu, ale jednak zniesienie wszystkich

przywilejów udzielanych w imię wyższości tej formy działalności biznesowej. Praca w korporacji pozostanie zapewne na szczycie ambicji, prestiżu i dochodów. Ale nie może być jedynym wzorem, bo po pierwsze, nie ma tu miejsc dla wszystkich ambitnych, zwłaszcza tych mniej wykształconych, po drugie, to nie są najbardziej kreatywne podmioty gospodarcze – jeśli chcemy kreatywności, musimy mieć małe, ciągle nowe firmy, wreszcie po trzecie, w polskich warunkach wielkie firmy częściej pochodzą z zewnątrz, a musimy mieć własne firmy w imię długofalowego interesu społecznego – dla dobra świadomości, że nie jesteśmy tylko tanią siłą roboczą zarządzaną przez przybyszów z Zachodu i konsumentami dóbr wymyślonych gdzieś indziej.

Małe i średnie firmy działają lepiej niż wielkie koncerny w branżach, gdzie łatwo zmienić profil działalności bez ponoszenia wielkich kosztów. Do takich branż należy na przykład przemysł odzieżowy. W warunkach polskich postawienie na tę branżę mogłoby wykorzystać inteligenckie zamiłowanie do odpowiedniego ubioru i obsesję dobrego smaku. Dodatkowo, branża odzieżowa to produkcja, wytwarzanie konkretnego, namacalnego dobra, najczęściej dla indywidualnych klientów. Odpowiadałoby to polskiej mentalności, która lubi, gdy produkuje się coś materialnego, a nie przemieszcza kapitały; która jest podejrzliwa wobec branż nieprodukcyjnych, wytwarzających abstrakcyjne usługi i sprzedających pieniądze. Podobne zalety miałyby w polskich warunkach branża kosmetyczna, spożywcza i meblowa. Wszystkie te działy gospodarki już teraz radzą sobie dobrze i mają znaczący udział w polskim eksporcie. Zamiast marzyć o – przez analogię do sukcesu fińskiej Nokii – polskim telefonie komórkowym, gospodarce opartej na wiedzy, postindustrialnej, usługach dla biznesu, postawmy na branże, które łatwo się tutaj zakorzeniły. Sukces gospodarczy można osiągnąć w oparciu o produkcję, i to o produkcję niekoniecznie towarów najwyższej jakości. Spektakularny sukces Chin wziął się z masowej produkcji dóbr powszechnego użytku o niskiej jakości. Niewielkie firmy odzieżowe i obuwnicze stały się lokomotywą rozwoju włoskiej gospodarki w czasie kryzysu postindustrialnego, gdy upadały huty i fabryki samochodów.

Te firmy odzieżowe, spożywcze, kosmetyczne i meblowe właśnie ze względu na polskie masowe upodobania konsumpcyjne mogą rozwijać się w oparciu o stosunkowo duży rynek wewnętrzny. Dodatkowo, gdy istnieje i konkuruje ze sobą wiele firm tej samej branży, może utworzyć się narodowa marka, taka jak na przykład szwajcarski ser i zegarek, włoskie buty, francuskie perfumy, włoski i skandynawski design meblowy. W globalnej gospodarce,

gdzie o wyobrażnię klienta walczą symbole, jest to bardzo ważne. Stawiając na umocnienie kilku branż, dalibyśmy szansę na wykreowanie marki polskiej sukienki, kremu do rąk czy choćby kielbasy i wódki. I powinniśmy zrobić to bez kompleksów, że nie jest to polski program komputerowy.

Proponuję zatem ustrój gospodarczy oparty na rodzinnej lub koleżeńskej firmie produkcyjnej. To przy nich rozwiną się banki i wyrafinowane usługi biznesowe. Państwo powinno taką firmę hołubić niskimi podatkami i prostotą procedur biurokratycznych. Firmy rodzinne i przyjacielskie mogą łatwo stać się, tak potrzebnym w warunkach gwałtownej modernizacji, źródłem tożsamości i pełnić funkcje opiekuńcze, poprzez dostosowywanie zadań do nierównych zdolności jej poszczególnych członków. Nie uniknęlibyśmy pewnie wewnątrzrodzinnej eksploatacji, charakterystycznej dla większości biznesów rodzinnych na całym świecie i buntu drugiego pokolenia. Jednak za 20 lat możliwości polskiej gospodarki mogą być już inne niż dziś.

Jaka ideologia zapewni modernizacji społeczne poparcie?

Modernizacja w warunkach powszechnego udziału w polityce wymaga poparcia lub, jeszcze lepiej, mobilizacji społecznej. Te z kolei potrzebują ideologii, rozumianej jako schemat objaśniający świat, który przemawia zarówno do interesów, jak i do emocji.

Polityka ostatnich lat proponowała nam europeizację jako ideologię modernizacji. Jednak projekt europejski jest projektem elitarnym i biurokratycznym. Nie ma emocjonalnej siły, która zdołałaby poruszyć ludzi. Nie porywa, nie mobilizuje społeczeństwa. W dodatku, polska tożsamość europejska jest słaba. Wątpliwości budzi zwłaszcza świecki, a momentami antyklerykalny i postchrześcijański charakter projektu europejskiego. Nie warto więc, jak sądzę, traktować europeizacji jako jedynego uzasadnienia modernizacji. Antyeuropejski dyskurs popularny jest mocniejszy emocjonalnie i silniejszy w argumenty krótkoterminowe, dość wskazać choćby na podwyżki cen w krajach, gdzie wprowadzono euro, ugodowe nastawienie wobec rosyjskich restrykcji handlowych i planów gazociągów czy dyrektywy europejskie w sprawie obwodnicy Augustowa. Z drugiej strony, europejskość Polski i innych krajów przyjętych do Unii w 2004 i 2007 jest w Europie kwestionowana zarówno na poziomie interesów (wysokie koszty, napływ konkurencyjnej siły roboczej), jak i emocji (brak wyrafinowania kulturalnego i zabobonna religijność).

Jaka więc ideologia modernizacji? Myślę, że liberalizm jest ideologią wyrastającą z doświadczeń Zachodu, dlatego tutaj się nie przyjmie. Ideologia

nacjonalistyczna, która towarzyszyła modernizacji Niemiec i Japonii na przełomie XIX i XX wieku została skompromitowana. Podobnie – ideologia komunistyczna. Nawet zanim się skompromitowała, w Polsce się nie przyjęła, choć znalazła jakiś odzew w pierwszej połowie XX wieku w nieprzywiązanych do kościoła czy cerkwi egalitarnych społecznościach naszych sąsiadów – od mieszczańskich Czech po chłopską wówczas Serbię.

Myślę, że po pierwsze, trzeba wypracować język polityczny, który byłby nieobraźliwy dla regionów i grup ubogich, a jednocześnie nie odwoływałby się wyłącznie do ich resentymentu wobec grup i regionów, które radzą sobie lepiej.

Po drugie, nie iść w projekcie modernizacyjnym przeciw Kościołowi. Unia jest projektem Europy postchrześcijańskiej, nie tylko zsekularyzowanej, ale antyklerykalnej. Katolicyzm stał się w niej symbolem przedoświeceniowych przesądów, partnerem monarchii i arystokracji w utrzymywaniu feudalnych przywilejów i blokowaniu awansu burżuazji. Jest w tym ziarno historycznej prawdy. Polski, podobnie jak irlandzki katolicyzm jest unikalną formą katolicyzmu antyestablishmentowego, ludowego i antyimperialnego. W tej chwili jest to pewnie najbardziej ludowa, otwarta na dolne warstwy społeczne instytucja. Okres PRL pomógł pewnie w tej sprawie, bo wykluczył biskupów arystokratów. Po wojnie wszyscy prymasi byli chłopskimi dziećmi, łącznie z kardynałem Wielgusem, prawie prymasem. Jest ciągle najważniejszą instytucją zaufania publicznego. To kolejna zaleta Kościoła, niewymieniana w innych tekstach w tym tomie. Jednocześnie jest instytucją kontrowersyjną, wywołującą wielkie emocje. Kościół musi być jakoś włączony w proces modernizacji. Ale to raczej projekt cywilizacyjny/modernizacyjny musi uwzględniać postulaty Kościoła niż odwrotnie. Warto pamiętać, jak podkreślają inni autorzy w tej książce, że wbrew modelowi europejskiemu, modernizacja gospodarcza możliwa jest bez sekularyzacji. Tak stało się w USA.

Długofalowo, ideologią pasującą do polskiej modernizacji jest chyba chadecja. Tutaj lokują się dwie główne obecnie polskie partie. Potrzebne jest zakorzenienie w nawet powierzchownym i hipokratycznym, jak chcą antyklerykałowie, katolicyzmie i uznanie, że w polskich warunkach ksiądz bywa jedynym uznanym przywódcą i arbitrem.

Ostatecznie, żartobliwie proponuję ustrój drobnomieszczański, który wspierałaby ideologia chadecka z domieszką nacjonalizmu gospodarczego i parafianśczyzny.

*Paweł Dobrowolski**

Modernizacja instytucji – więcej konkurencji, mniej przywilejów

„Jakie jest położenie do którego zepchnęliśmy lud naszego królestwa? Zredukowani przez cierpienie do stanu bydła spędzają swe dni w leniwym oglupieniu, które można pomylić z całkowitym brakiem uczuć: nie kochają żadnych sztuk, nie cenią żadnej przedsiębiorczości, pracują tylko dopóty obawiają się nagany; przekonani, że nie mogą się cieszyć owocami własnego pomysłu, ograniczają własną pomysłowość, tłamszą własne talenty i nie czynią żadnych wysiłków, by je odkryć. Stąd przerażający niedobór nawet najzwyczajniejszych rzemieślników. Nie możemy się dziwić, że brakuje nam najbardziej podstawowych rzeczy, gdy ci którzy powinni je dostarczyć nie mogą mieć nadziei na najmniejszy zysk w zamian za wysiłek z ich dostarczenia! Tylko tam gdzie istnieje wolność, może zaistnieć naśladownictwo.”¹

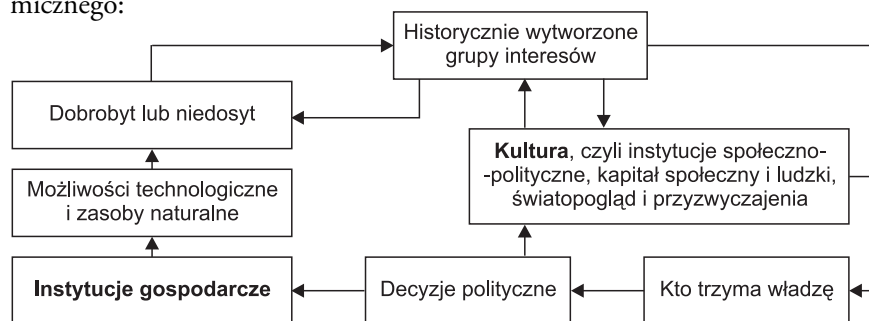
Jesteśmy Polakami i chcemy mieszkać w Polsce z poczuciem, że pomiędzy Bugiem a Odrą powstanie centrum cywilizacji w miejsce gospodarczego i kulturowego peryferium Europy. Szanujemy Słowian, sarmatów, chłopów pańszczyźnianych, oraz PRL-owskie przyzwyczajenia, ale domagamy się szansy na stworzenie centrum cywilizacji tu, nad Wisłą. Nie musi być to od razu Londyn lub Nowy York, wystarczy coś na miarę Holandii, choć uważamy, że stać nas na więcej.

*Instytut Sobieskiego.

¹ Stanisław August Poniatowski w „O Euvres du Philosophe bienfaisant” – cytuję za John Adams „A Defence of the Contitution of the United States of America” 1797.

Nas, Polaków stać na niespotykany w historii cywilizacyjny skok, ponieważ naruszone zostało instytucjonalne i kulturowe status quo, które tłamsiło i ograniczało Polaków od kilku stuleci. Nie stoi u naszych granic żadna obca armia – i przez następne 20 lub 50 lat taka armia raczej nie przymaszeruje pod nasze granice. Dziś zagraniczny ambasador może co najwyżej wcisnąć nam wielozadaniowy samolot bojowy, ale nie jest w stanie wpływać na obsadę naczelnego kierownictwa państwa. Jesteśmy społeczeństwem względnie równych obywateli. Nie ma wszechmogących magnatów, wyrosłych na kresach, którzy z naszej społeczności czynią narzędzie realizacji własnych ambicji, a przy okazji dewastują aparat wspólnego podejmowania decyzji. Nie istnieje pazerna i zakochana w sobie kasta szlachty, umyślowo zamulona po bezapelacyjnym zwycięstwie kontrreformacji. A chłop pańszczyźniany, który nie wie co to polskość, przestał być pozbawiany owoców własnej pracy, stał się jednym z nas, Polaków i może rozwijać swoje talenty z pożytkiem dla siebie i dla społeczeństwa. Ale to dopiero początek. Nie dość, że przestały oddziaływać na nas negatywne wpływy zewnętrzne, to unikalny splot wydarzeń zdestabilizował niedobre status quo.

Poniżej opisujemy prosty model powstawania owego status quo. Tym spośród nas, którzy debatują, czy ważniejsze są zmiany instytucji, czy kultury, odpowiadamy: instytucje i kultura głupcze! Robimy tak, gdyż instytucje² pojmujemy w szerszym anglosaskim rozumieniu, które lepiej opisuje nasz świat. W realnym życiu oraz w poniżej zarysowanym modelu zarówno instytucje gospodarcze, jak i kultura są częścią tego samego układu dynamicznego:



² Słowa „instytucje” używamy w szerszym, anglosaskim znaczeniu, które oznacza zestaw zasad ograniczających ludzkie zachowanie – zasady te mogą równocześnie wynikać z obowiązującego prawa, zwyczaju politycznego, społecznego lub towarzyskiego. Patrz Douglass C. North, „Institutions”, *Journal of Economic Perspectives* 5(1), 97–112, (1995).

Gdyby ludzie zaistnieli nagle, na zasadzie *deus ex machina*, swym pierwszym zachowaniem stworzyliby kulturę, która wpływałaby na ich i otaczających ich ludzi zachowania. W ramach kultury toczy się manipulacja symboliczna i realnymi zasobami, czyli walka o władzę³, w wyniku której powstają konkretne instytucje (na przykład kodeks handlowy, kopalnia, huta, fabryka komputerów, obowiązująca etyka pracy czy akceptowane poglądy na uprawienie seksu). Stworzone w ramach walki o władzę instytucje gospodarcze tworzą możliwości technologiczne i zasoby naturalne⁴, z których wynika możliwość zaspokojenia ludzkich potrzeb. Możliwości te wykorzystywane są w mniejszym lub większym stopniu w zależności od kultury i instytucji gospodarczych, a owoce wypracowane w ramach tych możliwości są dzielone w jeden z wielu możliwych sposobów, również w wyniku oddziaływań kultury oraz instytucji gospodarczych.

Układ taki jest dosyć stabilny. Nawet bez oddziaływania zewnętrznych czynników, jak to miało miejsce w Polsce w ostatnich kilkuset latach, urządzenia społeczne i gospodarcze charakteryzuje wysoka skłonność do popadania w stabilne status quo, nawet jeżeli jest ono suboptymalne. Zjawisko to ma trzy źródła:

Po pierwsze, **technologiczne i instytucjonalne pokrewieństwo**. Poszczególne elementy kultury lub instytucji będą tak kształtowane, by były kompatybilne. Dla przykładu, nasze sądy praktykują pracochłonną procedurę pisemną, w ramach której głównym zadaniem sędziego jest wyprodukowanie protokołu ze sprawy. Gdybyśmy chcieli przejść na efektywniejszą procedurę oralną stosowaną w sądach anglosaskich, musielibyśmy równocześnie zreformować sposób pracy prokuratury i policji, który również polega na produkcji olbrzymiej ilości papierowych sprawozdań i protokołów. Z tego samego powodu zapowiedzi kolejnych komendantów policji, że wygonią policjantów zza biurka na ulice, będą częścią gadaniną, dopóki polskie sądy razem z prokuraturą nie przejdą na procedurę oralną.

³ Struktura władzy (kto trzyma władzę) i decyzje polityczne są częścią szeroko rozumianej kultury, tu zostały wydzielone, gdyż nasza rozmowa zdaje się dotyczyć głównie modernizacji prowadzonej za pomocą aparatu państwa.

⁴ Instytucje gospodarcze nie tworzą fizycznych zasobów naturalnych, lecz tylko powodują, że pewne związki chemiczne stają się dla ludzkości zasobami naturalnymi. I tak, w epoce kamiennej żelazo nie było zasobem naturalnym. W średniowieczu uran nie był zasobem naturalnym. Decydujące tu nie było występowanie danego związku, lecz uświadomienie sobie przez ludzkość jego zastosowania.

Po drugie, **ekonomie skali**. Używanie jednego rodzaju urządzenia społecznego lub gospodarczego w całym kraju zmniejsza koszt jego funkcjonowania. Jeśli każdy sąd w Polsce doręcza pisma procesowe w ten sam sposób, to każdy prawnik, komornik, świadek oraz pozwany lub oskarżony będzie wiedział lub dość łatwo dowie się, jak zachować się po otrzymaniu takiego pisma. Będzie tak się działo nawet, jeżeli obowiązujący sposób doręczeń za pomocą listów poleconych jest mało skuteczny i mało efektywny⁵. W Polsce, w przypadku dużych procesów, około 1/5 do 1/3 listów poleconych wysłanych za pierwszym razem wraca niedostarczona, a koszt listów poleconych wysyłanych przez sądy jest w wielu przypadkach wyższy niż zatrudnienie przez sąd własnych doręczycieli. Niestety, gdybyśmy chcieli wprowadzić anglosaskie rozwiązania pozwalające stronie procesu doręczać pisma procesowe lub wprowadzili doręczenia za pomocą licencjonowanych doręczycieli, wywołałoby to ogromne koszty przejściowe w postaci stworzenia nowego systemu doręczeń, nauczania uczestników procesów odpowiedniego postępowania oraz w pewnej ilości procesów braku skazania osób winnych lub skazania osób niewinnych z powodu przejściowej niewydolności nowego, a docelowego skuteczniejszego i efektywniejszego, sposobu doręczeń.

Po trzecie, **koszty utopione** (ang. *sunk costs*). Zadziałanie każdego urządzenia kulturowego i instytucjonalnego wymaga poniesienia kosztów, których w wypadku zmiany tego urządzenia nie odzyskamy. Typowym przykładem kosztu utopionego jest nauka pisania na klawiaturze. Sprawne pisanie na komputerze wymaga poświęcenia sporej ilości czasu na nabycie umiejętności pisania kilkoma palcami, bez patrzenia na klawiaturę. Tak się składa, że obecny układ klawiatury komputerowej – zwany QWERTY, od sześciu pierwszych liter w górnym rzędzie klawiszy literowych – powstał po to, by spowolnić tempo pisania na mechanicznych maszynach do pisania. Efekt ten został osiągnięty poprzez rozmieszczenie najczęściej wykorzystywanych liter⁶ w odległych od siebie miejscach na klawiaturze. Takie rozwiązanie było konieczne, ponieważ maszynistki piszące na pierwszych mechanicznych maszynach pisały zbyt szybko, czym powodowały zakleszczanie się elementów maszyny i długotrwałe

⁵ Skuteczność jest miarą osiągnięcia celu, natomiast efektywność jest miarą nakładów poniesionych dla osiągnięcia celu (na przykład ZSRR skutecznie walczył w II Wojnie Światowej, bo wygrał, ale zrobił to mało efektywnie, ponieważ poniósł ogromne straty).

⁶ Chodzi oczywiście o litery występujące w języku angielskim.

przerwy na jej odblokowanie. Jednak w dobie komputerów takie rozwiązanie powoduje ogromne straty czasu. Nikt nie przechodzi na znane ludzkości, efektywniejsze układy klawiatur, gdyż wymagałoby to zainwestowania wielu dni w przestawienie umiejętności pisania na nowy układ klawiatury.

Słowem, skuteczne zmiany społeczne często wymagają rewolucji, czyli hurtowego obalenia zastanego porządku kulturowo-instytucjonalnego i zastąpienia go nowym porządkiem. Rewolucjoniści, wbrew kulturowym przyzwyczajeniom swych współobywateli, wprowadzają nowy ład instytucjonalny i kulturalny. Na szczęście w Polsce dotychczas nie potrzebowaliśmy ani cromwellovskich purytanów, ani radykalnych patriotów amerykańskich, ani francuskich jakobinów, ani sowieckich bolszewików, by naruszyć kulturowo-instytucjonalne status quo sprzed roku 1989. Nasz system polityczno-społeczny był na tyle rozchwiany, że fundamentalne zmiany przeprowadzono bez obalania zastanego porządku instytucjonalnego, tworząc nowe instytucje w miejsce bankrutujących instytucji PRL-u. Nie niszczone często przywoływanych PGR-ów, one zbankrutowały.

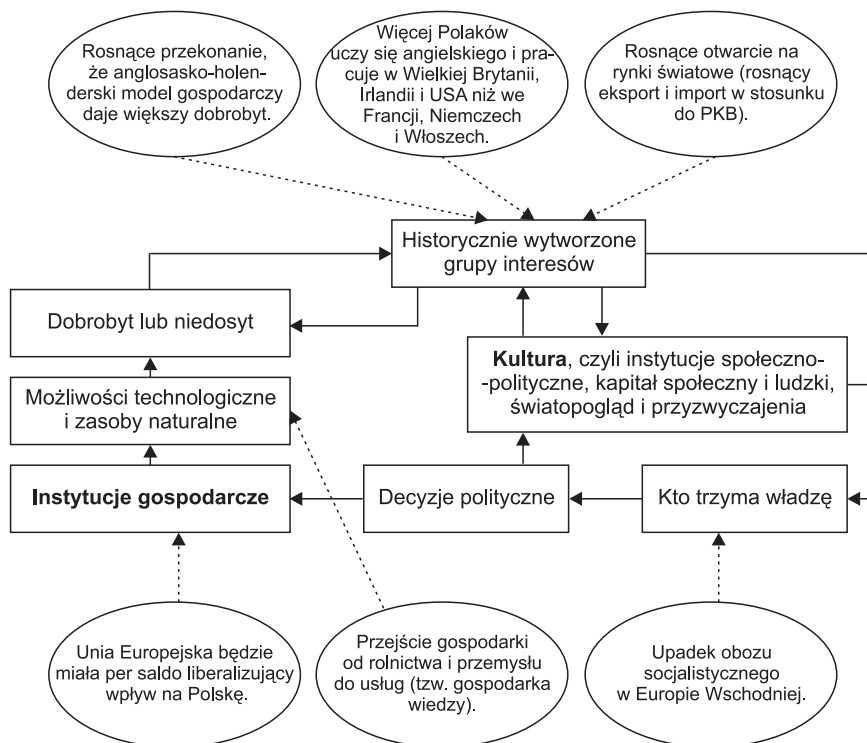
To naruszenie status quo zostało dokonane przez unikalny spłot egzogenicznych⁷ wydarzeń, z których główne to:

- bankructwo obozu socjalistycznego,
- przechodzenie od gospodarki rolniczo-przemysłowej do gospodarki opartej o usługi (tak zwana gospodarka oparta o wiedzę),
- rosnące przekonanie o tym, że anglosasko-holenderski model gospodarczy daje większy dobrobyt,
- liberalizujący wpływ Unii Europejskiej,
- masowe migracje młodych za pracę (wyprowadzili się z domu),
- wchodzenie sporej ilości młodych w dorosłe życie (jest ich dużo i sami dla siebie stanowią punkt odniesienia, z wapniakami mają styczność rzadziej niż ich starsi koledzy i koleżanki, których w relacji do całego społeczeństwa było mniej).

Powyższe wydarzenia to katastrofy, czyli silnie oddziałujące czynniki egzogeniczne, które zmieniły dotychczasową ścieżkę rozwoju układu dynamicznego w sposób radykalny i nieodwracalny. Nasze społeczeństwo (lub jego części) mogło się burzyć na skutki powyższych wydarzeń, ale nie było

⁷ Egzogeniczne, czyli zewnętrzne do systemu lub modelu. Tu chodzi o czynniki powstałe poza kontrolą naszej społeczności.

w stanie powstrzymać ich dostępnymi środkami. PRL zbankrutował i zanikły jego możliwości sprawcze. W jego miejsce modernizatorzy wstawili nowe instytucje. Czynniki, które zachwiały instytucjonalno-kulturowym status quo, mniej więcej równocześnie wpłynęły na kluczowe elementy naszego systemu społeczno-gospodarczego i były nie do zatrzymania przez Polaków:



I co teraz? Nie jest przesądzone, jaki będzie efekt tego pozytywnego szoku dla stabilnego dotąd systemu. Polska wypchnięta została z nieudacznego sowieckiego modelu rozwoju i po raz pierwszy od kilkuset lat ma luksus samodzielnego wyboru nowego modelu. Jednak Polacy nie są zgodni co do tego, jak powinien on wyglądać. Po początkowym okresie modernizacji na wzór anglosaski, wynikającej z przypadku, któremu na nazwisko Balcerowicz, Polacy upatrują szans Polski w dwóch różnych modelach rozwoju. Dla uproszczenia nazwiemy je angloamerykańskim oraz francusko-niemieckim. Nie będziemy tu rozwijać opisu obydwu modeli, pierwsze wrażenie każdego czytelnika zdefiniuje je wystarczająco poprawnie.

Czym powinni się zająć współcześni polscy modernizatorzy wobec pata pomiędzy zwolennikami dwóch modeli rozwoju? Na pytanie: „instytucje czy kultura?”, odpowiadamy zdecydowanie: jedno i drugie! Ale potem równie głośno dodajemy: czerpać raczej z doświadczeń anglosaskich niż francuskich lub niemieckich. A gdy już ucichnie wrzawa spowodowana hasłem amerykanizowania Polski, dodamy jeszcze: modernizatorzy muszą pamiętać, że we współczesnej demokracji bezpośrednia interwencja w fundamentalne normy i kody kulturowe jest ryzykowna dla władzy. Współczesna władza zarządza wspólnotą, której skuteczność i efektywność zależy w historycznie niespotykanej mierze od dobrej woli obywateli. Władza ma bezpośrednie przełożenie jedynie na instytucje oparte w prawie. Próba bezpośredniego przeobrażenia norm kulturowych przez władzę wbrew dużym grupom wyborców zaogni konflikty społeczne i doprowadzi do upadku modernizującej ekipy władzy. Zwiększy też ryzyko zmiany w drugą stronę przez kolejną ekipę rządzącą. Modernizująca władza może jedynie liczyć, że nowe bodźce wytworzone przez nowe instytucje z czasem spowodują powstanie nowych kodów i norm kulturowych.

Ponadto, modernizatorzy muszą pamiętać, że zmiany instytucjonalne, które nie są zakorzenione w kulturze, mogą być łatwo odwrócone, a trwałe okażą się jedynie te zmiany instytucjonalne, na straży których stoją oczekiwania społeczne. Na przykład powojenna stabilność niemieckiej marki (waluty) jest zazwyczaj przypisywana zapisanej w konstytucji RFN gwarancji niezależności Bundesbanku od niemieckich polityków. Jednak bardziej przenikliwi ekonomiści wiedzą, że jeśli trzeba, politycy mogą zmienić konstytucję, a prawdziwe źródła niezależności Bundesbanku leżą w traumie hiperinflacji, upadku republiki weimarskiej i dojściu Hitlera do władzy, które spowodowały, że powojenni Niemcy uznali stabilność waluty za jedną z narodowych konieczności.

Będąc wrażliwi na uwarunkowania kulturowe, modernizatorzy nie powinni dać się zmanipulować tezie, że każde działanie modernizacyjne musi uwzględniać wszystkie oczekiwania, wynikające jakoby z dotychczasowej kultury. Obecna architektura kultury i instytucji jest odzwierciedleniem historycznego bilansu siły w momencie ich powstawania. Głoszenie tezy o braku wrażliwości społecznej reformatorów jest w wielu sytuacjach manipulacją symboliczną, której celem jest stępienie siły poczynań modernizacyjnych.

Co ważniejsze, modernizatorzy muszą pamiętać, że zmiany instytucjonalne muszą być rzeczywiste (a więc dotyczyć również kultury i zachowań realnych), a nie tylko ustawowe i pokazowe. Dziś rynek i demokracja są w Polsce często niewydajne i niesprawiedliwe, ponieważ rynek nie jest do końca wolny, a nasza demokracja jest ułomna. W procesach modernizacyjnych jest to dość częste zjawisko. Niewydajne rozwiązania instytucjonalne, wyniesione z poprzedniego ustroju, mogą trwać w nowej postaci pod pozorem tworzenia nowych ustaw oraz przekazywania władzy nowym osobom. Działo się tak w przeszłości za granicą, dzieje się tak dziś i u nas:

- Zniesienie niewolnictwa na południu USA nie zniosło wykorzystywania taniej siły roboczej Murzynów, którzy pozbawieni byli większości praw formalnie im przyznanych.
- Rosjanie oddają głos w wyborach. Ale przy braku wolnych mediów i niezależnych partii opozycyjnych nie mają możliwości wyboru władzy.
- Powołanie Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumenta nie chroni nas przed najwyższymi w Europie cenami usług telekomunikacyjnych i wysokimi opłatami w bankach.

Poddanie się manipulacjom z gatunku zarzutów o brak wrażliwości społecznej oraz niezrozumienie kontekstu kulturowego będzie niebezpiecznym zatrzymaniem się w połowie drogi do wydajnych i sprawiedliwych instytucji. Niebezpiecznym, ponieważ połowiczne reformy tworzą suboptymalne status quo. Sprawiedliwy oraz sprawny rynek i demokracja nie są łatwe do osiągnięcia. Wymagają jednoczesnego zaistnienia kompletu instytucji z danego porządku instytucjonalnego. Modernizatorzy, którzy chcą odnieść sukces, muszą być jeszcze bardziej konsekwentni i uparci niż Balcerowicz. Tacy modernizatorzy, jak Luter, Kalwin, Cromwell czy Waszyngton nie są znani z uступliwości. Gdy trzeba było zachować spójność własnego obozu, potrafili być kulturowymi kunktatorami, jednak konsekwentnie dążyli do z góry założonego celu.

Jeżeli współcześni polscy modernizatorzy poprzestaną na niekompletnych instytucjach, stworzą ułomną demokrację oraz nieefektywny i niesprawiedliwy rynek. Modernizatorzy, którzy chcą ulżyć przedsiębiorcom, muszą pamiętać, że deregulacja przynosi największy wzrost gospodarczy w krajach o elastycznym prawie pracy. Modernizatorzy, którzy chcą usprawnić sądy, muszą pamiętać, że sfinansowanie przez podatników komputeryzacji

sądów będzie opłacalna tylko przy zmianie organizacji pracy sądów i procedur sądowych opisanych w prawie. Modernizatorzy, którzy chcą wprowadzić odpłatność za studia, która skończy dotowanie bogatych przez biednych (patrz tabela poniżej) oraz zwiększy nakłady na uczelnie, muszą pamiętać o stworzeniu rozsądnego systemu kredytów i grantów dla studentów.

Wydatki publiczne na edukację uniwersytecką w przeliczeniu na jednego uczącego się na miesiąc w podziale na kwintyle ⁸ dochodowe				
Rodziny biedniejsze → → → Rodziny bogatsze				
1	2	3	4	5
8 zł	17 zł	23 zł	35 zł	54 zł

Źródło: „Poland Toward a Fiscal Framework for Growth”, Jan 21, 2003, World Bank

Chcemy szybkiego przerobienia Polski z zapyziałego zaścianka na centrum kultury europejskiej, dlatego niniejszy tekst kończymy opisem czterech głównych wyzwań cywilizacyjnych, które stoją przed nami, Polakami, oraz propozycji zmian instytucjonalnych, które będą miały poważne konsekwencje społeczno-kulturowe.

Wyzwanie 1.: Jak przerobić poddanych na obywateli?

Demokracja i rynek rozsadzają XIX-wieczne i PRL-owskie wzorce zachowań. Obywatele przyzwyczajeni do miłej i sprawnej obsługi w sklepach, niektórych warsztatach usługowych oraz rosnącej liczbie urzędów oczekują tego samego od wszystkich urzędów państwa i samorządu. Coraz większa społeczność młodych i wykształconych Polaków, uważających się za obywateli, przekonana o swej godności osobistej, omija durne zakazy oraz żąda, by urzędnicy i politycy traktowali ich z szacunkiem należnym klientowi, którego pieniądze ich utrzymują.

Rolą modernizującego państwa jest stanąć po stronie obywateli. W tym celu państwo winno dać Polakom możliwość wybierania, popełniania błędów i uczenia się na własnych wyborach i błędach. Chodzi tu zwłaszcza o wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych (JOW) oraz przekazanie odpowiedzialności za szkolnictwo lokalnym wspólnotom obywateli.

⁸ Kwintyl – Część zbioru, która zawiera jedną piątą (łac. quintus – piąty) obserwacji zawartych w zbiorze. W pierwszym kwintylu znajduje się 1/5 najniższych obserwacji, a w piątym kwintylu znajduje się 1/5 najwyższych obserwacji.

1.1. Wprowadzić Jednomandatowe Okręgi Wyborcze. Ta zmiana instytucjonalna będzie miała istotne skutki kulturowe, społeczne i polityczne, które opisujemy poniżej w 10 punktach:

1.1.1. Będzie mniej partii

Każda partia, która wystawi w jednym okręgu więcej niż jednego kandydata, raczej przegra z partią, która wystawi tylko jednego kandydata. Jeżeli dwie partie podobne do siebie wystawią w jednym okręgu więcej niż jednego kandydata, przegrają wybory z partią mocno się od nich różniącą, która wystawi tylko jednego kandydata. Logika zasady „zwycięzca bierze wszystko” jest nieubłagalna i tworzy system z dwiema partiami dominującymi oraz jedną partią bardzo mocno mniejszościową. Partia mocno mniejszościowa w zasadzie się nie liczy i jest w stanie zdobyć władzę tylko w przypadku rozpadu jednej z dużych partii większościowych.

1.1.2. Więcej wyrazistych polityków

W każdym okręgu wyborczym JOW wymuszają zderzenie dwóch polityków z dwóch partii. W takiej sytuacji większe szanse mają wyraziści politycy typu Jan Rokita niż partyjni aparaczczyki. Do Sejmu wejdzie ten, kto jest lepiej rozpoznawalny i lepiej przekona do siebie lokalnych wyborców, a nie ten, kto jest lepszy w wewnątrzpartyjnych rozgrywkach oraz podlizywaniu się szefostwu partii. W JOW nie ma instytucji „pierwszego miejsca na liście”, która dość skutecznie chroni partyjną czołówkę i jej giermków przed gniewem wyborców. W tym systemie nawet szef partii ma możliwość przegrać wybory i znaleźć się poza parlamentem.

1.1.3. Polityka stanie się czytelniejsza, a programy ważniejsze

Kompromisy programowe dokonywane będą przed wyborami, a nie jak obecnie – po wyborach. Brak będzie możliwości zwalenia winy za brak realizacji programu na koalicjantów. Widoczne będą większe wahania w prowadzonej polityce. Socjaliści będą prowadzić politykę socjalistyczną, a liberałowie liberalną. Wszystkie środowiska polityczne, które adresują swą ofertę do podobnych grup wyborców, w przypadku wystawienia w jednym okręgu dwóch kandydatów, przegrają. Sprzyjać to będzie przedwyborczemu uspołnieniu stanowisk w kluczowych kwestiach i ignorowaniu mniej ważnych różnic. W rezultacie wyborcy dostaną w miarę jasne alternatywy. Co ważniejsze, znika partner koalicyjny jako wymówka uzasadniająca brak realizacji programu. Polityk nie będzie w stanie wymigiwać się, mówiąc przed wyborami „to jest nasz program, pod warunkiem, że koalicjant pozwoli nam

go realizować” lub „chcieliśmy realizować program, ale nie pozwolił nam koalicyjant”. Niezrealizowany program będzie wyraźnym oszukiwaniem wyborców. Polityka gospodarcza stanie się bardziej elastyczna. Podczas recesji wydatki państwa jako procent PKB wzrastają zarówno w krajach o systemie proporcjonalnym, jak i w krajach, gdzie istnieją JOW. Jednak tylko w krajach, w których są JOW, wydatki państwa jako procent PKB przejawiają tendencję spadkową po recesji.

1.1.4 Premier i rząd będą znani dzień po wyborach

Do ustalenia składu rządu nie będą potrzebne rozmowy koalicyjne. Zamiast po tygodniach, premiera i rząd poznamy w wieczór wyborczy lub najwyżej po kilku dniach potrzebnych na obliczenie głosów.

1.1.5. Polityka stanie się bardziej regionalna, a mniej ideologiczna

Ponieważ to wyborcy w konkretnym małym okręgu, a nie amorficzny elektorat z dużych okręgów, będą decydować o zwycięstwie poszczególnych kandydatów na władze, zyskają sprawy lokalne kosztem spraw ogólnonarodowo-ideologicznych. Wygrana będzie zależna od lokalnych wyborców, a nie od wpisania na listę przez szefów partii lub od ogólnokrajowych kampanii medialnych. Informacja o tym, że dany polityk przyczynił się do naprawy lokalnej drogi lub dofinansowania lokalnych szkół zyska na wadze w stosunku do informacji, że dany polityk jest za lub przeciw wielkim dylematom ideologicznym.

1.1.6 Lokalne media zyskają na znaczeniu

Ponieważ zwycięstwo wyborcze będzie decydować się w małych lokalnych okręgach, politycy zaczną zabiegać o przychylność lokalnych gazet i radiostacji. Dla ambitnego polityka lokalny *Goniec*, *Kurier*, *Nowiny* lub lokalna rozgłośnia radiowa zyska na znaczeniu w stosunku to „*Gazety Wyborczej*”, „*Dziennika*”, *TVP*, *TVN* i *Polsatu*. Nie jesteśmy cynikami, ale mamy pewność, że po wprowadzeniu JOW ustawodawstwo medialne oraz pieniądze inwestowane przez państwo w media staną się bardziej przyjazne dla lokalnych mediów.

1.1.7. Wynik wyborów rozstrzygać będą zazwyczaj okręgi nierozstrzygnięte

Geograficzne mateczniki partii i żelazne elektoraty stracą na znaczeniu. Zyskają wyborcy niezdecydowani oraz okręgi, w których żadna partia nie dominuje. Tam, gdzie jedna partia będzie w dużej przewadze, partii konkurencyjnej nie będzie opłacało się konkurować, a partii dominującej inwestować. Partie skoncentrują swoje wysiłki na tych okręgach, gdzie nie jest

jasne, która z nich wygra. Żelazne elektoraty będą w stanie skoncentrować uwagę na sobie tylko, gdy będą na tyle zorganizowane, że będą w stanie zagrozić swojej partii bojkotem zbliżających się wyborów. Na znaczeniu zyskają geograficznie skondensowane i dobrze zorganizowane mniejszości, zwłaszcza te, które skupią się w okręgach nierozstrzygniętych.

1.1.8. Spadną wydatki i podatki (bo nie trzeba będzie lepić koalicji)

Ponieważ w koalicji jest wielu graczy dysponujących wetem, naturalnym rozwiązaniem jest opłacanie przychylności partnerów koalicyjnych pieniędzmi podatkników. Koalicje oraz rządy koalicyjne są klejone wydatkami na wyborców, którzy wybrali koalicję, a zwłaszcza wydatkami na wyborców mniejszościowego partnera koalicyjnego. Po wprowadzeniu JOW polityka się zdecentralizuje. Zamiast wielkich koalicji zdyscyplinowanych przez szefostwo partii, będzie wielu wpływowych polityków reprezentujących wielość mniejszości, w tym mniejszości podatkników, którzy w małym stopniu korzystają ze zwiększenia wydatków.

1.1.9 Spadną wydatki na cele socjalne

O zwycięstwie decydować będzie mała liczba niezdecydowanych okręgów wyborczych. Dla polityków straci sens ustanawianie transferów społecznych obejmujących wielkie grupy wyborców. Będą oni raczej starali się wymyślić takie wydatki, na których skorzystają ich lokalni wyborcy.

1.1.10. Mniejsza rotacja polityków w Sejmie

Pod proporcjonalną ordynacją wyborczą w Sejmie funkcjonuje stała wąska grupa liderów oraz ciągle rotujące kadry szeregowych parlamentarzystów, którzy są wymiatani przy wahnięciu wahadła politycznych preferencji. Po wprowadzeniu JOW pojawi się sporo nowych polityków, ale w kolejnych wyborach będzie mniejsza rotacja niż pod ordynacją proporcjonalną. Wypróbowany polityk tworzy bariery wejścia w formie rozpoznawalności, które musi przebić nowy konkurent. Bariera ta będzie trudna do przebicia zwłaszcza w okręgach zdominowanych przez żelazny elektorat jednej lub drugiej partii.

1.2. Autonomia szkół

Należy odejść od szkoły jako narzędzia cywilizacyjnego, znajdującego się w rękach państwa, na rzecz szkoły rozumianej jako narzędzie realizacji potrzeb i marzeń lokalnych społeczności rodziców. W tym celu należy przekazać odpowiedzialność za szkoły lokalnym społecznościom. Tak rozumiana

autonomia umożliwi sprawne zarządzanie szkołami, a także pozwoli na odzwierciedlenie różnorodności opinii i przekonań obywateli w programach nauczania. Zarządzanie szkołami będzie sprawniejsze, bo środki i odpowiedzialność za decyzje znajdą się tam, gdzie są one rzeczywiście podejmowane i gdzie istnieją informacje potrzebne do ich podjęcia. Przy okazji zastąpimy debaty ideologiczne polityków z Warszawy możliwością edukowania dzieci zgodnie z przekonaniem lokalnych społeczności.

1.2.1. Oświata, pomimo reform z początku lat 90., jest silnie scentralizowana. Szczegółowe ustawy i rozporządzenia regulują każdy element działania szkoły. Ograniczają one autonomię dyrektorów i samorządów oraz wymuszają realizację nakazów państwa, przy jednoczesnej kontroli owej realizacji przez szkoły i samorządy. Szkoda na tę kontrolę czasu dyrektorów, nauczycieli i samorządowców. Należy ograniczyć nadzór wypełniania ustawowych wymogów. W jego miejsce rozwinąć lepiej analizę jakości nauczania. Należy zwiększyć rolę samorządów, przekazując im znaczną część uprawnień kuratoriów oraz decydujący głos (z prawem weta dla rodziców) w wyborze dyrektora szkoły. Kuratoria jako organ władzy państwowej należy zlikwidować i przenieść co najwyżej w prywatne firmy prowadzące wymagane przez prawo audyty placówek oświatowych.

1.2.2. Dyrektor musi stać się samodzielnym kierownikiem placówki, określającym jej budżet i plany rozwojowe. Prawa rodziców należy rozszerzyć przez utworzenie stałych społecznych organów szkoły (rady nadzorcze szkół), które będą naturalną lokalną przeciwwagą dla silnego dyrektora. Tego ostatniego, by stał się prawdziwym szefem, należy wyposażać w kompetencje zatrudniania i awansowania nauczycieli (zlikwidować biurokratyczny model awansu zawodowego nauczycieli) oraz ustalania płac, ilości godzin nauczania i innych warunków zatrudnienia (zlikwidować kartę nauczyciela).

Wyzwanie 2.: Jak spowodować, by Polskie szkoły uczyły samodzielnego myślenia i rozwiązywania problemów, a Polskie uniwersytety kształciły do pogoni za doskonałością, zamiast do pracy odtwórczej i pozorowanej?

2.1. W szkołach mierzyć umiejętność samodzielnego myślenia i rozwiązywania problemów

Jeżeli przekazemy szkoły lokalnym wspólnotom rodziców, państwo dysponować będzie tylko jednym narzędziem wpływu na treść nauczania –

standardowymi zewnętrznymi egzaminami. Owe egzaminy, zamiast rozliczać ze szczegółowej wiedzy o twórczości Adama Mickiewicza, winny sprawdzać poziom rozumienia twórczości i kontekstu historycznego dowolnego artysty, z dowolnego kraju i epoki.

2.2. Urynkować uniwersytety

W USA uniwersytety zakładały grupy obywateli, podczas gdy w Europie ich założycielami byli kościół oraz królowie lub administracja państwowa. W USA założyciele uniwersytetów chcieli wzmocnić własny region lub grupę społeczno-etniczno-religijną. Podczas gdy w Europie władze świeckie i kościelne chciały zapewnić sprawne i prawomysłne kadry dla swojej administracji. W USA uniwersytet jest zazwyczaj prywatną instytucją, a nawet jeśli jest instytucją publiczną, to konkuruje na rynku usług uniwersyteckich. Łudzimy się, jeśli myślimy, że edukację wyższą w Polsce naprawimy przy pomocy kolejnej ustawy o szkolnictwie wyższym naprawiającej jakiś fragment tej rzeczywistości. Tak jak nie ma jedyne go najlepszego samochodu, rodzaju chleba lub dachu nad głową, tak nie ma jednego, najlepszego modelu uniwersytetu. Jego tworzenie poprzez ustawę jest skazane na porażkę. Należy każdemu polskiemu uniwersytetowi pozwolić szukać własnej definicji uniwersytetu, bez zbędnej kontroli ze strony państwa.

Na następnej stronie przedstawiamy kilka najistotniejszych instytucjonalnych różnic, które składają się na przewagę wolnorynkowego modelu uniwersytetu nad upaństwowionym modelem uniwersytetu.

Różnice instytucjonalne pomiędzy polskimi a amerykańskimi uniwersytetami i ich konsekwencje społeczno-kulturalne			
	Polska	USA	Konsekwencje
Sposób rekrutacji studentów	Wysoce sformalizowany, liczą się przede wszystkim wyniki egzaminów maturalnych.	Dopuszcza szeroki wachlarz kryteriów (egzaminy, wypracowania z aplikacji na uniwersytet, osiągnięcia artystyczne i sportowe, pochodzenie społeczne)	(1) Uniwersytety amerykańskie w trosce o własny prestiż dokonują ostrej selekcji w oparciu o różnorodne kryteria (2) Uniwersytety polskie, w trosce o „obiektywizm”, podejmują decyzje w oparciu o ograniczoną liczbę sformalizowanych kryteriów (głównie wyniki egzaminów)
Sposób rekrutacji studentów c.d.	Na kierunek studiów (w większości krajów)	Na uniwersytet	(1) W Polsce istnieje nauczanie kierunkowe na poziomie szkół średnich, lub wręcz podział na szkoły średnie dla „przyszłych robotników” oraz „przyszłych inteligentów” (2) W USA przyjmuje się, że: młoda osoba idąca na uniwersytet nie musi dokonywać wyboru kariery, popyt danej osoby na nauczanie może się zmieniać z czasem.
Nauczanie przedmiotów pozakierunkowych	W małych ilościach i niedawno jeszcze ledwie tolerowane	Bardzo ważna część programu nauczania (głównie system major/minor)	(1) Na uniwersytetach amerykańskich około 1/4 przedmiotów, na które uczęszcza student, nie mają nic wspólnego z kierunkiem, na którym studiuje
Kto płaci za naukę?	Głównie podatnicy	Głównie uczący się	(1) Bezpłatne studia na państwowych uczelniach to dotowanie bogatych kosztem biednych. (2) Bezpłatne studia państwowe ułatwiają władzom kontrolę nad rynkiem edukacji.
Zasady nominacji profesorskich	Zazwyczaj państwo na mocy ustawy	Uniwersytety pod presją konkurencji	(1) W Polsce awansują głównie najmniej konfliktowi i znani najszerszemu gronu, w USA najlepsi wygrywają w konkurencji uczelni o najlepszych profesorów (2) Narzędzia do mierzenia jakości wykładowców akademickich (statystyka publikacji i cytowania publikacji, badania ankietowe wśród studentów) stworzono w USA
Płace profesorów	Dążenie do uśrednienia, oraz progresja z wiekiem	Konkurencja rynkowa	(1) W USA dobry, młody profesor może zarabiać kilkakrotnie więcej niż stary profesor (2) W Polsce młodzi naukowcy powszechnie dorabiają na boku
Budżety uniwersyteckie	Zasilanie głównie przez państwo	Zasilanie przez sektor prywatny i publiczny	(1) Uniwersytety amerykańskie dysponują wyższymi budżetami (2) Uniwersytety amerykańskie są mniej zależne od polityków

Wyzwanie 3.: Jak zapłacić za emerytury i leczenie wyżu demograficznego obecnych 50-latków bez podnoszenia podatków i wypchnięcia kolejnego miliona młodych Polaków na emigrację?⁹

3.1. Należy uczciwie policzyć zadłużenie państwa wobec obecnych i przyszłych pokoleń, tak by uwzględnić nie tylko formalnie wyemitowane zobowiązania, ale również zaciągnięte, choć niezaksięgowane zobowiązania państwa¹⁰. Jeżeli obiecaliśmy darmowe leczenie i emerytury żyjącym dziś obywatelom, to elementarna uczciwość wymaga oficjalnego szacunku kosztów wynikających z tych obietnic. Obywatelom należy się informacja, czy państwo polskie stać na wywiązanie się ze swych obietnic, czy też nie, oraz kto sfinansuje te obietnice. Bez takiego szacunku nie będzie możliwy sprawiedliwy podział kosztów świadczeń pomiędzy wszystkich Polaków.

3.2. Zlikwidować branżowe przywileje emerytalne. Do dziś funkcjonują i są rozwijane przywileje branżowe przyznawane przez słabnącą władzę PRL-u między innymi górnikom, hutnikom, kolejarzom i nauczycielom. Istotą tych przywilejów było przyznanie pracownikom wyżej wymienionych branż prawa do wcześniejszej emerytury na koszt przyszłych pokoleń. W rezultacie mamy w Polsce najmłodszych w Europie emerytów oraz najniższą w Europie stopę aktywności zawodowej dorosłej ludności. Za te przywileje płacą w wysokich podatkach dzisiejsi młodzi. Praca osoby bez dzieci (młodzi!) zarabiającej średnią krajową opodatkowana¹¹ jest w Polsce w wysokości 43,5%! Identyczna osoba w Wielkiej Brytanii oddaje fiskusowi tylko 33% swojego dochodu, a w Irlandii zaledwie 25%.

⁹ Więcej na ten temat w: „Starsi Polacy żyją na koszt młodszych Polaków – zarys zjawiska. Kto płaci za starzenie się społeczeństwa i marnotrawstwo PRL”, Paweł Dobrowolski, Instytut Sobieskiego, Warszawa, 1 czerwca 2006.

¹⁰ Państwo polskie zaciąga wiele zobowiązań, których nie ewidencjonuje w oficjalnej statystyce długu. Na przykład szacuje się, że przyznanie górnikom przywileju do wcześniejszych emerytur pociągnie za sobą na przestrzeni następnych 25 lat wydatek 75 miliardów złotych. Jednak w wyniku przyznania tego przywileju oficjalne zadłużenie państwa, choć emerytury górnicze to zobowiązanie ustawowo wymagalne, nie wzrosło ani o jeden grosz.

¹¹ Podatkami są zarówno podatek dochodowy, jak i składki na ZUS formalnie płacone przez pracowników i pracodawców, a w rzeczywistości wypracowane przez konkretnego pracownika.

3.3 W miarę szybko (na przykład w okresie 3–6 lat) **zrównać i podwyższyć wiek emerytalny** dla mężczyzn i kobiet do co najmniej 68. roku życia. Współcześnie żyjemy dłużej, więc i nasza praca nie powinna trwać tyle, ile trwała, gdy tworzone obecny system ubezpieczeń społecznych. Jeżeli dalej będziemy podwyższać podatki, by sfinansować emerytury i bezpłatne usługi medyczne, wypchniemy z Polski kolejne setki tysięcy młodych obywateli.

3.4. **Objąć wszystkich obywateli, w tym rolników, równym obowiązkiem podatkowym.** Albo jesteśmy społeczeństwem równoprawnych obywateli, albo dzielimy się na zawody i korporacje o różnej sile politycznej i różnych przywilejach. Należy też zauważyć, że odrębne podatki i ubezpieczenia tworzą błędne koło uzależnienia od nisko dochodowego rolnictwa. Z jednej strony, rolnicy uzyskują przywileje, ale z drugiej tworzone jest getto, które odbiera chęć i możliwości wyjścia z nieopłacalnej produkcji rolnej. Na przywilejach najbardziej korzystają bogaci i ustosunkowani, a zwłaszcza tak zwani latyfundiści, natomiast w rolniczym skansenie najbardziej cierpią biedni i młodzi pozbawieni atrakcyjnych perspektyw.

3.5. **Dokonać rzeczowej reformy służby zdrowia.** Oznacza to: wprowadzenie powszechnego współpłacenia w publicznej służbie zdrowia, zdefiniowanie koszyka świadczeń nieobjętych pakietem „bezpłatnym” oraz wprowadzenie dodatkowych, dobrowolnych ubezpieczeń zdrowotnych. Dzięki tym rozwiązaniom popyt na „bezpłatne” świadczenia w ochronie zdrowia zostanie zrationalizowany, a ochrona zdrowia zacznie proces wewnętrznej restrukturyzacji, tak aby do popytu na usługi dostosować również podaż tych usług po cenie, na jaką stać państwo i Polaków.

Wyzwanie 4.: Jak zbudować wspólnotę kultury, w której zamiast cierpiętnictwa i cierpienia, martyrologii, rocznic przegranych bitew i wojen, autorytetów (choć żywych, to już odlanych z brązu), będziemy szczyć się narodowym panteonem wygranych bitew, zwykłych ludzi szczęśliwych i skutecznych w swej codzienności oraz świetnych ekspertów z ciekawymi, ale podlegającymi krytyce pomysłami?

Bardziej czujemy niż wiemy, że wzorce zachowań zakodowane w nasze kulturze i obecnie propagowanej wersji naszej historii przestały być użyteczne. Nie wiemy, jak narody zmieniają swoje mity założycielskie i uznawaną

wersję swej historii. Czujemy jednak, że stare mity już nam dobrze nie służą i że nadszedł czas, w którym potrzebujemy nowej kultury i nowych mitów.

Skąd to poczucie potrzeby zmiany naszej kultury? Pracując w USA i Wielkiej Brytanii za swoje sukcesy byliśmy szanowani i podziwiani, a w Polsce z tego samego powodu byliśmy traktowani podejrzliwie i z pogardą. Pracując ciężko i konsekwentnie dążąc do sukcesu tam, byliśmy wspomagani przez otoczenie, tu zaś często jesteśmy traktowani jak dziwacy lub jednostki podejrzane. Gdy za granicą uprawiamy regularnie sport, uznawani jesteśmy za jednostki pozytywne, w Polsce sąsiedzi pytają się nas, czy przypadkiem lekarz nie kazał nam ćwiczyć codziennie z powodu choroby. Dość mamy ponurych świąt z okazji klęsk narodowych, celebrowanych w deszczu przez najwyższe władze państwowe, zagranicznych dygnitarzy, hierarchów kościelnych i stojącą na uboczu małą garstkę zwykłych obywateli. Wolimy 15 lipca w słońcu i atmosferze pikniku, w gronie kilkudziesięciu tysięcy Polaków brać udział w odtworzeniu bitwy pod Grunwaldem, zorganizowanym dla nas, a nie dla oficjeli.

*dr hab. Aleksander Surdej**

O sposobie budowania sprawnego państwa

I. Wstęp

Rzadko kto nie skarży się w Polsce na funkcjonowanie administracji państwowej i ogólnie na „jakość rządzenia”. Obietnice wprowadzenia reform, które uczynią działania państwa bardziej efektywnymi, pojawiają się w czasie kampanii wyborczych, a debata na temat przyczyn nieefektywności działań administracji państwowej ożywia się albo przy okazji klęsk naturalnych o wielkich rozmiarach, albo w sytuacji ujawnienia marnotrawstwa w działaniach osób i instytucji publicznych. Wtedy to przypominany jest Norwidowy lament nad niezdolnością Polaków do organizowania się we wspólnotę polityczną, jaką jest państwo.

Deбаты publiczne na temat jakości funkcjonowania polskiej administracji centralnej i lokalnej prowadzone są przy użyciu literackich metafor, bądź też w ogniu ideologicznych lub partyjnych sporów. Na skutek tego sprowadzają się one do szukania zasług lub win kolejnych rządów w naprawie lub psuciu państwa i zmuszają uczestników do sytuowania się wobec podziałów ideologicznych bądź partyjnych.

*Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie

Nic dziwnego, że wartość analityczna i praktyczna użyteczność wniosków płynących z takich debat jest niewielka, że nie są one przekładalne na propozycje konkretnych przedsięwzięć naprawczych, a czasami odwracają nawet uwagę od możliwych i stosunkowo łatwych do wdrożenia działań, które mogłyby przynieść poprawę efektywności funkcjonowania administracji, jeśli nie w skali całego państwa, to przynajmniej na poziomie poszczególnych jednostek organizacyjnych.

Stan państwa można z ekonomicznego punktu widzenia przedstawić jako rezultat oddziaływania popytu i podaży. Popyt to oczekiwania ludzi wobec państwa, wyobrażenia co do pożądanego zakresu jego odpowiedzialności i form działania. Popyt można badać, pytając ludzi, czym ma się zajmować państwo, a także obserwując faktyczne zachowania ludzi (czy rzeczywiście czekają na interwencję państwa). Podaż to w parlamentarnym systemie politycznym oferta partii politycznych i ich elit – oferta zależna od ich koncepcji państwa, a także od nieusuwalnej gry interesów, która jeśli nie jest ujęta w odpowiednie ramy instytucjonalne, prowadzi do wystąpienia nieuchronnej rozbieżności pomiędzy deklarowanymi a uzyskiwanymi skutkami rządzenia.

Wprawdzie demokratyczna retoryka sugeruje, że to popyt (wybory obywateli) ma decydujące znaczenie dla kształtu i jakości państwa, ale istnieją silne empiryczne wskazania na rzecz tezy o dominacji podaży, gdyż praktyczna realizacja programów politycznych i selekcja wykonawców jest w rękach aparatów partyjnych. W dalszej części tekstu podejmę analizę wybranych czynników wpływających na „jakość rządzenia”. Choć część z nich niewątpliwie odnosi się do cech obywateli, których poparcia szukają partie, to zdecydowana większość wskazuje na problemy podaży, czyli cechy elit władzy oraz mechanizmów selekcji programów politycznych i ich praktycznego wdrażania.

II. Państwo jako narzędzie politycznego panowania a państwo jako dostawca dóbr i usług publicznych

U podstaw rozdzwisku w ocenie sposobu funkcjonowania państwa znajdować się może rozbieżność pomiędzy rozumieniem państwa jako narzędzia panowania politycznego a koncepcją państwa jako organizacji służącej poprawie dobrobytu obywateli poprzez dostarczanie dóbr i usług, których nie zapewniają podmioty rynkowe. Orientacja na panowanie przejawia się

w działaniach, które „do wewnątrz” i „na zewnątrz” skupiają się na wzmacnianiu władzy niejako dla samej władzy. Instrumentami panowania są zasoby państwa. Stanowiska publiczne stają się łupami politycznymi, kontrola polityczna zaś do tego stopnia zyskuje na ważności, że z pola widzenia władzy znika kwestia efektywności ekonomicznej i dobrobytu obywateli.

Czasowa emigracja zarobkowa pozwala młodym Polakom doświadczać jakości usług publicznych w wysokorozwiniętych państwach Unii Europejskiej. Po powrocie domagać się będą lepszej organizacji tych, a nie władczych funkcji państwa. Jest to prognoza optymistyczna.

III. Etatyzm egalitaryzujący

Zadowolenie życiowe ludzi jest funkcją nie tylko indywidualnej oceny stopnia realizacji własnych celów, lecz także skutkiem porównań z innymi ludźmi. Niekiedy twierdzi się nawet, że większości ludzi chodzi o to, aby mieć więcej lub niemniej niż mają inni, niezależnie od wielkości i zmian własnego dochodu i majątku. Niewątpliwie wielu ludzi, szczególnie umiejętnie manipulowanych, skupia się na porównaniach skutków transformacji dla siebie ze skutkami dla innych, w wyniku czego odczuwa frustrację i niezadowolenie. Odwołujący się do nich politycy argumentują, że należy wstrzymać poprawiające efektywność gospodarowania zmiany, w tym głównie prywatyzację sektora usług publicznych, gdyż przyniesie ona zyski dla inwestorów i nowych właścicieli, zapominając dodać, że korzyść w postaci wzrostu jakości oraz dostępności usług stanie się udziałem wielu. Upowszechnienie opinii, że nie liczy się wzrost ekonomicznej efektywności, byle tylko nie zarobili inni, jest być może najgorszym dziedzictwem, jakie rządy zostawiają swoim następcom. Ludzie jednak zmieniają opinie i postawy dzięki napływowi nowych informacji i doświadczeń. Potrzebna jest więc konsekwentna akcja edukacyjna, której owocem stanie się zrozumienie, że tylko wzrost efektywności umożliwia szerszą redystrybucję, natomiast redystrybucja w sytuacji utrwalonej niskiej efektywności kończy się generowaniem niedoborów.

IV. Obfitość informacji i wzrost poziomu wykształcenia wymagają zmian systemu ochrony zdrowia

O wielu politykach publicznych można mówić w perspektywie ryzyka, które państwo chce mitygować. Jeśli pojawia się ryzyko, to analizować należy

sposoby ubezpieczania się od niego. Powszechne, czyli obowiązkowe i nie różnicujące sytuacji jednostek systemy ubezpieczeń państwowych (takie jak ubezpieczenia zdrowotne) stają się mało wydolne, gdyż obiecują ubezpieczenie każdego od wszystkich możliwych ryzyk. W przeszłości systemy takie funkcjonowały ze względnym powodzeniem dzięki temu, że proklamowana (jawna) nieograniczoność dostępu w praktyce stawała się faktycznym dostępem selektywnym (dla wybranych). Owa *de facto* selekcja była ułatwiona przez to, że wielu obywateli nie posiadało informacji na temat tego, co im przysługuje, albo też zdolności do zrozumienia tej informacji. Sytuacja ta uległa znacznej zmianie dzięki wzrostowi wykształcenia obywateli oraz ułatwionej przez Internet dostępności do informacji. Dzisiaj obywatele, także pod wpływem akcji marketingowych firm farmaceutycznych, wiedzą czego mogą się domagać od państwowego systemu ochrony zdrowia, a wobec nieokreśloności zobowiązań państwa mogą się domagać wiele. Wiedzą także, jakie nowe i na ogół droższe leki mogą zwiększyć prawdopodobieństwo wyleczenia i domagają się umieszczenia ich na liście leków refundowanych, tworząc silną presję na wzrost wydatków państwa. Wobec tych fundamentalnych i nieodwracalnych przemian utrzymywanie dotychczasowego systemu ochrony zdrowia w Polsce prowadzi do rosnącej liczby konfliktów społecznych i politycznych oraz do nieefektywnego rozwiązywania problemu zróżnicowania preferencji grup społecznych co do sposobów radzenia sobie z ryzykiem zdrowotnym. Niezbędne reformy systemu ochrony zdrowia powinny więc zwiększać rolę rynków ubezpieczeń, prywatnych ubezpieczycieli i prywatnych dostawców usług medycznych.

V. Rynkowe nie znaczy antywspólnotowe

Jest niefortunne, że w polskiej debacie publicznej słowo „urynkowanie” jest uznawane za synonim działania o skutkach antyspołecznych lub antywspólnotowych. Prospołeczność gospodarki rynkowej polega na tym, że pozwala ona na efektywne zaspokajanie różnorodnych potrzeb oraz na respektowanie wartości niebędących przedmiotem wymiany rynkowej, takich jak życie ludzkie, wartości kultury czy różnorodność świata przyrody. Słowo „pozwała” podkreśla pewien indeterminizm skutków gospodarki rynkowej. Sam mechanizm rynkowy jest bowiem osadzony w kontekście kulturowym, który go modyfikuje i nadaje mniej lub bardziej wspólnotową orientację.

Dostrzeżenie wspólnotowego i solidarnościowego potencjału gospodarki rynkowej nie jest niczym zaskakującym, gdyż podział pracy i rozwój rynków

zawsze tworzą okazje dla ubogacających dobrowolnych wymian, które są często inną nazwą dla wzajemnego obdarowywania się. Dobrze wiedzą o tym ci, którzy o gospodarowaniu piszą jako o procesie budowania obopólnych korzyści (win-win strategy).

Wspomnieliśmy już wcześniej, że rozwiązania rynkowe, często utożsamiane z rozwiązaniami liberalnymi, są niezbędnym warunkiem efektywności gospodarczej oraz wzrostu społecznego dobrobytu. Należy zauważyć, że tam gdzie nie ma rynku, a więc podaży dóbr i usług przez liczne i własnościowo autonomiczne podmioty, tam nie jest możliwa adekwatna wycena kosztów, w tym także wycena kosztów procedur medycznych. Bez spełnienia tego warunku próby stworzenia systemu cen quasi-rynkowych w zmonopolizowanym i upaństwowionym systemie mają takie same szanse na ekonomiczną racjonalność, jak system cenowy w gospodarce sowieckiej. Taka wiedza wymaga upowszechnienia.

VI. Wybór instrumentów interwencji państwa

Jeśli poprawna analiza kosztów i korzyści, niesprawności rynku i niesprawności państwa prowadzi do wniosku, że interwencja państwa jest niezbędna, to istotne jest, aby prowadzona była ona przy pomocy najbardziej efektywnych instrumentów. Efektywność instrumentów zależy z kolei od cech ludzi i potencjału organizacji rynkowych. Posłużmy się kilkoma przykładami wyjaśniającymi ową współzależność. Jeśli ludzie są nieświadomi szkodliwości podejmowanych przez siebie działań, a żadna akcja edukacyjna prawdopodobnie tego nie zmieni, to istnieje silna przesłanka na rzecz mocnej, paternalistycznej interwencji państwa, najlepiej przy pomocy administracyjnego zakazu. Tak postępują wychowawcy wobec dzieci, zakazując i nakazując w przekonaniu, że te uzasadnienia nie rozumieją, a więc i nie potrzebują. Jak wiele sytuacji tego typu można zidentyfikować we współczesnej Polsce? Jak wiele problemów można w ten sposób rozwiązać? Stawiam uzasadnioną tezę, że nie wiele.

Wpływanie na wybory ludzi poprzez informację lepiej służy osiąganiu zbiorowych celów niż rozbudowywanie administracyjnej kontroli.

VII. Ocena regulacji: liczenie rozproszonych kosztów

We współczesnym świecie rząd wydaje regulacje, lecz cała reszta dzieje się w gospodarce prywatnej – takie stwierdzenie wskazuje, że:

a) współczesne państwa oddziałują na życie gospodarcze i społeczne bardziej poprzez regulacje niż poprzez wydatki,

b) istotne staje się uwzględnienie „niewidocznych” i rozproszonych (w przeciwieństwie do jawnych) kosztów budżetowych.

Analiza polityk publicznych pozwala dostrzec, że źle zaprojektowane instytucje regulacyjne i nieefektywny sposób ich działania nakładają na obywateli zbyt wielkie koszty. Obywatele mogą odczuwać uciążliwość i skarżyć się na problemy biurokracji, gdy zmuszeni są czekać w kolejce po wydanie dowodu. Nie są jednakże w stanie dostrzec problemu nieefektywnej regulacji rynku produktów i usług (stąd słabe zrozumienie znaczenia urzędu ochrony konkurencji i konsumenta). Jest to zadanie dla ekspertów i ośrodków badawczych!

VIII. Praca dla państwa: administracja publiczna – zasady zatrudniania

Państwo to jednak nie tylko konstrukcja instytucjonalna i reguły działania, ale i personel administracji. Dla sprawności państwa, oprócz liczebności administracji i zasad jej wynagradzania, kluczową kwestią są zasady rekrutacji do zawodu urzędnika oraz stopień prawnej ochrony zatrudnienia.

Nowoczesne państwo potrzebuje personelu, który jest profesjonalnie kompetentny, zdolny do przejawiania inicjatywy, a w swoim działaniu nie podlega krótkookresowej presji partyjnych interesów. Wysokie kompetencje oraz zdolność do prowadzenia autonomicznych działań są szczególnie ważne, gdy jak w przypadku znacznej części urzędników państw członkowskich Unii Europejskiej, działają oni w złożonym, otwartym i międzynarodowym środowisku, zwanym także „europejską przestrzenią administracyjną” – funkcjonują więc niejako poza krajową hierarchią administracyjną.

W Polsce proces ten daleki jest od zakończenia i bardzo wyraźnie widać to na przykładzie walki o polityczną kontrolę nad służbą cywilną. Reguły zatrudniania w sektorze administracji rządowej służą do generowania krótkookresowych korzyści politycznych. w rezultacie nie powstał w Polsce stabilny korpus urzędniczy, który spełniałby warunki apolityczności i wysokich kwalifikacji. Ekonomiczne konsekwencje tego stanu rzeczy są istotne, choć trudno policzalne. Zadanie budowania „administracji regulacyjnej”, takiej która posiada świadomość ekonomicznych (w przeciwieństwie do władczych) konsekwencji swoich działań, takiej która umie korzystać z nowoczesnych metodologii służących identyfikacji i kwantyfikacji tych

kosztów oraz która wdraża ustanowione regulacje w sposób minimalizujący ich koszty ekonomiczne, jest jak się wydaje jednym z najważniejszych zadań w modernizacji funkcjonowania polskiego państwa.

IX. Zakończenie: sprawność państwa – ludzie i instytucje

W tym krótkim tekście dowodziłem, że sprawność państwa zależy od stopnia dostosowania jego projektu instytucjonalnego do cech obywateli oraz warunków działania w świecie otwartej i intensywnej komunikacji. Nieefektywną odpowiedzią polityczną jest projekt instytucjonalny przypisujący Polakom cechy, których nie posiadają. Nieskuteczny jest projekt instytucjonalny, który wychodzi z założenia, że rząd może, w imię proklamowanych przez siebie celów, skutecznie wymuszać zmiany, tak jakby działał w zamkniętym i izolowanym społeczeństwie. Atrakcyjność państwa polskiego dla Polaków zależy od jakości projektu instytucjonalnego, który popularyzują i wdrażają elity.

*dr Krzysztof Szczerski**

Modernizacja, instytucje państwa i polityka

Polska potrzebuje polityki. Państwo polskie potrzebuje planu głównego, który wyznaczyłby kierunek ewolucji naszej wspólnoty politycznej. Pojęcie „ewolucja” nie jest bynajmniej jednoznaczne z pojęciem „modernizacji”, wręcz odwrotnie – nieco prowokacyjnie twierdzę, że dla wypracowania „planu głównego” polska polityka powinna porzucić kilka ze swoich dotychczasowych obsesji, z których jedną jest bezwzględnie rozumiany, jednowymiarowy przymus modernizacyjny. Nie jest on bowiem tak naturalny, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać, lecz jest wynikiem zdominowania dyskusji o potrzebnych zmianach w Polsce przez tak zwany dyskurs transformacyjny. Dyskurs ten czerpie swą energię z rzeczywistych potrzeb modernizacyjnych dotyczących pilnej potrzeby przekształcenia struktury zarządzania państwem oraz jest wspomagany przez, dominujący w kształtowaniu sfery publicznej, wpływ mediów. Należy jednak pamiętać, że „polityka”, którą powinna uprawiać wspólnota polityczna, aby być żywotnym organizmem, to nie tylko kwestia zarządzania instytucjami, a już na pewno nie jest nią ułomnie skonstruowany obszar rynku medialnego. Wspólnota polityczna powinna być przede wszystkim świadoma swojej własnej tożsamości, celów, ambicji i ładu spajającego ją w jedność. Temu służy

*Uniwersytet Jagielloński.

debata w długim horyzoncie czasu, długie trwanie wspólnoty i dorozumiany dla niej „plan główny”. Plan główny bowiem to nie tylko obowiązek postępu, jednowektorowej naprawy, usilnego dążenia do odkrycia klucza do nowoczesności. Plan główny to przede wszystkim odpowiedź na pytanie, co jest istotą polskiej wspólnoty politycznej, jaki jest samoistny mechanizm „polskiego politykowania”, co decyduje o żywotności naszej sfery publicznej.

Modernizacji nie należy zatem mylić z porządkiem ewolucji wspólnoty politycznej. Modernizacja jest dziś ze wszech miar pożądanym zjawiskiem, ale nie jako projekt zastępczy wobec planu głównego. Potencjał narodzin „planu głównego” tkwi bowiem poza strukturami zarządzania polityką. Natomiast to ich zadaniem jest właśnie przepracowanie wysiłku modernizacyjnego. W tym sensie należy odróżnić tradycyjne pojęcie „polityki”, które powinno powrócić do naszego myślenia o Polsce, od zarządzania polityką, które uprawia się dzisiaj w strukturach państwa.

Dzisiejszy świat decydowania politycznego, funkcjonujący w systemie wielokrotnie złożonych wzajemnych zależności między płaszczyzną polityki, gospodarki, mediów czy świata społecznego, jednoczesnego generalnego rozproszenia i punktowego chaotycznego, spontanicznego skupiania się wiedzy, instrumentów decydowania oraz materialnych środków oddziaływania na rzeczywistość, uniemożliwia rządzącym stworzenie spójnej wizji ładu politycznego, uniemożliwia im odkrycie „zasady pierwszej” systemu, w którym przyszło im samym funkcjonować. Odkrycie tego smutnego paradoksu jest jednym z większych rozczarowań każdego, kto sięga po władzę z potencjalnym planem zmiany. Współczesny model prowadzenia polityki w państwie można bowiem nazwać „zarządzaniem dla równowagi”, to znaczy jego zasadniczym celem jest usilne dążenie do uzyskania stabilności poprzez odnajdywanie punktów wewnętrznej równowagi w systemie (pomiędzy sprzecznymi interesami, wieloma płaszczyznami działań) i próba zbudowania z tych pojedynczych punktów jakiegoś ogólnego schematu – „konstelacji punktów oparcia”, które powiązane ze sobą w całości będą w stanie zachować ową stabilność. Tym samym tworzą się, niespodziewane dla decydentów, powiązania pomiędzy koniecznością rozwiązania konfliktu wokół strajku pielęgniarek z losem negocjacji o nowym traktacie europejskim i potrzebą zmniejszenia pomocy publicznej dla stoczni. Znajdując się w takim porządku decyzyjnym, zarządzający polityką państwa po pierwsze nie są w stanie podjąć realnego wysiłku określenia docelowego modelu ewolucji wspólnoty politycznej, a po drugie nie powinni tego czynić. Pierwsze wynika z prostego

spostrzeżenia, iż cel polityki równowagi jest „wsobny”, to znaczy ogranicza się do zastanego zestawu instrumentów i skierowany jest ku ich optymalizacji, a gdy wykracza poza dotychczasowy schemat, to tylko po to, by znaleźć nowy punkt zaczepienia, który stanowiłby ośrodek równowagi dla tych już istniejących, a zatem zawsze będzie on powiązany z ograniczeniami obecnego stanu. W tym sensie nawet najbardziej odważne reformy polityczne w większości przypadków są „wykroczeniem poza schemat”, po to, aby do niego powrócić w nowej konstelacji równowagi. Przypominają rozwiązanie starej łamigłówki, w której połączenie sześciu punktów czterema liniami jest możliwe tylko wtedy gdy wykroczy się poza ich obręb, ale zawsze to one stanowią w efekcie układ odniesienia. Równocześnie ośrodki prowadzące bieżące zarządzanie polityką powinny przede wszystkim wypracować zdolności do „wybalansowywania systemu politycznego”, a zatem z natury swej zmuszone są do prowadzenia działań płynnych, elastycznych, zarządzając konfliktem, chaosem i rozbieżnością postrzeganymi jako stany normalne i źródło energii dla systemu, a nie jako patologie. Trzecim argumentem przeciwko oddaniu instytucjom państwa zadania wypracowania „planu głównego” dla wspólnoty politycznej jest fakt, że modernizacja w obszarze instytucjonalnym (na przykład Polski - czyli kraju o słabym zakorzenieniu i okrzepnięciu struktury państwa) musi odbywać się przede wszystkim poprzez proces adaptacji do rozwiązań po części także wymuszanych przez inne systemy (gospodarka, ład międzynarodowy), stąd niski poziom innowacyjności tak niezbędnej dla wypracowania samodzielnego planu głównego wspólnoty politycznej.

Zarządzanie polityką w państwie współczesnym, nadto silnie zintegrowanym z otoczeniem (Unia Europejska), nie może opierać się na skupieniu centrum decyzyjnego w „ośrodku dyspozycji politycznej”, z równoczesnym założeniem, że celami decydowania politycznego są: zgoda, jednolitość, porządek i długotrwałość. Celami są: zmienna równowaga (*sustainability*), maksymalizacja wykorzystania przejściowych źródeł energii, zabezpieczenie strategicznych zasobów struktury (opanowanie jak największej ilości punktów równowagi), umiejętność elastycznego oddziaływania z otoczeniem. Ww takich warunkach nie powstają założenia wspólnoty politycznej. Jednocześnie jednak uzyskanie zdolności do takiego zarządzania polityką to dzisiaj główne wyzwanie modernizacyjne państwa polskiego. A to dlatego, że nie należy popełniać błędu *qui pro quo*, polegającego na tym, że tęskniąc za czasami, gdy instytucje państwa były zdolne do definiowania polityki (a nie

tylko zarządzania polityką), odrzucimy modernizację ich struktury. Należy pogodzić się z nową rolą „rządu” i tak go zmodernizować, aby był skuteczny w wypełnianiu zadania prowadzenia polityki. W tym celu system państwa polskiego musi przejść modernizację w kierunku „czułego państwa” (to znaczy zdolnego do reagowania z otoczeniem), czyli modelu instytucjonalnego, który jest w stanie realizować wspomniane powyżej cele.

Drugą sferą, z którą niekiedy wiąże się nadzieje na wypracowanie planu politycznego dla wspólnoty, jest obszar mediów jako nośnika debaty publicznej. Czyni się to w przekonaniu, że współczesny *demos* to „lud debatujący”, żyjący w globalnej wiosce, w której komunikację zarówno w sensie przekazu, jak i kodu porozumiewania się zapewnia świat elektronicznych mediów i Internetu. Globalna wioska zastąpić ma starożytną agorę, gwarantując jednocześnie niespotykaną dotąd demokratyzację uczestnictwa poprzez zrównanie w podmiotowości wszystkich uczestników forum. Jest ona także utożsamiana z pojęciem nowoczesności, a zatem dążenie do niej jest aktem modernizacji. W moim przekonaniu oczekiwanie, że świat komunikacji medialnej może stać się miejscem tworzenia polityki jest błędne. Po pierwsze, wbrew przedstawionej powyżej powszechnej opinii, jest to sfera silnie zhierarchizowana, której otwartość jest pozorna. Po drugie, jest to sfera, gdzie podstawowym narzędziem stratyfikacji są zasoby materialne, czyli działa w logice innej niż polityka (wartość oznacza w niej cenę, podczas gdy w polityce wartość oznacza cnotę – *virtu*). Po trzecie, jest to sfera, gdzie modernizacja wyznaczana jest przez technikę, za którą nie zawsze idzie odpowiedni poziom refleksji, czyli nie spełnia ona kryterium humanistycznego. Po czwarte, jest to sfera manipulacyjna, to znaczy istotą jej porządku jest wykorzystanie różnicy pozycji pomiędzy nadawcą i odbiorcą działania nie w celu służebnym, tylko zgodnym z logiką całej sfery (zysk). Po piąte, jest to sfera nie-realizmu, w której treść jest tożsama z jej przekazem, to znaczy opiera się na przewadze formy i tym samym sprowadza świat do jego obrazu lub opowieści o nim, niwelując tym samym możliwość dotarcia do rzeczywistości. Po szóste, jest to sfera „krótkiej perspektywy”, w której czas zostaje zawężony do minimum, a żywotność pojedynczych faktów, idei, celów jest wielce przejściowa. Nadto należy pamiętać, że ta sfera – podobnie jak wcześniej opisywany świat zarządzania polityką – w procesie modernizacji także preferuje metodę nieadekwatną dla wypracowania planu głównego,

a mianowicie – w tym przypadku – metodę imitacji i naśladownictwa. Media to królestwo tak zwanych formatów, a wspólnota polityczna to zawsze samoistność, czyli coś dokładnie odwrotnego.

Jak wynika z powyższych rozważań, projekt planu głównego polityki może zrodzić się jedynie w takiej sferze, która charakteryzowałaby się cechami odmiennymi od sfery zarządzania polityką i świata mediów, a zatem byłaby: spójnościowa, dążąca do ładu i zgody, długotrwała, realistyczna, oceniająca wedle pojęcia cnoty publicznej, otwarta. Nie może w niej dominować ani adaptacja, ani imitacja, tylko samodzielność i przywództwo. Taką sferę należy w Polsce pilnie odbudować, jeśli chcemy ponownie uprawiać tu politykę. Tą sferą jest naród obywatelski. Jest to warunkiem powodzenia modernizacji zarządzania polityką i odpowiedniego służebnego umiejscowienia mediów, jako efektu tejże modernizacji, a nie jej synonimu.

**RADA PROGRAMOWA
POLSKIEGO FORUM OBYWATELSKIEGO**

Maciej Witucki, Prezes Zarządu, Telekomunikacja Polska S.A. – *Przewodniczący Rady Programowej*

Sławomir Lachowski, Prezes Zarządu, BRE Bank S.A. – *Wiceprzewodniczący Rady Programowej*

ks. Andrzej Augustyński, Przewodniczący Stowarzyszenia „U Siemachy”, Kraków
Edwin Bendyk, Polityka

Marek Darecki, Prezes Zarządu, WSK PZL – Rzeszów S.A.

Stefan Dunin-Wąsowicz, Associate Director, BPI Polska Sp. z o.o.

prof. Mirosława Grabowska, Uniwersytet Warszawski

Bogusław Grabowski, Prezes Zarządu, PTE Skarbiec S.A.

dr Maciej Grabowski, Wiceprezes, Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową

prof. Andrzej Jajszczyk, Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie

Mirosław Lech, Przewodniczący Związku Gmin Wiejskich Województwa
Podlaskiego

Anna Machalica-Pułtorak, Prezes, Stowarzyszenie „Otwarte Drzwi”

Wojciech Pytel, IBM Polska Sp. z o.o.

Witold Radwański, Prezes Zarządu, Krokus Private Equity Sp. z o.o.

Maria Rogaczewska, Zakład Kapitału Społecznego, Uniwersytet Warszawski

Bogdan Rogala, Prezes Zarządu, Philips Lighting Poland S.A.

Sławomir Sikora, Prezes Zarządu, Citibank Handlowy S.A.

prof. Aleksander Surdej, Akademia Ekonomiczna w Krakowie

dr Jan Szomburg, Prezes Zarządu, Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową

Piotr Śliwicki, Prezes Zarządu, Grupa Ergo Hestia

ZARZĄD POLSKIEGO FORUM OBYWATELSKIEGO

dr Jan Szomburg, Prezes Zarządu, Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową

dr Jan Fazlagić, Akademia Ekonomiczna w Poznaniu

dr Piotr Koryś, Uniwersytet Warszawski

SEKRETARIAT POLSKIEGO FORUM OBYWATELSKIEGO

Sylwia Kłofczyńska, Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową – Gdańsk
sylwia.klofczynska@ibngr.pl, tel. +48 58 524-49-33

Anna Kuczyńska, Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową – Warszawa
anna.kuczynska@ibngr.pl, tel. +48 22 651-86-60 (61)

Informacja o Kongresach Obywatelskich:

- I KONGRES OBYWATELSKI – 12.11.2005 r.

W stronę rozwoju opartego na wartościach i dialogu

Politechnika Warszawska

650 uczestników i **63** panelistów

Sesje tematyczne I Kongresu Obywatelskiego:

- Wartości, tożsamość i rozwój
- Jakich elit potrzebuje Polska?
- Wizja rozwoju
- Edukacja dla rozwoju
- Migracje – szanse i zagrożenia
- Jaka demokracja i państwo?
- Jak formować nowe pokolenie Polaków?
- Zdrowe i przejrzyste finanse publiczne
- Jakie regulacje dla gospodarki?
- Nauka dla gospodarki i społeczeństwa
- Polska w Europie i świecie

- II KONGRES OBYWATELSKI – 10.03.2007 r.

Rozwój przez wspólnotę i konkurencyjność

Politechnika Warszawska

1130 uczestników i **62** panelistów

Sesje tematyczne II Kongresu Obywatelskiego:

- Czy potrafimy wybrać się na nowoczesne państwo – jak je rozumiemy?
- Kultura i demokracja w Polsce wobec rewolucji komunikacyjnej
- Jakie korzyści z migracji Polaków dla modernizacji Polski?
- Czy potrzebujemy polskich przedsiębiorstw globalnych?
- Jakiej solidarności potrzebujemy? Solidarność między pokoleniami, solidarność wobec biednych i wykluczonych, solidarność w przedsiębiorstwie – jaka jest, jaka być powinna?
- Jakie wartości będą cenić Polacy w roku 2020?
- Wizja rozwoju polskiej gospodarki w kontekście globalizacji
- Enklawy modernizacji Polski. Jak powstają, jak działają, czy są wzorcem i drogą rozwoju całego kraju?
- Polskie metropolie – wyzwania globalizacji a spójność terytorialna
- Czy i jakiej polityki rodzinnej potrzebujemy? Czy polityka rodzinna jest dobrą odpowiedzią na spadek dzietności?

Partner wydania



Partnerzy strategiczni PFO



ISBN 978-83-89443-83-0

www.pfo.net.pl